



# **BOJOWNICY**

**Robert Muchamore**



**Ryan Quinn, przywódca legendarnej organizacji obrońców praw zwierząt, chcąc wyjść wcześniej z więzienia, składa policji zaskakującą propozycję współpracy. Dzięki niej pojawia się szansa na dotarcie do nieuchwytnej i szalenie groźnej grupy ekstremistów nazywających siebie Organizacją Wyzwolenia Zwierząt.**

**James i Laura Adamsowie stają się bojownikami tej grupy i trafiają w sam środek niebezpiecznej rozgrywki. Działają wśród fanatyków, którzy – chcąc osiągnąć swój cel – nie cofają się przed niczym. W obliczu szokujących wydarzeń, działając pod silną presją emocjonalną, muszą zachowywać zimną krew i podejmować trudne decyzje.**

**James i Laura są agentami CHERUBA, świetnie wyszkolonymi zawodowcami, mającymi nad zwykłymi funkcjonariuszami kontrwywiadu jedną zasadniczą przewagę: dorostym nie przychodzi do głowy, że mogą być szpiegowani przez dzieci.**

**Oficjalnie nieletni agenci nie istnieją.**

EGMONT



cena 24,90 zł



# **BOJOWNICY**

## **Robert Muchamore**

Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski

EGMONT

Tytuł oryginalny serii: Cherub

Tytuł oryginału: Man vs Beast

Copyright © 2006 Robert Muchamore First published in Great Britain 2006 by Hodder Children's Books

[www.cherubcampus.com](http://www.cherubcampus.com)

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o., Warszawa 2008

Redakcja: Agnieszka Trzeszkowska

Korekta: Anna Sidorek, Joanna Popiołek

Wydanie pierwsze, Warszawa 2008

Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o. ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa tel. 0 22 838 41 00

[www.egmont.pl/ksiazki](http://www.egmont.pl/ksiazki)

ISBN 978-83-237-3403-1

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

## **CZYM JEST CHERUB?**

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

## **DLACZEGO DZIECI?**

Bo nikt nie podejrzewa ich o udział w tajnych operacjach wywiadu, co oznacza, że uchodzi im na sucho znacznie więcej niż dorosłym.

## **KIM SĄ BOHATEROWIE?**

W kampusie CHERUBA mieszka około trzystu dzieci. Głównym bohaterem opowieści jest czternastoletni James Adams, cenny agent mający na koncie kilka udanych misji. Kerry Chang, mistrzyni karate z Hongkongu, jest dziewczyną Jamesa. Do kręgu jego najbliższych znajomych należą także Bruce Norris, Shakeel Dajani oraz Kyle Blueman. Siostra Jamesa Laura Adams ma zaledwie jedenaście lat, ale już cieszy się reputacją jednej z najlepszych agentek CHERUBA. W kampusie można ją spotkać z nieodłączną przyjaciółką Bethany Parker. Przyjaźni się także z Grekiem „Ratem” Rathbone'em, którego zwerbowano do CHERUBA po tym, jak uwikłał się w ostatnią misję Jamesa i Laury.

## **PERSONEL CHERUBA**

Dysponujący rozległymi terenami, specjalistycznymi urządzeniami treningowymi oraz siedzibą łączącą funkcje szkoły z internatem i ośrodka dowodzenia CHERUB zatrudnia więcej dorosłych pracowników niż młodych agentów. Są wśród nich kucharze, ogrodnicy, nauczyciele, trenerzy, pielęgniarki, psychiatrzy i koordynatorzy misji. CHERUBOWI szefuje prezes dr Terrence McAfferty, znany powszechnie jako Mac.

## **SZARŻE I KOSZULKI**

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze zbyt małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśników przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego. Szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach. Granatowa - taką nosi James - jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas akcji. Kto konsekwentnie spisuje się powyżej oczekiwań, kończy karierę w CHERUBIE, nosząc koszulkę czarną przyznawaną za znakomite osiągnięcia podczas licznych operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, noszone także przez część kadry.

# 1. PORANEK

Andy Pierce czuł się fantastycznie. Kołdrę miał podciągniętą pod brodę, mięśnie przyjemnie rozluźnione, a pod głową czuł rozkosznie miękką dotyk poduszki. Nastrój psuł mu tylko promień słońca wciskający się do pokoju przez szczelinę między zasłonami.

Czternastolatek nie miał odwagi otworzyć oczu i spojrzeć na zegarek, ale dobrze wiedział, że już dawno powinien być na nogach. Za niecałą godzinę miał siedzieć w klasie z krawatem pod szyją i łokciami na ławce, przeżywając koszmar poniedziałkowego poranka: angielski, francuski i dramat. Ten dzień zapowiadał się jeszcze gorzej niż zwykle, jako że Andy miał zarobić pałę za nieodrobioną pracę z Makbeta.

Właśnie wyobraził sobie mordercze spojrzenie, jakim niewątpliwie zmierzy go nauczyciel, pan Walker, kiedy nagle drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie.

- Wołałam cię ze trzy razy! - krzyknęła mama Andy'ego, idąc po dywanie w stronę okna.

Christina Pierce była już ubrana do pracy. W białej koszulce polo, białych spodniach i białych tenisówkach wyglądała jak rozsierzona anielica.

- Na dole czekają tosty, teraz pewnie zimne.  
Christina rozsunała zasłony, napełniając pokój słońcem, po czym zdecydowanym szarpnięciem zdarła kołdrę ze swojego najstarszego syna.

- Maaamo - jęknął Andy, jedną dłonią osłaniając oczy przed światłem, a drugą zakrywając intymne części ciała.

- Och, daj spokój. - Uśmiechnęła się Christina, częstując syna przyjacielskim klapssem w kostkę. - Nie masz tam niczego, czego bym tysiąc razy nie widziała.

Nagle zamilkła, ostrożnie powąchała przewieszoną przez ramię kołdrę i skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Fuj! Kiedy ostatnio zmieniałeś pościel?

Andy wzruszył ramionami, siadając na krawędzi łóżka i sięgając po bokserki, które przygotował sobie poprzedniego wieczoru.

- Bo ja wiem... W zeszłym tygodniu?

- Próbujuj dalej. Te poszewki są żółte, a o zapachu wołałabym się nie wypowiadać.

- Oj, przestań, nie jest tak źle.

Andy wciskał rękę w rękaw szkolnej koszuli, z niepokojem obserwując zaciskające się usta mamy. Wąskie wargi oznaczały zbliżający się wybuch termojądrowy.

- Kiedy wieczorem wrócę z pracy, chcę widzieć tę obrzydliwą pościel wypraną i rozwieszoną na sznurach za domem. Przy okazji możesz zmienić pościel Stuartowi.

- Cooo? - zachłysnął się Andy. - Dlaczego mam zmieniać pościel również jemu?

Andy skulił się, kiedy Christina podetknęła mu palec pod nos.

- Uważasz się za wystarczająco dorosłego, żeby włączyć się z kolegami po kinach i wracać piętnaście po jedenastej? Wobec tego najwyższy czas, żebyś wziął na siebie część odpowiedzialności za prowadzenie tego domu. To nie jest hotel, a ja nie jestem pokojówką, tylko twoją matką!

- Tak jest, wasza wysokość - burknął Andy.

Christina zerknęła na zegarek.

- Muszę lecieć. Wiesz, moje życie naprawdę byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyś zechciał odrobinę bardziej ze mną współpracować.



- Tym razem jej głos zabrzmiał nieco przyjaźniej.

Mama nieraz brała Andy'ego na poczucie winy i ten sposób już na niego nie działał.

- Gdzie są pieniądze na mój lunch? - zapytał, wierzgając w powietrzu obiema nogami, by pomóc sobie w naciągnięciu spodni.

- Na blacie są pieniądze na autobus, a w lodówce kanapka z szynką, pomidorem i musztardą.

- Nie dasz mi na frytki?

- Nie zaczynaj znowu. Wiesz, że nie stać mnie na to, żebyście wydawali po trzydzieści funtów tygodniowo na śmieciowe żarcie.

Andy sapnął ze złością.

- Wszyscy jedzą frytki. Kanapki to obciach.

- Nie podoba ci się, to idź i poskarż się ojcu. Jego żona jeździ nowym focusem, a ja mam wyczerpane limity na trzech kartach kredytowych.

Ten chwyt zadziałał lepiej. Andy już dawno pojął, że jego ojciec jest lajdakiem. Mama musiała brać tysiące nadgodzin, żeby jakoś wiązać koniec z końcem.

- Powinam wrócić przed siódmą - powiedziała Christina, pochylając się i całując syna w policzek. - I nie żartowałam z tą pościelą, rozumiesz?

Pozostawiwszy smuzkę szminki na twarzy Andy'ego, wyszła z sypialni i zbiegła po schodach na dół. Chłopiec ruszył za nią z półminutowym opóźnieniem, po drodze wciągając pasek w szlufki spodni.

Stuart był już w kuchni, gotów do wnerwiania brata swoim zwykłym ugrzecznieniem i wyzywającą elegancją. Nienagannie uczesany jedenastolatek, ubrany w szkolny blezer i krawat, oglądał królika Bugsa w kuchennym telewizorze. Andy złapał trójkąt zimnego tosta i chłopcy wymienili powitalne chrząknięcia.

- Mama wciąż chodzi smutna - powiedział kwaśno Stuart. - Dlaczego ciągle musisz się jej stawiać?

Andy nie był dumny ze swoich nieustannych potyczek z mamą i wcale do nich nie dążył. Zdarzały się same z siebie, może były częścią jego dorastania albo coś w tym stylu? Jednak bez względu na swoje uczucia nie zamierzał dawać młodszemu bratu satysfakcji ze szczerzej odpowiedzi.

- Pilnuj swoich spraw, dobra?

Stuart wciągnął haust powietrza.

- Ale ty jesteś samolubny, wiesz? - ryknął.

- Odwal się!

- Natychmiast przestańcie! - krzyknęła Christina z przedpokoju. Była gotowa do wyjścia: miała torbę przewieszoną przez ramię i kluczyki do samochodu w dłoni. - Nie zapomnijcie zamknąć drzwi na główny zamek, kiedy będziecie wychodzić.

Andy potwierdził skinieniem głowy.

- Na razie, mamó. Miłego dnia w pracy.

- Na to akurat nie mam szans - mruknęła Christina na odchodnym.

Andy poczekał na trzaśnięcie drzwi, po czym spojrzał spode łba na brata.

- Aż prosisz się o bęcki, wiesz?

Zanim Stuart zdążył wymyślić odpowiedź na tyle ciętą, by ukłuła Andy'ego, ale nie na tyle ostrą, by skłoniła go do rękoczynów, na podjeździe rozległ się krzyk.

To mogła być tylko mama i nie był to pisk typu: „Tu jest wielki pajak” ani gniewny wrzask z gatunku tych, jakie chłopcy pamiętali z przedrozwodowych kłótni rodziców. Był to straszliwy, głęboki krzyk pełen bólu i przerażenia.

Chłopcy zerwali się z krzesel i puścili biegiem w stronę frontowych drzwi. Andy wypadł przed dom w tej samej chwili, w której mężczyzna o twarzy skrytej za kominiarką stłukł młotkiem szybę ich samochodu.

Christina wiła się na zwirowym podjeździe, krzycząc i plując. Jej głowa i ręce błyszczały od czerwonej farby, którą chluśnięto jej w twarz.

Mężczyzna zaczął tłuc okna z boku samochodu, ale Andy skupił się na jego towarzyszu, stojącym nad Christiną barczystym osiłku w bojówkach moro, kominiarce i rękawiczkach. Facet wyglądał, jakby przymierzał się do kopnięcia. Andy nie miał nawet butów, ale nie mógł stać beczynn timer, kiedy ktoś atakował jego mamę.

- Już nie żyjesz! - ryknął i ruszył na osiłka.

Był silny jak na swój wiek, ale nie miał szans w starciu z dorosłym mężczyzną.

Zamaskowany napastnik ścisnął mu szyję ramieniem i ulokował pięść w jego twarzy.

- Chciałbyś - warknął, kiedy nos Andy'ego eksplodował bólem.

Andy runął plecami na żywopłot, a w następnej chwili olbrzymi glan wylądował mu na brzuchu, wtlaczając głęboko pomiędzy splątane gałęzie. Chłopiec otarł krew spod nosa białym rękawem koszuli, patrząc, jak zbiry w kominiarkach biegną w stronę pobijanego citroena zaparkowanego na końcu podjazdu. Trzasnęły drzwi, samochód ruszył i wtedy Andy doznał najbardziej rozpaczliwego uczucia w swoim życiu. Najgorszy nie był ból w zranionej twarzy ani nawet niepokój o stan mamy, ale świadomość strasznej, niesprawiedliwej bezradności: oto dwaj bandyci, którzy skrzywdzili najbliższą mu osobę, uciekali, a on nie był w stanie ich zatrzymać i ukarać, ponieważ był tylko dzieckiem.

Andy wyplątał się z żywopłotu i dźwignął na nogi, słysząc jęki mamy.

- Nic nie widzę - łkała Christina.

Stuart stał na progu domu, błady i zdrętwiały z przerażenia.

- Nie stój tak, baranie! - wrzasnął Andy łamiącym się głosem. -  
Biegnij do środka i dzwoń po karetkę!

Kiedy Stuart oprzytomniał i pobiegł do telefonu, Andy zauważył wisielczą pętlę namalowaną na wrotach garażu i wypisaną pod spodem wiadomość:

**RZUĆ PRACĘ W LABORATORIUM!  
NASTĘPNYM RAZEM ZGINIESZ  
Z ROZKAZU  
ORGANIZACJI WYZWOLENIA ZWIERZĄT**

## 2. WOSK

Lekarze obawiają się, że trzydziestosześcioletniej kobiecie grozi trwale uszkodzenie wzroku. Był to jak dotąd ostatni z serii coraz brutalniejszych zamachów Organizacji Wyzwolenia Zwierząt. Policja hrabstwa Avon zapewnia, że dokłada wszelkich starań, aby chronić pracowników Malarek Research, ale ponieważ laboratorium zatrudnia ponad dwieście osób, nie sposób zapewnić wszystkim całkowitego bezpieczeństwa...

Telewizor na ścianie pomrukiwał dalszym ciągiem wiadomości, ale James nie słuchał. Siedział w stołówce kampusu CHERUBA wraz z tymi spośród swoich przyjaciół, którzy akurat nie byli na misji: Kerry, Bruce'em, Callumem, Connorem i Shakiem. Minęły już całe dwie minuty, odkąd Bruce potknął się i upadł na siedzącą przy stoliku dziewczynę wraz ze swoim napojem i zapiekanką z makaronem, ale koledzy nadal nie przestawali się z niego nabijać.

James patrzył na kupkę kości kurczaka na talerzu przed Sobą i w zamyśleniu słuchał rozmów kolegów. Pasek spodni wpijał mu się we wzdęty brzuch. Kerry, która także skończyła jeść, rozparła się na krześle, zsunęła sandały i oparła mu stopy na kolanach. Mogła wprowadzić oprzeć je na jednym z pustych krzeseł przy sąsiednim stoliku, ale nie zrobiła tego i James był jej wdzięczny za ten gest. Oznaczał on bowiem, że Kerry jest w dobrym nastroju i że przy odrobinie szczęścia, kiedy jedzenie uleży im się w

żołądkach, pójdą razem na górę, żeby się całować i być może nawet odrabiać lekcje.

Shak usiadł po prawej stronie Jamesa i zerknął na nogi Kerry.

- Rany, ale ty masz małe stopy. Jaki numer buta nosisz?
- Dwójkę.

Shak pokiwał głową z udawaną powagą. - Niedawno dowiedziałem się, dlaczego babki mają mniejsze stopy niż faceci.

Kerry podejrzliwie zmarszczyła brwi.

- Kobiety generalnie są mniejsze, nie sądzisz?
- Kto chce wiedzieć, dlaczego babki mają mniejsze stopy niż faceci? - zawołał Shak, błyskając zębami w zawadiackim uśmiechu.

Zebrani przy stole popatrzyli na siebie bez entuzjazmu.

- Czy to kolejny z twoich nędznych dowcipów? - zapytał Bruce.

Shak pokręcił głową z wyższością.

- Moje dowcipy są pierwszej klasy.

Wokół stołu przetoczyła się fala pogardliwych parsknięć. Calum przemówił w imieniu wszystkich.

- Skoro tak twierdzisz.
- Dobra, jeśli nie chcecie mnie słuchać...

Bruce cmoknął z irytacją.

- Opowiedz nam ten głupi kawał, Shak, inaczej to się nigdy nie skończy. No dawaj, dlaczego kobiety mają mniejsze stopy niż mężczyźni?

Uśmiech Shaka rósł i rósł, aż opanował całą jego twarz.

- Żeby mogły stać bliżej zlewu, kiedy zmywają naczynia.

Dowcip był tak marny, jak wszyscy się spodziewali, ale zdołał wywołać kilka chichotów, ponieważ chłopcy byli w pogodnym nastroju. James zdążył tylko wykrzywić usta, zanim zmroziło go lodowate spojrzenie Kerry.

- Męskie szowinistyczne świnię - wysyczała dziewczyna, zdejmując stopy z kolan Jamesa i stając przed nim z dłońmi wspartymi na biodrach.

- Hej, to nie ja opowiedziałem ten dowcip - zaprotestował James, unosząc ręce w obronnym geście.

Kerry pochyliła się nad nim z wściekłością w oczach.

- Ale się śmiałeś!

Rozległo się donośnie plaśnięcie dłoni uderzającej o policzek.

- Jezu, Kerry! - zawołał James, osłaniając ramieniem głowę przed kolejnym ciosem. - Opanuj się trochę, dobrze?

- A wy lepiej przestańcie się szczyrzyć! - krzyknęła Kerry, gromiąc oczami pozostałych chłopców przy stole. Nagle jej wzrok zatrzymał się na Shaku. - Uważasz, że szowinistyczne dowcipy są takie zabawne? Jak ty byś się czuł, gdybym zaczęła przy stole opowiadać kawały o Egipcjanach? Przemyśl to.

Kerry zgarnęła ze stołu swoją tacę i odmaszerowała, pozostawiając chłopców w pełnej napięcia ciszy. James nieśmiało potarł piekącą czerwoną plamę na policzku.

Kiedy tylko dziewczyna zniknęła z zasięgu wzroku, Callum i Bruce wyszczerzyli się do siebie w zachwyconym uśmiechu.

- Słyszałeś ten trzask? - wykrzyknął radośnie Callum.

- Ale akcja! - zakwiczał Bruce, tłukąc pięścią w blat.

James odwrócił się do Shaka, by zmierzyć go kwaśnym spojrzeniem.

- Dzięki, że wkurzyłeś moją dziewczynę.

- Mister Adams nie zapuści dziś śliniaczka – zaśpiewał Callum.

Chłopcy bawili się coraz lepiej.

- Nie rozumiem, z czego się tak cieszyacie – powiedział James.

- A gdzie dziś wieczorem będą wasze dziewczyny?

Ach, przepraszam, wyleciało mi z głowy, wy przecież nie macie dziewczyn, prawda? Frajerzy!

- Ja mam Nairę - oświadczył Callum.

Bruce roześmiał się.

- Jasne, pocałowaliście się dwa razy, a potem pojechała na misję i od pół roku nikt jej nie widział.

- Ale i tak się liczy. - Callum rzucił Bruce'owi gniewne spojrzenie. - Prawie codziennie pisze do mnie e-maile. A ty co? Całowałaś się kiedyś z kimkolwiek?

- Miałem już, no wiecie, różne dziewczyny.

- Tak? - zaśmiał się James. - Niby kogo?

- Nie tutaj - naburmuszył się Bruce. - Na misjach i tak dalej.

Rozległ się chóralny jęk niedowierzania. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Bruce nie ma śmiałości do dziewczyn.

- Całuje się z tym niebieskim misiaczkiem, z którym zawsze śpi - zachichotał Shak.

- Odwał się - warknął Bruce. - I wcale nie śpię z Jeremym. Raz spadł mi z półki na łóżko, a Kyle akurat wszedł i musiał wszystkim wypaplać.

- Co trzeba mieć w głowie, żeby dać miśkowi na imię Jeremy? - zadumał się James.

- Właśnie. - Connor skinął głową. - Skoro już musi dobierać się do misia, to mógłby chociaż nadać mu żeńskie imię.

Bruce wyskoczył zza stołu i stanął przed Connorem z zacisniętymi pięściami.

- Powtórzysz to za pięć sekund, kiedy powybijam ci wszystkie zęby?

James hałaśliwie odsunął się na krzesło i wstał, uśmiechając się do kolegów.

- Zostawiam was, panienki, razem z waszymi problemami. Lepiej, żebym był w pokoju, kiedy do drzwi zapuka Kerry.



- Tak, jasne. - Shak uśmiechnął się ironicznie. - Właśnie dała ci w pysk, więc na pewno przybiegnie przeprosić.

- Tak się składa, że mam asa w rękawie. - James dwukrotnie poruszył brwiami. - Mała panna Doskonalska ma problemy z algebrą i potrzebuje mojego genialnego umysłu, żeby dojść do ładu z tymi wstrętnymi iksami i igrekami.

Connor cmoknął z irytacją.

- To nie fair, James. Ty zawsze masz szczęście z dziewczynami.

Odchodząc od stołu, James rzucił kolegom wyniosłe spojrzenie.

- Cóż mogę rzec, panowie, kobiety nie mogą mi się oprzeć. W mych dłoniach są miękkie niczym wosk.

\*

James wszedł do pokoju, przestąpił stos brudnych ubrań i usiadł na łóżku z egzemplarzem Wielkich nadziei, których przeczytanie zadał mu nauczyciel angielskiego. Teoretycznie powinien minąć już stronę dwieście pięćdziesiątą, ale utknął beznadziejnie gdzieś koło siedemdziesiątej.

Czytał bez zrozumienia, w każdej chwili oczekując pukania Kerry.

Na stronie sto szóstej ogarnęły go pierwsze wątpliwości, a kiedy wreszcie rozległo się pukanie, było to potrójne stuknięcie: znak rozpoznawczy jego siostry.

- Laura? - zawołał, patrząc na długie blond włosy wyłaniające się zza uchylonych drzwi.

- Chi, chi! - zaśpiewała Laura, wchodząc do pokoju z palcem wycelowanym w Jamesa. - Ale masz czerwoną gębę. Kerry nie-  
- źle ci przyłożyła.

James założył stronę w książce i wyprostował plecy. - Widziałś się z Kerry? Przyjdzie do mnie? - Wątpię. - Laura obojętnie wrzuciła ramionami. - Właśnie była u mnie i uczyłyśmy się razem matematyki.

- Wredna zdrajczyń! - James wytrzeszczył oczy. - Dlaczego mi to zrobiłaś? Jestem o niebo lepszy z matmy od ciebie.

- Nie była w nastroju na spotkanie z tobą, a ja może nie jestem tak dobra z matmy jak ty, ale dostaję piątki i radzę sobie lepiej niż Kerry. Tak czy owak dobrze ci tak za opowiadanie seksistowskich kawałów.

- To Shak opowiedział, ja ledwie się uśmiechnąłem.

- Nieważne. - Laura machnęła ręką. - Ty i Kerry lubicie odstawić takie szopki. Jutro znowu będziecie się do siebie kleić.

- Przysłaś tu po to, żeby się nade mną pastwić?

Laura uśmiechnęła się.

- Tak naprawdę przysłałam poprosić cię o przystługę.

- Brzmi groźnie.

Laura usiadła na brzegu łóżka.

- Kojarzysz Kirsten McVicar?

James pokręcił głową.

- Przecież ją znasz, James. Była na moim przyjęciu urodzinowym, koleżanka Bethany, ale o rok młodsza. W czarnych legginsach w zielone kropki.

- Nic z tego - oznajmił James. - Wszystkie twoje kumpele gadają to samo i ciągle wymieniają się ciuchami. Zresztą jakie to ma znaczenie?

- W zeszłym tygodniu Kirsten odpadła ze szkolenia podstawowego. Kojarzysz, że na tej turze szkolenia jest też brat Bethany Jake?

James skinął głową. - Jak sobie radzi?

- Kirsten mówi, że zaczyna pękać. Dopiero co skończył dzieśnięć lat. Zwicnął sobie kciuk i jest raczej drobny jak na swój wiek, więc niełatwo mu dźwigać ciężki plecak na przełajach i tak dalej.

- Szkoda - powiedział James. - Mam nadzieję, że Jake nie umoczy. Czasem bywa trochę przemądrzały, ale...

- Przyganiał kocioł garnkowi - przerwała Laura. - W każdym razie Bethany i ja mamy plan, jak mu pomóc. Mamy zamiar podzucić mu mały prezent motywacyjny, no wiesz, trochę czekoladowych batonów dla dodania energii, suche buty, bieliznę, nakładki na paski plecaka, żeby się łatwiej nosiło...

Jamesowi opadła szczęka.

- Laura, nie możesz sobie tak po prostu wparadować na teren ośrodka szkoleniowego. Bramy są podłączone do alarmu, wszędzie masz drut kolczasty, mnóstwo kamer...

- Ja i Bethany wszystko dokładnie obmyśliłyśmy, ale potrzebujemy kogoś starszego, kto poszedłby z nami.

- Nie, nie, nie! - zaśmiał się James. - Nie patrz tak na mnie. Jak wpadniemy, zrobią z nas twarożek. Jake to fajny dzieciak, ale musi przemęczyć się przez podstawówkę, tak samo jak my.

- James, proszę.

- Poza tym co cię to obchodzi? Rozumiem, że Bethany chce nadstawić karku za swojego brata, ale ty? W życiu nie słyszałem od ciebie dobrego słowa o Jake'u. Spuściłaś mu niezłe manto, kiedy ci zatkał sedes popcornem.

- Bethany jest moją najlepszą przyjaciółką, więc robię to dla niej.

- Zaraz, zaraz... - Jamesa nagle olśniło. - Ty wcale nie robisz tego dla Jake'a. Twój chłopcaś jest na tym szkoleniu, no nie? Robisz to dla Rata.

- Nie - zdenerwowała się Laura. - Owszem, Rat jest partnerem Jake'a na szkoleniu, ale to nie jest mój chłopak.

- Słuchaj, Laura, wiem, że Rat cię kręci, ale mam zbyt wiele do stracenia. Żadnych zaległości w pracach domowych, niezłe stopnie... Odkąd wstąpiłem do CHERUBA, spędziłem tysiące godzin, biegając karne rundki i szorując kible. Nie zamierzam narażać się dla nikogo, jeżeli nie jest to kwestia życia lub śmierci.

- Spodziewałam się, że tak powiesz - uśmiechnęła się Laura. - Dlatego muszę cię poprosić, byś oddał mi przysługę.

- Jaką znowu przysługę? Nic nie jestem ci winien.

Na widok złego uśmiešku na twarzy siostry James poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Jej twarz wydoroślała z wiekiem, ale ta mina nie zmieniła się ani na jotę. Takim samym spojrzeniem zmierzyła go tuż przed wepchnięciem mu lodowego rożka w twarz. Takie samo spojrzenie miała, kiedy zepsuła magnetowid i powiedziała mamie, że widziała, jak to zrobił James...

- Pamiętasz w zeszłym roku, w Idaho? - zapytała pogodnie Laura. - Pamiętasz, jak zdradzałeś Kerry z tą dziewczyną, z Becky?

James ponuro skinął głową.

- Nigdy nikomu nie powiedziałam, ale kto wie, w każdej chwili mogłoby mi się coś wypsnąć, a wtedy Kerry dobrałaby ci się do tyłka. Proszę cię zatem, abyś wyświadczył mi jedną drobną przysługę w zamian za wieczyste milczenie.

- Co?! - wrzasnął James. - To nie jest prośba o przysługę. To zwykły szantaż!

- Zapewne można to i tak nazwać - uśmiechnęła się Laura. - Ale ty, James, lubisz Rata, lubisz Jake'a, czy to naprawdę taki wielki problem?

- Jaka wredna szuja szantażuje własnego brata? - wycodził James z mieszanką gniewu i pogardy w głosie.

Laura zignorowała pytanie.

- James, ja i Bethany zaplanowałyśmy wszystko ze szczegółami. Nie ma mowy, żeby nas złapali.

- Wiesz co? - powiedział James, unosząc głowę. - Mam to gdzieś. To z Becky zdarzyło się ponad rok temu, a Kerry wie, że nie jestem aniołem. Zrozumie.

Laura uśmiechnęła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Jak chcesz. Wobec tego pójdę i zaraz jej o tym powiem.

James był zbyt wkurzony, by odwzajemnić uścisk, ale czuł się chętny podziw dla jej odwagi. Drzwi Kerry otworzyły się.

- Tak myślałam, że to wy. Co tu się dzieje?

- Nic takiego - powiedział James bez przekonania. Laura wbiegła się do Kerry.

- Namówiłam tego idiotę, żeby przyszedł i cię przeprosił.

James poczuł ogromną ulgę, widząc, że Kerry uśmiecha się.

- Chyba jednak trochę przesadziłam - powiedziała. James wyciągnął ramionami.

- Przepraszam, że zaśmiałem się z tego dowcipu.

- Przeżyję - powiedziała Kerry, całując go pojednawczo w policzek.

- Czy nie mówiłeś wcześniej, że spóźniasz się z czytaniem Władcy Smoków?

- Strona sto dwunasta - skinął głową James.

- To i tak dalej niż ja. Nigdy tego nie nadgonię. Dlatego wzięłam z biblioteki wersję filmową. Chcesz wpaść i obejrzeć ze mną?

- Życie mi ratujesz - rozpromienił się James, wchodząc za Kerry do pokoju. Na progu obejrzał się na Laurę. - Zobaczymy się później, siostra.

- Przyślę ci SMS-a z detalami - powiedziała Laura. - Nie spóźnij się.

- Co ona knuje? - spytała Kerry, marszcząc brwi. James podszedł bliżej, by pocałować ją w szyję.

- Nie przejmuj się tym - szepnął, obejmując Kerry ramieniem i kopniakiem zamykając drzwi za sobą.

### 3. NOC

Niepokój nie pozwolił mu zasnąć i James zwałkł się z łóżka na kilka minut przed dzwonkiem budzika nastawionego na drugą w nocy. Włożył ubranie odpowiednie do nocnej akcji: granatowy dres, także baseballówkę i czarne adidas.

Laura i jej najlepsza przyjaciółka Bethany czekały na niego sześć pięter niżej we wnęce pod schodami ewakuacyjnymi.

- Wielkie dzięki, że przyszedłeś - przywitała go z uśmiechem Bethany. - Nie wiem, jak ona cię do tego namówiła. W życiu nie uwierzyłabym w to, że się zgodzisz.

- Nie ma za co - powiedział James kwaśno, zerkając spode łba na siostrę.

James nie cierpiał Bethany. Była inteligentna i dowcipna, ale drwiący ton jej głosu i skłonność do obłąkańczego chichotu doprowadzały go do szału.

- Na pewno nikt cię nie widział? - zapytała Laura.

James wzruszył ramionami.

- Z tego, co wiem, nikt.

- Super - ucieszyła się Laura. - Tuż obok ośrodka szkoleniowego jest strzelnica ze zbrojownią. Jeśli ktoś nas zatrzyma, powiemy, że dostaliśmy zadanie i idziemy pobrać paralizatory.

- To zadziała tylko wtedy, jeśli to będzie ktoś, kto nas nie zna - zauważył James.

- Owszem - zgodziła się Bethany. - Ale ile osób będzie się włóczyć po kampusie o tej porze?

- Niech będzie. - James wzruszył ramionami. - Jaki macie plan?

- Im mniej czasu spędzimy poza pokojami, tym mniejsza szansa, że zostaniemy zauważeni, dlatego wyjaśnię ci wszystko po drodze - powiedziała Laura. - Bierz ten plecak i w drogę.

- Jesteście pewne, że te drzwi nie są podłączone do alarmu? - zapytał James, wskazując na wyjście ewakuacyjne.

Laura pokręciła głową.

- Więcej wiary, braciszku. Przemyślałyśmy każdy szczegół. James zarzucił sobie plecak na ramię i omal się nie przewrócił pod jego ciężarem.

- Chryste! Myślałem, że niesiemy im trochę żarcia i ciuchów. Co tam jest, ołów i cegły?

- Jedzenie i ubrania niesiemy ja i Laura - wyjaśniła Bethany. - Ty masz cały sprzęt: nożyce do drutu, narzędzia do elektryki i trzy pary waderów.

- My jesteśmy mózgiem, ty mięśniami - uśmiechnęła się Laura, pchnięciem otwierając drzwi.

Było wczesne lato, ale o tej porze powietrze wciąż kłuło dojmującym chłodem. Nie rozległ się żaden alarm i Laura obejrzała się na brata z miną: „A nie mówiłam?”.

Wiedząc, że w czasie biegu plecaki będą grzechotać, ograniczyli się do żwawego marszu. Przecięli błotnisty narożnik boiska do piłki nożnej i zagłębili się w lesie, który porastał większość niezabudowanych terenów kampusu. Przedarłszy się przez pas zarośli, natrafili na wydeptaną ścieżkę.

- Będzie dalej niż przez pola, ale nikt nie używa tej ścieżki, chyba że do biegów terenowych - wyjaśniła Laura.

- A jeśli mimo wszystko natkniemy się na kogoś, możemy ukryć się między drzewami - dodała Bethany.



James poczuł się nieco pewniej. Dziewczęta rzeczywiście dobrze to sobie przemyślały.

Kiedy stracili z oczu budynki, Laura przeszła do truchtu. Nie mogli biec szybko, ponieważ księżycowego światła przesączającego się przez korony drzew ledwie wystarczało do śledzenia wzrokiem ścieżki.

James zrównał się z siostrą.

- Idziemy na tyły kampusu - powiedziała Laura. - Pamiętasz, jak ja i Kyle musieliśmy za karę oczyszczać te rowy?

- Aha.

- Większość z nich odprowadza wodę z pól wokół kampusu. Wszystkie prowadzą do rzeczki, która płynie przez ośrodek szkoleniowy. W kilku miejscach odmulaliśmy rowy, które łączą się z rzeką na terenie ośrodka. Przechodzą pod płotem odgrodzone tylko kilkoma drutami kolczastymi, które łatwo odciąć.

- I zanim zapytasz: wszystko rozkminiłyśmy. Drut nie jest pod napięciem ani podłączony do żadnego alarmu - dodała Bethany.

- A co z kamerami? - zapytał James. - Są wszędzie. Na terenie ośrodka nawet wiewiórka nie pierdnie, żeby nie dowiedzieli się o tym trenerzy.

- Są pięćdziesiąt trzy kamery - skinęła głową Laura - ale pracują w jednym obwodzie. Jeśli wyłączymy bezpiecznik, to wszystkie przestaną działać.

- Skąd to wiecie?

- Martin Newman sprzątał za karę budynek administracji - powiedziała Bethany. - Namówiliśmy go, żeby zrobił nam kopie schematów elektrycznych całego kampusu.

Laura zachichotała.

- A teraz musisz iść z nim do kina.

- Przymknij się - warknęła Bethany. - Już ty się o mnie nie martw. Obiecałam, ale znajdę sposób, żeby się z tego wykręcić.

- Martin będzie niepokieszony - zauważyła Laura. - Nie rozwalają cię te jego uszy? Jedno odstające, a drugie nie?

- I kto to mówi? Ślinisz się na widok Rata, a trudno go nazwać przystojniakiem.

Chichoty dziewczyn zirytowały Jamesa.

- Może jeszcze głośniej, co? - wysyczał.

- Kto nas tu usłyszy? - powiedziała Laura lekceważąco, ale obie dziewczyny zrozumiały, że zachowują się głupio, i umilkły.

\*

Dotarcie krętą ścieżką na tyły ośrodka szkoleniowego zajęło im dziesięć minut. W miarę jak wzrok przystosowywał im się do mroku, biegli coraz szybciej. Wszyscy troje byli w dobrej formie i nikt nie miał nawet zadyszki, kiedy zatrzymali się nad rowem o mniej więcej półtorametrowej głębokości. Laura wyjęła z kieszeni dzinsów latarkę i powiodła wokół siebie snopem światła.

- To tutaj - oznajmiła szeptem. - James, wyjmij wadery.

Chłopak z ulgą zsunął z ramion ciężki plecak i rozsunał suwak. Nie padało już od tygodnia, więc bez trudu znaleźli skrawek suchego gruntu, gdzie mogli usiąść i zmienić buty, ale po drodze musieli przedrzeć się przez kilka podmokłych miejsc i ich adidasy były oblepione błotem.

James rzucił dziewczętom dwie mniejsze pary gumowanych butospodni, po czym wsunął nogi w nogawki swoich. Kiedy wstał, by je podciągnąć, owionął go stęchły zapach przepoconych stóp.

- Skąd wytrzasnęłyście te śmierdziuchy? - jęknął. - To obrzydliwe.

- Kyle je nosił, kiedy czyścił rowy - wyjaśniła Bethany. - Pracował w nich codziennie przez sześć tygodni, więc nic dziwnego, że są trochę nieświeże.

- Kiedy zejdziesz do rowu, zapach Kyle'a będzie ostatnią rzeczą, o jaką powinieneś się martwić - powiedziała

Laura, rzucając Jamesowi coś, czego zaskoczony nie zdążył złapać.

James schylił się, żeby podnieść z ziemi latarkę zakładaną na czoło.

- Oświetla na pięćdziesiąt metrów, ale włączaj ją tylko wtedy, kiedy musisz - powiedziała Laura.

James naciągnął na głowę elastyczny pasek diodowej czołówki i szybko kliknął dwa razy włącznikiem, chcąc sprawdzić, czy działa. Podczas gdy Laura pomagała Bethany, która miała kłopoty z naciągnięciem waderów, James zarzucił na plecy znacznie już lżejszy plecak i ruszył w stronę rowu.

Gdyby wskoczył do zamulonej wody, ochlapałby się i narobił hałasu, dlatego po namyśle wybrał ostrożniejsze postępowanie. Usiadł na brzegu z nogami w dole i na rękach powoli opuścił się do rowu. Poczul zimny dotyk gumy oblepiającej mu nogi, a potem jego stopy zagłębiły się w dwudziestocentymetrowej warstwie mułu na dnie. Stanął w wodzie sięgającej mu do ud, dla równowagi opierając się dłonią o gliniasty brzeg. Dziewczeta, które tymczasem uporały się z waderami, zawisły nad nim na krawędzi rowu. Bethany miała niepewną minę.

- Może nie powinniśmy... - powiedziała cicho.

James natychmiast wyczuł sposobność wyperswadowania dziewczętom ich wariackiego planu.

- Myślę, że masz rację - przytaknął może trochę nazbyt gorliwie. - To ryzykowne, a jeśli nas złapią, instruktorzy wykończą Jake'a i Rata.

- Nie po to doszliśmy aż tutaj, żeby rezygnować - powiedziała twardo Laura.

Bethany pokiwała głową.

- Laura ma rację. Ale ja zawsze łapię cykora.

Laura popatrzyła groźnie na brata.

- A ty przestań ją nakręcać, dobra?

James wbił ponury wzrok w wodę, a dziewczęta złapały się za ręce i razem zsunęły do rowu. Bethany ruszyła chwiejnie przed siebie, ale Laura, która miała za sobą wielomiesięczne doświadczenie w brodzeniu w mule, wyrwała naprzód tak szybko, że trudno było za nią nadążyć.

Zapora z drutu kolczastego pod ogrodzeniem ośrodka szkoleniowego znajdowała się zaledwie dziesięć metrów od miejsca, w którym ścieżka spotykała się z rowem, ale jeszcze zanim tam dotarli, Jamesa rozboleła uda od przeciskania nóg przez wirujący muł. Laura włączyła swoją latarkę, by obejrzeć kolczaste zygzyki siatki. Spróbowała je rozepchnąć, ale były mocno naciągnięte.

- Wzmocnili przegrodę, odkąd czyściłam te rowy - wyszeptała z niepokojem. - Miałam nadzieję, że uda się rozciągnąć te druty i przejść pod nimi, ale będziemy musieli je przeciąć.

James odwrócił się plecami do siostry, by mogła otworzyć plecak i wyciągnąć z niego nożyce do cięcia drutu.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że to niszczenie mienia CHERUBA? - zapytał cicho. - Jeśli nas złapią, mamy przerażane.

Laura westchnęła z irytacją.

- Nie jęcz, James. Daj mi pomyśleć.

James patrzył, jak jego siostra artystycznie wycina i wyplata pojedynczy odcinek drutu, pozostawiając mniej więcej półmetry otwór w rogu zapory, tuż przy ścianie rowu.

- Trochę się ubłocimy, ale przejdziemy – powiedziała Laura.

Odcięła luźny kawałek drutu, zwinęła go i cisnęła między drzewa.

- Nikt tutaj nie przychodzi, dopóki któryś z rowów się nie zapcha. Nie będą tęsknić za jednym kawałkiem drutu.

James zgadzał się z rozumowaniem siostry, ale nie był w nastroju do prawienia jej komplementów.

Przeciskanie się pod zaporą było skomplikowaną operacją wymagającą przechodzenia pojedynczo i podawania plecaków na drugą stronę. James był szerszy od dziewcząt i dokładnie upakał sobie błotem cały tył bluzy.

Wreszcie znaleźli się po drugiej stronie. Byłoby szybciej, gdyby wyszli z rowu i pobiegli brzegiem, ale nie chcieli ryzykować, że któraś z kamer ich zarejestruje, więc brodzili dalej, pochylając się najniżej, jak było to możliwe, z twarzami osłoniętymi daszkami baseballówek.

Siedemdziesiąt metrów za zaporą Laura wystawiła głowę ponad brzeg i błysnęła strumieniem światła ze swojej latarki czołowej, wydobywając z ciemności ścianę betonowego baraku. Szybko schowała głowę i uśmiechnęła się do swoich towarzyszy.

- Zaczynamy imprezę - szepnęła.

Rów był płytszy niż w miejscu, w którym do niego weszli. Troje dywersantów wygramoliło się na brzeg i puściło biegiem w stronę baraku, przyskając wokół grudkami błota, które ześlizgiwały im się z gumowych nogawek waderów. Kiedy dotarli do ściany, Laura i Bethany zaczęły zdejmować z ramion szelki podtrzymujące butospodnie.

- Ściągaj to i wkładaj adidas - poleciła Laura.

- Ale po co? - zdziwił się James. - Musimy przecież jeszcze wrócić.

- Nie tą samą drogą - wyjaśniła Laura. - W nocy na dyżurze jest tylko jeden instruktor. Kiedy zobaczy, że kamery przestały działać, przyjdzie tutaj. W tym czasie my pobiegniemy w drugą stronę, do głównego budynku, oddamy paczki rekrutom, a potem zwiejemy normalnie przez bramę.

- Brama jest podłączona do alarmu.

- To bez znaczenia - powiedziała Bethany. - W końcu zauważą, że się uruchomił, ale instruktora nie będzie w sali kontrolnej, żeby mógł coś usłyszeć.

- Skąd wiecie, że alarm nie jest też podłączony gdzie indziej?  
Na przykład do konsoli strażnika przy głównej bramie?

Laura wzruszyła ramionami.

- Z tego, co wiemy, nie jest.

James westchnął zrezygnowany, odpychając nogą wadery i sięgając do plecaka po buty.

- To znaczy, że nie jesteście pewne?

- To, co mówisz, jest niezbyt prawdopodobne, James. Niby po co strażnik przy głównej bramie miałby wiedzieć, że w ośrodku szkoleniowym uruchomił się alarm?

- Ale pewności nie macie - wysyczał wściekle James. - Gwarantowałam, że nikt nas nie złapie.

- No niby tak. - Laura wzruszyła ramionami. - Ale zawsze wiedziałam, że jakieś ryzyko istnieje. Powiedziałam, że wszystko jest dograne, bo inaczej byś się nie zgodził.

Odkrycie, że na dokładkę do szantażu Laura okłamała go, sprawiło, że James wpadł w furję. Szybko skończył wiązać buty, po czym poderwał się i stanął nad siostrą.

- Dopadnę cię. Jeszcze tego pożałujesz.

- Tak? To ja wszystko powiem Kerry - wyszczerzyła się Laura.

- Przysięgałaś na grób mamy.

- Co powiesz Kerry? - zainteresowała się Bethany.

- Nie twój interes - odwarknęli jednocześnie James i Laura.

Bethany wiedziała, że James jej nie lubi, ale reakcja Laury rozgniewała ją.

- Jesteśmy teraz w ośrodku szkoleniowym - przypomniała kwaśno. - Może łaskawie odłożycie rodzinne sprzeczki do czasu, aż wrócimy do swoich pokojów?

Miała rację.

- Dobra - westchnęła Laura, patrząc na przyjaciółkę. - Włóż wadery do dużego plecaka. James, w przedniej kieszeni plecaka

jest plastikowe pudełko z narzędziami. Weź je i chodź ze mną.

Zadowolony, że ominęło go nieprzyjemne zadanie pakowania ubłoconych waderów, James wziął pudełko i okrążywszy róg baraku, podszedł do jego frontowej ściany. Znajdowały się tam aluminiowe drzwi z przynitowaną do nich żółto-czarną tabliczką:

UWAGA, WYSOKIE NAPIĘCIE  
640 V  
WSTĘP TYLKO DLA WYKWALIFIKOWANEGO  
PERSONELU  
RYZYZKO ŚMIERTELNEGO PORAŻENIA

- Mówiłaś, że to tylko skrzynka z bezpiecznikami - przeraził się James.

Laura wzruszyła ramionami.

- Pewnie są tu i inne rzeczy, ale poradzę sobie.

James odetchnął z ulgą na widok potężnej kłódki na drzwiach.

- Nie wzięliśmy wytrychów - powiedział. - I nie ma mowy, żebyśmy otworzyli tę bestię siłą.

- Nie musimy - odparła Laura, wyjmując z kieszeni klucz i wpychając go do kłódki. - Dobry stary Martin. Klucz był w tej samej szafce co schematy instalacji.

Weszli do mrocznego baraku wypełnionego buczeniem transformatora wielkości pralki. Na tablicy wiszącej na przeciwległej ścianie widniał tuzin rzędów włączników z uszeregowanymi poniżej bezpiecznikami.

- Otwórz pudełko, potrzebny mi wkrętak izolacyjny.

James wciąż miał zdrętwiałe palce od zimnej wody w rowie i oderwanie plastikowego wieczka zajęło mu dłuższą chwilę.

- Który to jest wkrętak izolacyjny?

Laura rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, wyjmując z pudełka narzędzie.

- Może ten, który wygląda jak wkrętak? Poświeć mi tutaj i nie ruszaj głową, dopóki pracuję.

Spojrzała na szeregi włączników. Każdy był włączony w inny obwód instalacji elektrycznej ośrodka szkoleniowego, o czym świadczyły paski wyblakłej plastikowej taśmy z wytłoczonymi napisami: prysznic, światło (wewn.), światło (zewn. refl.), światło (tor przesk.), bojler, wózek elektr. (ładowanie). Przełącznik z napisem „CCTV” znajdował się w połowie trzeciego rzędu.

- Tu jesteś. - Laura uśmiechnęła się. - Wymienię bezpiecznik na uszkodzony. Kiedy instruktor tu wejdzie, będzie to wyglądało, jakby korek strzelił z powodu skoku napięcia.

Pochyliła się, by odczytać napis na korpusie bezpiecznika.

- Piętnaście amperów, typ C.

Laura pogmerała w pudełku z narzędziami i wyjęła stamtąd bezpiecznik opatrzony zieloną naklejką. Przerzuciła włącznik obwodu kamer na pozycję „wył.”, po czym wkrętakiem podważyła działający bezpiecznik, wymieniła na wadliwy i ponownie włączyła obwód. Zapłonęła czerwona lampka kontrolna potwierdzająca, że bezpiecznik jest spalony.

- W porządku - powiedziała Laura, uśmiechając się z zadowoleniem. - Dotąd idzie jak po maśle.

Wyłączyli latarki i wyszli z transformatorowni. Pakowanie waderów Jamesa musiało przysporzyć Bethany kłopotów, bo ręce miała upakowane błotem aż po łokcie.

- Gotowe? - zapytała.

Laura przytaknęła skinieniem głowy i spojrzała na zegarek.

- Druga trzydzieści jeden - oznajmiła. - Mamy jakieś dziesięć minut, zanim instruktor przyjdzie wymienić bezpiecznik.



## 4.UCZTA

Szkolenie podstawowe to prawdziwe piekło. Rekrut może zrezygnować w każdej chwili, ale jeżeli chce zostać agentem CHERUBA, musi przez to przejść. Jego umysł i ciało są obciążane do granic wytrzymałości przez instruktorów, których nie obchodzi, czy ktoś jest załamany, wycieńczony, głodny lub chory. Ich jedyłą troską jest zahartowanie swoich podopiecznych, by potrafili poradzić sobie z każdą paskudną sytuacją, jaka może przydarzyć im się podczas udziału w tajnej operacji. Kto przetrwał studniowy turnus szkolenia podstawowego, ten potrafił poradzić sobie niemal ze wszystkim.

Patrząc pomiędzy gałęziami na pozbawiony okien betonowy barak, w którym spali kandydaci na agentów CHERUBA, James dał się porwać lawinie wspomnień. Nagle stał się sobą sprzed dwóch lat, kulącym się na wilgotnym i zimnym materacu po dniu wycieńczających treningów, zbyt zmęczonym, by zwracać uwagę na wbijające mu się w bok sprężyny, w smętnym otepieniu słuchającym bębnienia deszczu o blaszany dach.

- Nie widziałam, żeby jakiś instruktor wychodził - wyszeptała Laura i wizja Jamesa pękła niczym bańka mydlana.

Bethany wzruszyła ramionami.

- Przecież musieli zauważyć, że padły wszystkie kamery. Troje dywersantów przekradło się między zaroślami do podwójnych drzwi baraku. Laura mignęła czołówką, płosząc kościstą

dziesięciolatkę, która spędzała noc na zewnątrz, stojąc na jednej nodze plecami do ściany i z rękami założonymi na głowę. Rekruci byli karani w ten sposób za najdrobniejsze przewinienia, a czasem nawet bez żadnego powodu.

- Kto tam jest? - zapytała dziewczynka miękkiem głosem sugerującym kokieterię.

- Natasza? - rzuciła Laura, wychodząc z ukrycia.

- Uciekaj stąd! - pisnęła Natasza, wytrzeszczając oczy z przerażenia. - Large zaraz tu będzie. Jedna z kamer celuje prosto na nas.

- Wcale że nie. - Uśmiechnęła się Laura, podczas gdy James i Bethany wychodzili za nią z krzaków. - Przerwaliśmy obwód. Pewnie właśnie próbuje go naprawić.

Zrozumiawszy, że kamery są wyłączone, Natasza zdjęła dłonie z głowy, stanęła na obu nogach i zaczęła rozmasowywać obolałą łydkę.

- Auuuu - jęknęła. - Okropnie boli takie stanie na jednej nodze. Ale mówię wam, Large ciągle jest w środku. Widziałabym, gdyby wyszedł.

- Niech to szlag - zaklęła Laura.

- Czemu jeszcze tam siedzi, skoro wyłączyliśmy kamery? - zastanawiała się Bethany.

- Może się zdrzemnął - powiedział James.

- A wy co tu robicie? - zapytała Natasza.

- Misja ratunkowa - rzuciła Laura. - Uratować was nie uratujemy, ale przynieśliśmy trochę żarcia i suchych ciuchów, żeby wam odrobinę ulżyć.

- Ale czad! - ucieszyła się Natasza, unosząc się z radości na palcach bosych stóp. - Ale wy jesteście odważni.

Bethany sięgnęła do plecaka i wyjęła pakunek owinięty celofanową folią do mrożenia żywności.

- Trzy snickersy, ciastka owsiane, dwa kartony soku pomarańczowego i dwie zmiany czystej bielizny – wyjaśniła z dumą. -

Pozbyliśmy się zbędnych opakowań, ale musicie pilnować, żeby instruktorzy nie zobaczyli u was niczego, czego nie powinniście mieć.

Natasza rozdarła pakunek i odgryzła potężny kęs snickersa. Ze wzruszenia zaszkliły się jej oczy.

- Mmm - zamruczała. - Umieram z głodu. Wczoraj przez trzy godziny biegaliśmy po torze przeszkód, a na kolację była tylko ta zielona rozwodniona zupa.

- O Boże - skrzywił się James. - Zapomniałem o rekruckiej zupie. Ten syf sam cofał mi się z żołądka, choćbym nie wiem jak był głodny.

Natasza wgryzła się w ciastko owsiane, a James, Laura i Bethany popatrzyli po sobie.

- To co robimy, skoro Large ciągle tam jest? - zapytał James.

- Najprawdopodobniej śpi - powiedziała Laura.

- Ale plan zakładał, że będzie na drugim końcu ośrodka - przypomniała Bethany. - Może wybiec stąd w każdej chwili.

Pół minuty wcześniej James nalegałby na odwołanie akcji i powrót, ale wspomnienia, jakie obudził w nim widok baraku mieszkalnego, oraz ekstatyczna reakcja Nataszy skutecznie zmieniły jego nastawienie.

- Doszliśmy już tak daleko - powiedział. - Ja bym spróbował wejść, jeżeli nie pękacie.

Laura i Bethany wymieniły zdumione spojrzenia, po czym ochoczo pokiwały głowami. James otworzył drzwi baraku i wśliznął się do mrocznego korytarza. Uderzył go zapach prosto ze szkoleniowych koszmarów sennych: pot, środek do dezynfekcji i mokry beton.

Postąpiwszy trzy kroki, dotarł do otwartych drzwi pokoju instruktorów i zajrzał do środka. Tak jak się spodziewał, kolosalne cielsko Normana Large'a leżało bezwładnie na sfatygowanej kanapie. Na biurku po przeciwnej stronie sześć monitorów migotało czarno-białą kaszą.

Najwredniejszy z pracowników CHERUBA bardzo się zapuścił, odkąd rok wcześniej przeżył upokarzającą degradację ze stanowiska szefa szkolenia. Jego twarz porastała niechlujna broda, a talię opasywała miękka opona sadła.

Nagle...

- Nie, tylko nie paluszki rybne... - poprosił mamrotliwie Large, a James nerwowo skrył się za ścianą.

Large mówił przez sen. Laura uśmiechnęła się drwiąco, jakby chciała powiedzieć: „Co za lamer miewa koszmara o paluszkach rybnych?”

- No dobra - szepnął James do dziewcząt. - Idźcie tam i rozdajcie paczki, tylko szybko. Jak Large się obudzi, jesteśmy martwi.

Dziewięcioro dzieci w wieku od dziesięciu do dwunastu lat spało twardo, tak jak można się spodziewać po kimś, kto ma za sobą trzydzieści sześć dni wyczerpujących treningów. James czuł przy drzwiach, podczas gdy Laura obudziła Rata, a Bethany pobiegła do łóżka Jake'a.

Jedynie oświetlenie zapewniały zielone znaki „Wyjście” nad drzwiami ewakuacyjnymi. James nie był zbyt sentymentalny, ale poczuł twardą kulę w gardle, kiedy Bethany obudziła młodszego brata i przytuliła go w czułym uścisku.

- Co wy tu robicie? - przeraził się Jake, patrząc, jak Bethany wyjmuje z plecaka paczkę. - O Boże, czy to jest snickers?

Podczas gdy Jake na przemian szczyrzył się do siostry, szlochał i opychał czekoladą, Laura przywitała Rata krótszym uściskiem, po czym ruszyła na obchód, budząc pozostałych rekrutów i rozdając im paczki.

Po minucie dziewięcioro kursantów siedziało na łóżkach, objadając się czekoladą i wysysając sok z kartonów. Wyglądali na szczęśliwszych, niż dawały im do tego prawo ich posiniaczone i wymizerowane ciała.

Dwaj chłopcy, którym James udzielał kiedyś korepetycji z matematyki, podszli do niego, by zapytać o najnowsze plotki z

kampusu. Laura zaczęła zbierać kartony i inne opakowania, żeby podczas porannej inspekcji instruktorzy nie natrafili na żaden ślad nocnej wizyty.

Z pokoju instruktorów dobiegło przeciągłe chrapnięcie. James natychmiast otrząsnął się z imprezowego nastroju, przypominając sobie, w jak niebezpieczną sytuację się wpakowali.

- Pospieszcie się - szepnął, rozglądając się nerwowo. - To nie herbatka u cioci.

Bethany wymieniła z bratem pożegnalny uścisk, a Laura zapięła plecak ze śmieciami i podeszła do Jamesa. Odwróciła się, chcąc pomachać Ratowi, ale nagle zmieniła zdanie i podbiegła do jego łóżka, by pożegnać go pocałunkiem.

Zamierzała cmoknąć go w policzek, ale Rat odwrócił głowę w złym momencie i ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Po milisekundzie wahania przed sennymi brązowymi oczami chłopaka pomyślała: „A co mi tam”, i pocałowała go w usta. Trwało to trochę zbyt krótko jak na prawdziwy pocałunek, ale było zdecydowanie czymś więcej niż całusek, jaki składa się na policzku babci.

Zresztą Laura nie wiedziała dokładnie, co to było. Wycofując się w stronę wyjścia, czuła tylko, że jej umysł fika koziołki.

- Będziesz fantastycznym agentem, Rat - wykrztusiła, z trudem powstrzymując łzy.

Gdy dotarła do drzwi, powiodła wzrokiem po sypialni, starając się ukryć swój stan emocjonalny przed bratem.

- Jestem pewna, że wszyscy przejdziecie to szkolenie - dodała.

James pomachał rekrutom, którzy entuzjastycznie dziękowali przybyszom za ich poświęcenie.

- Nie dajcie się zniszczyć tym bydlakom - powiedział z uśmiechem. - Powodzenia.

Upewniwszy się, że Large wciąż śpi, James, Laura i Bethany wyszli na zewnątrz, szybko pożegnali się z Nataszą i puścili biegiem w stronę głównej bramy.

- To było super! - wysapał radośnie James, kiedy w bezpiecznej odległości od baraku zwolnili, przechodząc do marszu. - Large nieprędko włączy te kamery.

Jak często ma się okazję sprawić komuś taką frajdę?

Bethany wyglądała na zafrasowaną.

- Mam nadzieję, że Jake przejdzie to szkolenie.

- Poradzi sobie, Bethany - powiedział James, współczując jej po raz pierwszy w historii ich znajomości.

- On wciąż jest mały, James.

- Ale twardy jak stare glany.

Wzruszająca scena w baraku doprowadziła do osobliwej zamiany ról. Teraz to James był przywódcą, podczas gdy Bethany zamartwiała się losem brata, a Laura najwyraźniej opuściła planety Ziemia.

- Właśnie pocałowałam chłopaka... W usta! - przekonywała siebie, jakby część jej umysłu nie mogła uwierzyć, że to naprawdę się stało.

James poruszył brwiami.

- Prędej czy później to musiało się stać.

Laura odchyliła głowę do tyłu, by spojrzeć w gwiazdy.

- Chłopaka - powtórzyła, niepewna, czy szczerzyć się w uśmiechu, czy krzywić z obrzydzenia.

Po krótkim spacerze betonową alejką dotarli do głównej bramy. James zawałał się przed jej otwarciem.

- Ziemia do Laury - powiedział, machając dłonią przed twarzą siostry. - Weź się w garść, dziewczyno. Kiedy otworzę tę bramę, włączy się alarm, Large wróci z krainy rybnych paluszków i lepiej, żebyśmy wtedy byli daleko stąd.

- Mhm - przytaknęła Laura nieobecnym głosem.

W momencie, w którym James pchnął skrzydło bramy, zawyła syrena, a na ogrodzeniu ośrodka szkoleniowego błysnęły reflektory.

Przedkładając szybkość nad niewidzialność, chłopak poprowadził dziewczęta przez boiska zamiast krętą ścieżką między drzewami, którą szli w drugą stronę.

Po sześciu minutach sprintu w mniej więcej prostej linii dotarli do głównego budynku kampusu. Skierowali się prosto do drzwi ewakuacyjnych na tyłach, które Laura podparła klinem, żeby się nie zatrzęsęły.

Zdjęli przemoczone buty i trzymając je zawieszzone na palcach, pobiegli na górę w mokrych skarpetkach. Na szóstym piętrze James powiedział dziewczętom „Dobranoc” i odłączył się, pozostawiając im do pokonania jeszcze cztery ciągi schodów na ósme piętro, gdzie mieszkały.

Wszedł do pokoju, pełen ambiwalentnych uczuć. Był zły na Laurę za to, że go szantażowała, choć teraz pojmował, że robiła to wszystko w słusznej sprawie.

Ściągnął z siebie wierzchnie ubranie i opadł na puf przed telewizorem zupełnie wykończony. Było sześć po trzeciej rano. Tej nocy nie spał ani chwili, a od brodzenia w błocie i biegania koszmarnie bolały go nogi. Za niespełna cztery godziny miał iść na trening, a przed pójściem do łóżka musiał jeszcze wziąć prysznic i namoczyć ubłocone ubranie.

Jednak przede wszystkim musiał się czegoś napić. Kiedy przykucnął przy miniaturowej lodówce, nie mogąc wybrać pomiędzy pepsi i sprite'em, rozdzwonił się telefon przy jego łóżku.

Telefony nie dzwonią o trzeciej sześć rano. James odebrał niechętnie, domyślając się, że to Laura albo Bethany ma jakieś pytanie w sprawie nocnej akcji, ale głos w słuchawce był znacznie starszy, miękki i z lekkim szkockim akcentem.

- Witam.

Tętno Jamesa skoczyło do miliona uderzeń na minutę. To był Mac, prezes, sam najwyższy szef CHERUBA.

- Och... - stęknął James, udając ziewnięcie. - Obudził mnie pan.

- Czyżby? - zaśmiał się doktor McAfferty. - Zatem rozumiem, że lunatykowałeś przez całą drogę przez las, ośrodek szkoleniowy, sypialnię rekrutów i z powrotem do swojego pokoju.

- To pan wszystko... - zaczął James i ze złością uderzył pięścią w dywan.

Nie było wątpliwości: gównem jednak wpadło w wentylator.

- Siedziałem sobie u siebie i oglądałem wasz występ przez kamery rezerwowego układu CCTV - dokończył za Jamesa Mac.

- Dlatego rano o dziewiątej trzydzieści chcę widzieć ciebie, twoją siostrę Laurę oraz Bethany Parker w moim biurze. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

- Tak, proszę pana - powiedział ponuro James, przeklinając w duchu swoje parszywe szczęście.

W słuchawce kliknęło i zapadła cisza.



## 5. KARA

Kiedy ktoś miał kłopoty, doktor McAfferty, mistrz suspensu, lubił przedłużać jego cierpienie, zmuszając do czekania przed drzwiami swojego gabinetu. Z dziewiętej trzydziści zrobiła się dziesiąta. James, Laura i Bethany siedzieli w szeregu na krzesłach obitych skajem, bębniąc nerwowo palcami i wykręcając na wszystkie strony rozmaite części ciała. Nieopodal siedziała za biurkiem sekretarka Maca, wystukując pisma, odbierając telefony i wskazując groźnie na znak „Zachowaj ciszę”, jeśli ktoś z trojga gości odważył się wydać jakikolwiek dźwięk.

Winowajcy chcieli wyrzeć jak najlepsze wrażenie i wszyscy ubrali się w świeżutkie uniformy CHERUBA: pięknie wyczyszczone wojskowe buty, oliwkowe bojówki i koszulki w kolorze odpowiadającym randze. Bethany miała szarą, James granatową, a Laura czarną.

Im dłużej James rozmyślał o swojej sytuacji, tym bardziej był wściekły na Laurę za to, że wciągnęła go w to bagno.

Dochodziła jedenasta, kiedy wreszcie ich wezwano. Gabinet Maca był przestronnym pomieszczeniem urządzonym z majestatycznym przepychem. Stało w nim gigantyczne dębowe biurko, a przy ścianach regały z książkami sięgające do sufitu. Teraz wiele półek było opróżnionych, a na podłodze leżały kartonowe pudła z książkami przygotowanymi do wyniesienia. James był zaskoczony.

- Myślałem, że zostaje pan jeszcze na dwa miesiące.

Mac rzucił półkom smutne spojrzenie zza biurka.

- Odchodzę dopiero w lipcu - westchnął - ale łatwiej jest wywozić do domu po kilka pudeł naraz.

- Czy to prawda, że pan wcale nie chciał odejść? - zapytała Bethany.

Mac uśmiechnął się.

- Może i CHERUB to wyjątkowa organizacja, ale ja muszę przejść na emeryturę w wieku sześćdziesięciu pięciu lat tak samo jak każdy inny pracownik rządowy. Poza tym to jest praca dla młodych. Obowiązki dyrektora szkoły, polityka i szpiega w jednym. Nie mam już tyle energii co dawniej i jest wiele osób, które z powodzeniem mogą mnie zastąpić.

- Na przykład kto? - zainteresowała się Laura.

W związku z bliskim odejściem Maca na emeryturę tożsamość nowego szefa stała się w kampusie tematem numer jeden.

Mac rzucił agentom dziwne spojrzenie, poważne i lekko przygnione wzruszeniem. Nagle przemówił nietypowym dla siebie ostrym tonem.

- Siadajcie przy biurku, proszę. Zebraliśmy się tutaj po to, żeby omówić nie moją przyszłość, ale waszą, a zwłaszcza konsekwencje waszej wczorajszej nieautoryzowanej operacji.

James nie mógł powstrzymać ciekawości. - Jak pan się dowiedział? - zapytał, siadając między dziewczętami.

Ton głosu prezesa zmiękł i Mac prawie się uśmiechnął.

- Jeden z pracowników przyłapał Martina Newmana na kradzieży klucza do sali generatorów.

Laura i Bethany westchnęły jednocześnie.

- Jak dobrze wiesz, Bethany - ciągnął Mac - młody Martin podkochuje się w tobie. Nie chciał cię wsypać i przyznał się, że ukradł klucz dla was dwojga dopiero wtedy, kiedy zagroziłem mu

zakazem udziału w tajnych operacjach. Kiedy byliście w szkole, przeszukałem wasze pokoje i znalazłem wielki plan Laury.

Mac podał im nad biurkiem dużą kserokopię.

- Kiedy przekonałem się, że nie grozi nam poważne naruszenie bezpieczeństwa kampusu, postanowiłem pozwolić wam działać. Zawsze ciekawie jest zobaczyć, do czego zdolne są nasze dzieciaki.

Podczas gdy Mac mówił, James przeglądał plan Laury. Napisany był jej najstaranniejszym pismem, z wykresami, mapkami, szczegółowym harmonogramem działań i spisem potrzebnego wyposażenia.

Nagle jego uwagę przyciągnął podkreślony tytuł na dole strony i wypisana pod nim lista.

#### ZALETY I WADY ZABRANIA JAMESA

ZA:

Zakochany w Kerry, a więc łatwo go szantażować.

Zrobi, co mu się każe.

Silny - może nieść tony sprzętu!

PRZECIW:

Nienawidzi Bethany - ciągle się kłóca.

Trochę przygłupi.

- Co do kur... - James w ostatniej chwili ugryzł się w język, przypomniawszy sobie, gdzie jest.

Laura poczerwieniała i skuliła się na krześle. Mac uśmiechnął się, najwyraźniej dokument wywarł dokładnie takie wrażenie, jakiego oczekiwał.

- Możesz wrócić na lekcje, James - powiedział Mac. - Rzecz jasna, nie jestem zachwycony twoją rolą w tym przedsięwzięciu i możesz uważać się za ostrzeżonego, ale zostałeś zmuszony do tego przez swoją siostrę, dlatego sędzę, że to ona i Bethany zasłużyły na karę.

James powinien odczuć ulgę, skoro tak łatwo wykipił się z kłopotów, ale lista za i przeciw Laury była tak bezduszna, że podziała na niego jak cios pięścią w głowę. Kochał swoją siostrę bardziej niż kogokolwiek na świecie, włączając Kerry, ale właśnie odkrył, że uczucie to najwyraźniej nie jest odwzajemniane.

- To nie tak, jak ci się wydaje, James! - krzyknęła żałośnie Laura, zrywając się z krzesła i odwracając za bratem.

James bez słowa wyszedł z gabinetu.

- Siadaj, Lauro Adams! - ryknął Mac. - Nieczęsto bywam wściekły, ale wy dwie fatalnie działacie mi na nerwy.

Laura opadła na krzesło, czując, że kręci jej się w głowie. Jeszcze nigdy nie widziała Maca tak rozgniewanego, co było dziwne, bo sądziła, że była w znacznie większych tarapatkach, kiedy przyłożyła Large'owi szpadlem.

- W kampusie muszę załatwiać różne przykre sprawy - grzmiał prezes. - Dzieciaki wdają się w bójki, dzieciaki nie odrabiają lekcji albo pyskują nauczycielom. Mogę z tym żyć, bo to normalny element dorastania, ale czymś, czego nie cierpię, jest tyranizowanie innych. Uczymy was, jak manipulować ludźmi podczas tajnych operacji, ale wykorzystywanie tych umiejętności w celu zmuszania waszych kolegów do robienia rzeczy, których nie chcą robić, jest absolutnie nie do przyjęcia. Bethany Parker, wiedziałaś, że Martin Newman kocha się w tobie, i złożyłaś mu szereg obietnic, których nie miałaś zamiaru dotrzymać. Ty, Laura, stoczyłaś się jeszcze niżej, szantażem zmuszając własnego brata do zrobienia czegoś, co groziło mu poważnymi kłopotami.

- To nie fair! - krzyknęła Laura. - To nie było tyranizowanie. Zrobiliśmy to wszystko, żeby pomóc Jake'owi i innym rekrutom.

- Och, jakie to szlachetne - zadrwił Mac. - Wasze sposoby może i były subtelniejsze od stawiania kogoś pod ścianą i groze-

nia mu pobiciem, ale w moim świecie wszystko, co wiąże się ze zmuszaniem ludzi do działania wbrew ich woli, kwalifikuje się jako tyranizowanie.

- Nawet nie wiedziałam, że ona szantażuje Jamesa - przerwała Bethany. Laura gwałtownie odwróciła się w stronę najlepszej przyjaciółki. - Zacznijmy od tego, że to ty wymyśliłaś większość planu.

Bethany uniosła ręce w przepaszającym geście. Nie miała zamiaru rzucać winy na Laurę, ale tak to właśnie zabrzmiało.

- Wiesz, co ja myślę, Lauro? - zapytał Mac. - Jesteś jednym z naszych najlepszych agentów, co zresztą udowodniłaś, planując i przeprowadzając waszą małą nocną eskapadę. Jesteś także jedną z najmłodszych czarnych koszulek w historii CHERUBA. W głębi serca ani przez sekundę nie wierzyłem i nie wierzę, że jesteś złym człowiekiem, sądzę jednak, że sukcesy, jakie odniosłaś w ciągu minionego roku, uderzyły ci do głowy. Zaczęłaś porywać się z motyką na słońce. Obie dostajecie po czterysta karnych okrażeń na bieżni lekkoatletycznej. Biegając, być może zastanowicie się nad waszym lekceważącym podejściem do naszych zasad, do mienia kampusu oraz - co najważniejsze - nad niewiarygodną podłością, z jaką potraktowałyście Jamesa i Martina. Odbieram wam także miesięczne kieszonkowe, które posłuży do pokrycia kosztów naprawienia ogrodzenia, oraz oczekuję, że napiszecie starannie przemyślane przeprosiny dla waszych ofiar.

Czterysta karnych okrażeń na bieżni wprawiło dziewczęta w osłupienie. Ich zwykle hiperaktywne szczęki powoli opadły, korzystając z okazji do jakże zasłużonego odpoczynku.

Mac uśmiechnął się lekko.

- Rzecz jasna, nie musicie przebiec całego dystansu naraz. Daję wam na to trzy tygodnie. Dwadzieścia okrażeń dziennie to będzie

raptem osiem kilometrów i jeszcze zostanie wam jeden dzień na odpoczynek.

Laura poczuła, że zbiera jej się na płacz. Bieganie było surową karą, ale przetrwała już gorsze rzeczy. Tym, co naprawdę ją martwiło, był wyraz twarzy Jamesa, kiedy wychodził z gabinetu. Wyglądał, jakby wyrwała mu serce.

## 6. SKRUCHA

320 okrążeń później

Laura mogła bez trudu przebiec osiem kilometrów, ale co innego zrobić to raz na jakiś czas, a co innego biegać tak codziennie. Mięśnie nie miały czasu na regenerację, a drobne kontuzje na wyleczenie, przez co po czterech dniach pięćdziesięciminutowy bieg okazał się ponad jej siły. Trenerka lekkoatletyki Meryl Spencer doradziła jej podzielenie dziennego dystansu na poranną i wieczorną sesję oraz pokonywanie go powoli, marszem lub truchtem. Dzięki temu bieg stał się dla Laury do zniesienia, ale też zabierał dwugodzinny wycinek z jej dnia szczerlnie wypełnionego - jak w wypadku każdego cherubina - lekcjami, pracą domową, treningami i okazjonalnymi ćwiczeniami operacyjnymi.

Na domiar złego windy w głównym budynku zamknięto z powodu corocznej konserwacji. Laura i Bethany, zupełnie wykończone, przystanąły na szóstym piętrze, żeby odsapnąć. Po wieczornym biegu wzięły prysznic w szatni. Miały mokre włosy, a w rękach torby wypchane wilgotnymi ręcznikami i strojami sportowymi.

- Masz - powiedziała nagle Laura, wyciągając swoją torbę w stronę Bethany. - Rzuć to w moim pokoju, dobrze? Idę zobaczyć, czy James jest u siebie.

- Nie rób tego - powiedziała Bethany ostrym tonem. - Niech się trochę pogryzie. Sam przyleci, jak będzie czegoś od ciebie potrzebował.

- Aaaa! - zaryczała Laura, łapiąc się za głowę. - Przestań tak mówić, Bethany! W te kłopoty wpackowałeś nas ty i ten twój sposób myślenia.

- Jaki sposób myślenia? - zapytała urażona Bethany.

- Zawsze przewidujesz, jak wszyscy będą reagować. Zawsze musisz myśleć na pięć kroków naprzód.

- Jak chcesz. Dawaj te brudy - powiedziała Bethany, wyjmując torbę z rąk Laury. - Ale nie zwalaj winy na mnie, jeśli okaże się, że tylko pogorszyłaś sprawę.

Prawdziwa przyjaźń pozwala na mówienie sobie rzeczy, jakich nigdy nie powiedziałyby się zwyczajnym znajomym. Laura i Bethany nieustannie sobie przygadywały, ale nigdy nie przerodziło się to w poważną kłótnię.

- Życz mi powodzenia - uśmiechnęła się Laura.

- No, dobra, dobra - rzuciła Bethany i odwzajemniła uśmiech.

- Ale gdyby nie zabrali nam kieszonkowego, założyłabym się o ostatniego pensa, że James cię oleje.

- Taka z ciebie przyjaciółka - powiedziała Laura, cofając się o kilka kroków, po czym odwróciła się i wolno ruszyła w stronę pokoju brata.

Zbliżając się do drzwi, uświadomiła sobie, że pakuje się w bardzo niezręczną sytuację, i prawie zapragnęła, żeby Jamesa nie było w pokoju. Nie zapukała ustalonym szyfrem, bo nie chciała dostać odprawy, jeszcze zanim przestąpi próg.

- Czego chcesz? - zapytał James agresywnie, kiedy odwrócił się od biurka zawałonego pracami domowymi, by w uchylonych drzwiach ujrzeć głowę siostry.

Laura wsunęła się do pokoju ze smutną miną.

- Wcale mnie nie nienawidzisz, prawda, James?

To było trudne pytanie i James wołał na nie nie odpowiadać.

- Mam do napisania duże wypracowanie z ruska - burknął. - Teraz nie mam czasu.



Laura układała w myśli przemówienie przez cały wieczorny bieg, ale teraz miała pustkę w głowie i stać ją było najwyżej na biadolenie.

- Przeprosiłam cię już z pięćdziesiąt razy, James. Kupiłam ci nawet tę grę na Playstation. Co jeszcze mam zrobić, żebyś mi wybaczył?

- Nic od ciebie nie chcę. Powiedziałem ci, żebyś zwróciła tę grę do sklepu.

Od spotkania w gabinecie Maca Laurze było naprawdę przykro z powodu całej tej sprawy z szantażem, ale była też lekko zirytowana tym, że James nie chce jej przebaczyć.

- Ty też nie jesteś ideałem, wiesz? - powiedziała płacząco. - Wsadziłeś mnie na minę już nie wiem ile razy, niszczyłeś moje rzeczy, nawet mnie uderzyłeś.

- Wiem, że mam podły charakter - warknął James. - Ale nigdy nie planowałem z kumplami wrobienia cię w jakieś bagno, tłumacząc im, że jesteś przygłupia.

- To nie było tak, przysięgam - zapewniła rozpaczliwie Laura. - Wiem, że to wyglądało cynicznie zapisane w ten sposób na tamtej kartce, ale myślałam tylko o tym, że muszę pomóc Jake'owi i Ratowi. Układałam plan i po prostu notowałam rzeczy, które przychodziły mi do głowy. Bethany tego nie widziała, dopiero wtedy, w biurze Maca...

- Miałaś gdzieś moje uczucia i to, że mogę wpakować się w kłopoty.

- Zrobiłam źle, James, i naprawdę bardzo mi przykro. Chyba nigdy nie postąpiłam gorzej w całym swoim życiu. Ale dostałam za swoje. Jestem wykończona, nogi bolą mnie tak, że rano nie mogę wstać, mam poobcierane uda i gigantyczne pęcherze na piętach.

James uśmiechnął się lekko. Laura miała przebłysk nadziei, że udało jej się dotrzeć do brata, ale w następnej chwili pojęła, że był to uśmiech złośliwej satysfakcji, a nie przebaczenia.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział James, wyciągając palec w stronę siostry. - Kyle cię namówił, tak?

Laura zmarszczyła brwi.

- Skąd, do diabła, przyszedł ci do głowy Kyle? Wrócił z misji ledwie tydzień temu, a ja, jak wiesz, ostatnio nie miałam zbyt wiele czasu na życie towarzyskie. Minęłam go raz na korytarzu i pogratulowałam czarnej koszulki, ale to wszystko.

- Znaczy nic nie wiesz o misji, na którą jedziemy? - zapytał James nieprzekonany. - To czysty przypadek, że przychodzisz dręczyć mnie akurat dzisiaj, w dniu, w którym ja i Kyle mieliśmy odprawę?

- James, przysłałam po to, żeby cię jeszcze raz przeprosić - powiedziała stanowczo Laura i westchnęła. - Bethany miała rację, po co zawracam sobie głowę. Brakuje mi twojego towarzystwa i rozmów, James, ale skoro nie wierzysz w ani jedno moje słowo, to nic na to nie mogę poradzić.

- To nie jest tak, że cię nienawidzę - powiedział James. - Po prostu...

Nagle poczuł gniew na samego siebie za to, że dał się rozmiękczyć. Wstał i wskazał palcem punkt na dywanie tuż przed swoimi stopami.

- Chodź tutaj - warknął.

Laura nie wiedziała, czy chce ją przytulić, czy uderzyć, ale podeszła bliżej.

- Człowiek myśli, że zna ludzi - powiedział James, kładąc ciężko dłonie na ramionach siostry. - Ja myślałam, że znam ciebie.

Laura zadrżała pod spojrzeniem brata. Nie tyle patrzył na nią, ile świdrował ją wzrokiem na wylot. Moc tego spojrzenia w nieprzyjemny sposób przypominała jej, jak bardzo zraniła jego uczucia.

- Czy możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że Kyle nie powiedział ci nic o odprawie? - zapytał James.

W głosie Laury pobrzmiwał lęk.

- Nie wiem nic o żadnej misji, James. Co się dzieje? Przestań mnie straszyć. James uświadomił sobie, że zachowuje się dziwnie.

- Przepraszam - powiedział, przeczesując włosy dłonią. - Po prostu mamy tu niezły zbieg okoliczności. Lepiej, żebyś nie kłamała.

Laura z irytacją klepnęła się w udo.

- Ile razy mam ci powtórzyć, że nic o tym nie wiem?

- Dziś po południu Zara Asker wezwała mnie i Kyle'a do centrum planowania - wyjaśnił James, ostatecznie decydując się zafać siostrze. - Wygląda na to, że za jakiś tydzień jedziemy na misję, ale potrzebna nam trzecia osoba, żebyśmy mieli krycie ze wszystkich stron. To musi być ktoś młodszy, najlepiej dziewczyna. Od razu pomyśleli o tobie, ale powiedziałem Zarze, że nie idę na to.

Laura potrząsnęła głową.

- Wielkie dzięki.

- Zara zgodziła się, że skoro się nie dogadujemy, posyłanie nas razem na misję nie wróży niczego dobrego. Poprosiła mnie i Kyle'a, żebyśmy zaproponowali jakąś inną dziewczynę w twoim wieku, która mogłaby cię zastąpić. Myślałem o Bethany, Wiktorii, Meli, Chloe, wszystkich tych twoich psiapsiółkach, no i w końcu... Tak jakby uświadomiłem sobie, że najbardziej to chciałbym pojechać na misję z tobą.

Laura wzruszyła się, ale starała się tego nie okazywać.

- Kyle robił wszystko, żeby namówić mnie do pogodzenia się z tobą - ciągnął James. - Dlatego dostałem paranoi, kiedy cię tutaj zobaczyłem.

- Rozumiem - powiedziała Laura, spuszczać wzrok i wierząc stopą dziurę w dywanie. - No więc...

- No więc kolejna odprawa jest jutro o jedenastej. Jeżeli chcesz jechać z nami na misję, to... bądź tam.

## 7. DYSKOMFORT

Następnego dnia Laura i James wpadli na siebie po drugiej lekcji, w drodze do centrum planowania misji. Rozmawiali, nic w istocie nie mówiąc, starannie ważąc słowa, by nie jątrzyć świeżych jeszcze ran.

Jak zwykle supernowoczesne urządzenie do identyfikacji wzoru tęczęwki, broniące dostępu do budynku centrum, nie działało. Kartka na drzwiach wyjaśniała sposób działania mniej wyrafinowanego systemu zabezpieczeń:

KAŻDY DZIECIAK,  
KTÓRY WEJDZIE TU BEZ UPOWAŻNIENIA,  
BĘDZIE BIEGAŁ PO TORZE PRZESZKÓD  
DO WYRZYGANIA

Przestronny gabinet Zary mieścił się na końcu lekko zakrzywionego korytarza, pięćdziesiąt metrów od wejścia. Zara miała trzydzieści kilka lat, ale wydawała się starsza i promieniowała sympatyczną mamusiowością, nawet siedząc za biurkiem, które wyglądało, jakby należało do prezydenta.

Szesnastoletni Kyle Blueman pólleżał na zamuszonej kanapie pod ścianą, ze stopami wspartymi na szklanym stoliku. Czytał dokumenty ze stosu papierowych teczek zawierających raporty z policyjnego nadzoru. Kyle zawsze był drobny, ale niedawne

swoim chłopakiem, nie racząc nas wcześniej zawiadomić, a ja miałem się dostać do lekarza. Mała ma gorączkę.

- Koszmar - zaśmiał się James. - Przypomnij mi, żebyśmy mieli dzieci.

Zara westchnęła.

- Ktokolwiek zostanie nowym prezesem, od razu biegnij do biura i żądam przedszkola dla pracowników.

Mały Joshua rzucił Jamesowi błagalne spojrzenie.

- Pobawisz się ze mną?

James nie wiedział, co planuje Zara, i spojrzał na nią niepe

Zara przeszła na ton stanowczej mamy.

- James pobawi się z tobą przez dziesięć minut, ale potem wrócić do pracy.

James postawił malca na podłodze, ale ten potrzęsnał głową.

- Nie! Do wieczora.

- James nie może bawić się do wieczora - powiedziała Zara. - Jest dużym chłopcem i ma ważne rzeczy do zrobienia.

Duży chłopiec, tak? James usiadł na dywanie między zabawkami Joshui, czując się trochę jak idiota.

Kyle uśmiechnął się złośliwie.

- Słodka z was parka, wiesz?

Laura omal nie wtrąciła, że psychicznie są w tym samym wieku, ale ugryzła się w język, pamiętając, że James wciąż ma do niej żal.

Pomagając małemu ustawić samochodziki do wyścigu po dywanie, James spojrzał na Zarę.

- Joshua jedzie z nami na misję?

Zara wydawała się dziwnie przestraszona pytaniem.

- No wiesz... Nie było problemu, kiedy był mały, ale teraz, kiedy nauczył się mówić, nie może jeździć na misje - powiedziała cicho.

James zrozumiał, że wspomniał o niewspominalnym, kiedy obejrzał się i ujrzał twarz Joshui wykrzywiającą się do płaczu.

- Ja chcę na wakacje! - zapiszczał malec. - Chcę z mamusią i Jamesem.

Zara uśmiechnęła się dyplomatycznie.

- Kochanie, wyjeżdżam na bardzo krótko. Zostaniesz z tatusem i Tiffany...

Jednak Joshua nie słuchał.

- Ja chcę jechać z tobą! - wrzasnął, kopiąc jakiś samochodzik, po czym rozdarł się na całego.

James wciągnął powietrze przez zęby i spojrzał na Zarę z miną winowajcy.

- Przepraszam...

Kyle pokazał Jamesowi uniesiony kciuk.

- Genialny manewr, stary! - zawołał, przekrzykując wycie dzieciaka.

- Chcę jechać z mamą i Jamesem!
- Może usiądziesz ze mną i pobawimy się samochodzikami? - zapytał James z nadzieją w głosie.
- Nie lubię cię już! - oświadczył Joshua, przewracając się na plecy i wściekle wierzgając nogami.
- Kyle spojrzął na Laurę i przywołał ją, kiwając palcem.
- Niektórzy powiedzieliby, że twój brat jest trochę przygłupi - wyszeptał.
- Laura ze wszystkich sił starała się zachować powagę.
- Nie rozśmieszaj mnie, Kyle - powiedziała niespokojnie. - Zachowałam się podle i wciąż stąkam po cienkim lodzie.
- Kyle sięgnął pod stos teczek i podał Laurze spięty zszywaczem dokument.
- Rzuć okiem na to - powiedział. - Od razu odechce ci się śmiać.

**\*\*TAJNE\*\***

WPROWADZENIE DO ZADANIA  
DLA KYLE'A BLUEMANA, JAMESA ADAMSA  
I (TRZECI UCZESTNIK DO USTALENIA).  
DOKUMENT CHRONIONY ELEKTRONICZNIE.  
KAŻDA PRÓBA WYNIESIENIA GO Z CENTRUM  
PLANOWANIA MISJI SPOWODUJE  
URUCHOMIENIE ALARMU  
NIE KOPIOWAĆ, NIE SPORZĄDZAĆ WYPISÓW.

WSTĘP - WYZWOLENIE ZWIERZĄT

Mówi się, że Wielka Brytania jest krajem miłośników zwierząt. Pierwszymi działaczami na rzecz uznania praw zwierząt byli Brytyjczycy, a w 1822 roku brytyjski parlament uchwalił pierwszą ustawę zakazującą „okrutnego i niestosownego traktowania bydła”.

Główny nurt ruchu obrońców zwierząt zawsze działał z poszanowaniem prawa, ściśle współpracując z rządami, rolnikami, właścicielami

zwierząt domowych i innymi grupami związanymi ze zwierzętami. Jednak w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku pojawiła się nowa fala radykalnych działaczy. Nazywając siebie wyzwolicielami zwierząt, głosili, że jakakolwiek forma wykorzystywania zwierząt przez ludzi jest niedopuszczalna.

Wyzwoliciele wychodzili z założenia, że każda czująca istota winna być traktowana jak równa ludziom. Argumentowali, że nie ma żadnych podstaw do krzywdzenia jakiegokolwiek żywego stworzenia tylko dlatego, że jest mniej inteligentne od człowieka.

Wyzwoliciele sprzeciwiali się jedzeniu mięsa i ryb, produkcji nabiału, hodowli futrzarskiej, produkcji skóry i wełny, działalności cyrków, ogrodów zoologicznych, parków myśliwskich oraz wykorzystywaniu zwierząt do przeprowadzania doświadczeń naukowych. Wielu członków ruchu uważało, że nawet posiadanie zwierząt domowych jest niedopuszczalną formą wyzysku.

#### DZIAŁANIE BEZPOŚREDNIE

Wobec niewielkiego poparcia społecznego i braku pieniędzy niektórzy wyzwoliciele uznali, że najlepszym sposobem na pomaganie zwierzętom i zademonstrowanie swojego radykalnego punktu widzenia będzie podjęcie działań bezpośrednich bez użycia przemocy: organizowanie nalotów i uwalnianie zwierząt z niewoli.

Pierwsi wyzwoliciele rekrutowali się przeważnie spośród studentów i nauczycieli akademickich, zatem naturalną kolejną rzeczą ich pierwsze akcje miały miejsce w miasteczkach uniwersyteckich i polegały na wykradaniu zwierząt wykorzystywanych do eksperymentów naukowych. Te pierwsze naloty organizowane przez kilka tuzinów aktywistów przyniosły ruchowi nadzwyczajny sukces. Media chętnie publikowały opowieści o idealistycznej młodzieży włamującej się do laboratoriów, by uwolnić bezbronne zwierzęta spod władzy okrutnych naukowców. Aktywiści fotografowali udręczone ofiary eksperymentów oraz potwornych warunków, w jakich często je trzymano.



Gazety drukowały zdjęcia wykonane przez wyzwolicieli podczas nalotów. Fotografie przedstawiały zwierzęta poddane poważnej operacji mózgu bez znieczulenia albo z oczami wypalonymi przez chemikalia podczas toksykologicznych testów środków czystości.

Opinia publiczna była wstrząśnięta tym pierwszym wejściem w nieznaną dotąd świat doświadczeń na zwierzętach, toteż kampania wyzwolicieli zyskała z miejsca znaczne poparcie.

W ciągu następnych kilku lat liczba wyzwolicieli biorących udział w działaniach bezpośrednich wzrosła z kilkudziesięciu do kilkuset. Aktywiści sabotowali polowania na lisa i pościgi za żywymi zającami, uwalniali dziesiątki tysięcy zwierząt z ferm futrzarskich i przeprowadzali kampanie reklamowe, które uczyniły noszenie naturalnego futra rzeczą społecznie nieakceptowaną.

Rozgłos, jaki towarzyszył pierwszym akcjom brytyjskich wyzwolicieli, zaainspirował naśladowców na całym świecie. W 1980 roku ruch wyzwolenia zwierząt był już ruchem globalnym z grupami działaczy organizującymi akcje w kontynentalnej Europie, Australii i Ameryce Północnej.

#### KŁOPOTY

Po latach sukcesów wyzwolicieli nadeszły dla nich ciężkie czasy. Wprawdzie brytyjski rząd wprowadził nowe regulacje w dziedzinie eksperymentów na zwierzętach, ale z drugiej strony stworzył przepisy pozwalające łatwiej posyłać bojówkarzy za kratki oraz zlecił policji utworzenie specjalnego zespołu operacyjnego mającego przeciwdziałać nielegalnej działalności obrońców zwierząt.

Myśliwi, naukowcy i hodowcy zaczęli energicznie bronić swoich źródeł utrzymania. W wielu laboratoriach zainstalowano nowoczesne zabezpieczenia, których sforsowanie było równie trudne, jak włamanie się do bankowego skarbcza.

Naukowcy odzyskali także sporo społecznej sympatii, wynajmując specjalistów od wizerunku publicznego, którzy mówili o postępkach w dziedzinie medycyny, jakich nie udałoby się dokonać, gdyby leków i

szczepionek nie testowano na zwierzętach. Aktywistów włamujących się do laboratoriów, by niszczyć sprzęt i wykradać zwierzęta, oskarżano o sabotowanie ważnych programów badawczych mogących ocalić tysiące ludzkich istnień.

Ale wyzwolicielom najbardziej zaszkodziła utrata potencjału szokowego ich kampanii. Zainteresowanie mediów słabło, ludzie obojętnieli. Wstrząsające fotografie, jakie przerażały, kiedy były nowością, oglądane po raz czwarty lub piąty budziły nikłe emocje. Ponadto choć opinia publiczna sympatyzowała z wyzwolicielami, kiedy protestowali przeciwko działaniom, z jakimi większość zwykłych ludzi nie miała do czynienia - na przykład eksperymentowaniu na zwierzętach, produkcji futer czy polowaniom na lisa - poparcie dramatycznie spadło, kiedy aktywiści wzięli na cel bardziej pospolite formy wykorzystywania zwierząt, takie jak jedzenie mięsa, picie mleka, wędkarstwo, noszenie odzieży ze skóry.

#### ROZŁAM

Wspomniane wyżej problemy doprowadziły do kryzysu wewnątrz ruchu wyzwolenia zwierząt. Wielu mniej zaangażowanych aktywistów uległo presji i zaniechało walki. Wielu schwymano, postawiono przed sądem za niszczenie mienia, kradzieże i podpalenia, po czym posłano za kratki z wyrokami sięgającymi dziesięciu lat. Innych porażki skłoniły do zradyzowania poglądów i uznania, że jedyną drogą naprzód jest przemoc.

Wszyscy weterani ruchu sprzeciwiali się przemocy. Ich argumentacja była prosta: ludzie i zwierzęta są równi, zatem stosowanie przemocy wobec ludzi jest tak samo niedopuszczalne jak stosowanie jej wobec zwierząt, w których obronie występują wyzwoliciele.

Jednak nowy odłam bardziej radykalnych aktywistów wysunął nowy argument: skoro ludzie i zwierzęta są równi, czyż nie jest słuszne zastraszenie lub nawet zabicie jednego człowieka, jeżeli prowadzi to do ocalenia życia wielu zwierząt?

## RYAN QUINN

Ryan Quinn był jednym z pierwszych wyzwolicieli zwierząt. Urodzony w Belfaście w 1952 roku w wieku dziesięciu lat odmówił jedzenia mięsa po wypadku podczas rodzinnej wycieczki, kiedy to samochód jego ojca potracił i zabił owcę.

Wkrótce po podjęciu studiów na uniwersytecie w Bristolu wziął udział w akcji uznawanej przez wielu za pierwszy nalot wyzwolicieli. Pomógł wówczas w uwolnieniu sześćdziesięciu ośmiu królików laboratoryjnych, na których prowadzono eksperymenty z przepuszczaniem prądu elektrycznego przez rdzeń kręgowy.

Quinn został aresztowany i choć z braku dowodów policja nie postawiła mu żadnych zarzutów, znalazł się w grupie dwudziestu studentów, których po akcji wyrzucono z uczelni.

Cichy i skromny Quinn, który wolał działać, niż wygłaszać płomienne przemówienia, stopniowo poznał wszystkich z około stu najzagorzalszych aktywistów brytyjskiego ruchu wyzwolenia zwierząt. Wkrótce zdobył reputację specjalisty od planowania skomplikowanych akcji i zaangażował się w organizowanie obozów, w których szkolono setki wolontariuszy z całego świata.

## ZEBRA 84

We wrześniu 1984 roku Ryan Quinn wyszedł z więzienia po odsiedzeniu trzymiesięcznego wyroku za kradzież nagrań wideo z doświadczeń na zwierzętach przeprowadzanych w laboratorium marynarki wojennej, w którym zatrudnił się pod fałszywym nazwiskiem. Siedząc za kratkami, Quinn starannie przemyślał kwestię przyszłości ruchu wyzwolenia zwierząt i doszedł do wniosku, że jego największym problemem jest brak organizacji i ukierunkowania.

Żadna z wczesnych grup wyzwolicieli nie miała formalnej struktury. Ich członkowie organizowali i przeprowadzali akcje, improwizując i wybierając cele według własnego uznania. Kłopot z takim podejściem polegał na tym, że pojedyncze i przypadkowe ataki rzadko wywoływały na tyle silny efekt, by duże i zamożne organizacje mogły odczuć jakąkolwiek presję.

Quinn postanowił utworzyć nową grupę o nazwie Zebra 84 stosującą odmienną metodę działania. Znaczenie nazwy objaśnił w telewizyjnym filmie dokumentalnym nakręconym kilka lat później:

„Zebra jest, krótko mówiąc, pasyastym koniem, ale nikt nie próbuje jej ujeżdżać, ponieważ jest zbyt agresywna. Jeżeli jakiś śmiałek spróbuje wskoczyć jej na grzbiet, zwierzę natychmiast odwróci się i zatopi zęby w jego tyłku. Co więcej, szczęki zebry mają mechanizm blokujący, co oznacza, że ukąszony nie uwolni się inaczej, jak tylko zostawiając w pysku zwierzęcia kawałek własnego poślodka”.

Tak jak zwierzę, od którego zapożyczył nazwę, nowy ruch Quinna miał zatapiać zęby w tyłku wybranej organizacji i nie puszczać, dopóki nie zostanie zniszczona. Pierwszym celem Zebry 84 były szkockie fermy futrzarskie. Zwykle Quinn i trzech lub czterech współników wchodzili na teren wybranego przedsiębiorstwa, uwalniali tyle zwierząt, ile się tylko dało, po czym demolowali lub podpalali zabudowania, w których były zamknięte. W ciągu następnych tygodni aktywiści Zebry bezlitośnie nękali każdego, kto miał cokolwiek wspólnego z wziętą na celownik fermą. Odżegnując się od stosowania przemocy fizycznej, grupa ograniczała się do takich działań, jak: demolowanie samochodów dostawców, kradzież poczty, odcinanie dopływu wody i elektryczności, zaklejanie zamków i zamienianie w piekło życia właścicieli firmy oraz każdego, kto robił z nimi interesy.

W 2001 roku Zebra 84 odniosła swój największy sukces. W efekcie podpaleń, wielu studenckich marszów protestacyjnych i uporczywej walki sprzętu budowlanego - w tym przewrócenia czterdziestometrowej wieży - została wstrzymana budowa laboratorium do doświadczeń na zniszczonego kosztów siedemnastu milionów funtów przez jeden z najbardziej prestiżowych brytyjskich uniwersytetów przy udziale fundacji walki z raką Ministerstwa Obrony.

Zachęcony sukcesem Quinn zdecydował, że następnym celem Zebra 84 będzie Malarek Research. Firma ta, zatrudniająca tysiąc stu pracowników, prowadzi badania w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, od których pochodzi dziesięć procent eksperymentów na zwierzętach przeprowadzanych na całym świecie, w tym za wszystkie doświadczenia zamawiane przez dwóch największych producentów chemii gospodarczej (proszków do prania, piany do mycia, farb do włosów etc.) oraz wiele zleczanych przez największe firmy kosmetyczne. W jej laboratoriach ginie czternaście milionów zwierząt rocznie.

Quinn wiedział, że kampania przeciwko Malarek Research będzie jego i najtrudniejszą w jego życiu. Jego mała grupa nie miała wystarczających sił, by pokonać wielką międzynarodową spółkę, dlatego wykorzystał swój status legendy do nawiązania sojuszy z grupami wyzwolicieli ze Stanów Zjednoczonych, w których Malarek robił interesy.

## WPADKA

Ponad tuzin grup zjednoczyło się w tak zwany Przymierze Zebra. Na nieszczęście dla Quinna jedna z amerykańskich grup, z którymi nawiązał kontakt, została zinfiltrowana przez FBI. Sporządzone przez tajnych agentów nagrania wideo, na których uwieczniono Quinna opowiadającego anegdotę o przewróceniu dźwigu, przesłano brytyjskim władzom.

Zaledwie kilka tygodni od rozpoczęcia kampanii Przymierza Zebra jej organizator został aresztowany, a następnie oskarżony o podpalenie, udział w próbie zorganizowania zamachu terrorystycznego oraz posiadanie nielegalnych materiałów wybuchowych. Groziło mu dożywocie, ale w trwającym sześć tygodni procesie zdołano udowodnić mu tylko jeden zarzut: podpalenie. Sędzia skazał Quinna na sześć lat więzienia.

## OWZ

Wielu uważało, że zawarte przeciwko firmie Malarek przymierze rozpadnie się bez przywództwa Quinna. Jednak choć amerykańskie i kanadyjskie grupy zostały rozpracowane przez FBI i zdołały zorganizować jedynie kilka marszów protestacyjnych, zresztą bacznie nadzorowanych przez policję, kampania wymierzona w brytyjską filię Malarek Research wywarła znaczący wpływ na jej funkcjonowanie.

Wielu znękanych atakami dostawców odmówiło współpracy z laboratorium. Klienci i pracownicy byli zastraszeni groźbami zniszczenia mienia, a firma nie zdołała odnowić ubezpieczenia swoich nieruchomości.

Jednak osiemnaście miesięcy po utracie Quinna Przymierze Zebra uderzyło głową w ścianę. Filia Malarek UK wystarała się o specjalną polisę ubezpieczeniową, gwarantowaną przez rząd, zaś jej firma macierzysta właśnie ogłosiła wzrost zysków.

Dwa dni po ogłoszeniu wyników finansowych prezes Malarek UK Fred Gibbons został napadnięty we własnej sypialni przez cztery zamaskowane kobiety. Włamywaczki unieruchomiły go i ciężko pobiły aluminiowymi kijami „baseballowymi”.

Gibbons miał szesnaście złamanych kości, wliczając pęknięcie czaszki. Jego żona, która próbowała odpędzić napastniczki kijem golfowym, także została pobita.

Przymierze Zebra szybko odżegnało się od zamachu. Quinn potępił ten napad, podkreślając, że Przymierze ściśle stosuje się do zasady niestosowania przemocy fizycznej.

Notka pozostawiona przez terrorystki zawierała złowrogie ostrzeżenie:

Organizacja Wyzwolenia Zwierząt (OWZ) serdecznie prosi pana Fredericka Gibbonsa o porzucenie pracy w Malarek Research, ponieważ następnym razem zabijemy cię!

PS Wiemy, gdzie mieszkają twoje dzieci.

#### QUINN CHCE DZIAŁAĆ

Fred Gibbons spędził dwa miesiące w szpitalu i zrezygnował z pracy dla Malarek Research (oficjalnie z powodów zdrowotnych), ale Organizacja Wyzwolenia Zwierząt dopiero zaczęła swoją kampanię.

W ciągu następnych miesięcy w hrabstwie Avon miało miejsce jedenaście brutalnych ataków na pracowników Malarek Research. Ponadto podpalono dom kurierowi dostarczającemu przesyłki do laboratorium, a członek dykcji banku, który udzielił firmie pożyczki, stracił wzrok po tym, jak chluśnięto mu w twarz kwasem.

Tymczasem Ryan Quinn siedział w więzieniu, patrząc, jak osiągnięcia strategii wysokiej presji bez przemocy, jaką zapoczątkował wraz z Zebra 84, są podkopywane przez ultraekstremistów. Termin ubiegania się o zwolnienie warunkowe był bliski, a Quinn wierzył, że istnieją powiązania pomiędzy bardziej radykalnymi członkami Przymierza Zebra a Organizacją Wyzwolenia Zwierząt.

Quinnowi zależało na tym, by OWZ została zniszczona, zanim na dobre pograży reputację całego ruchu obrońców praw zwierząt, ale tkwiąc w więzieniu, był bezsilny. Dlatego potajemnie nawiązał kontakt ze służbami bezpieczeństwa i złożył im ofertę, zobowiązując się, że jeśli jego wniosek o zwolnienie warunkowe zostanie przyjęty, pomoże w infiltracji Przymierza Zebra i próbie dotarcia tą drogą do członków OWZ. Quinn postawił tylko jeden warunek: MI5 ma zniszczyć wszystkie dowody odnoszące się do aktów sabotażu dokonanych przez tych członków Przymierza, którzy sprzeciwiali się stosowaniu przemocy.

Propozycja współpracy była ogromną niespodzianką i służby bezpieczeństwa ochno się na nią zgodziły, jednak wspomnienie operacji FBI, która zdołała umieścić swoich ludzi w licznych amerykańskich grupach wyzwolicieli, wciąż jest świeże i należy się spodziewać, że członkowie Przymierza Zebra będą wyjątkowo podejrzliwi wobec nowo przybyłych. Zdaniem specjalistów wprowadzenie dorosłych agentów do organizacji nawet z pomocą Quinna jest praktycznie niewykonalne.

Uznano, że jedynymi agentami, jacy mają realną szansę na dotarcie do członków Organizacji Wyzwolenia Zwierząt, są funkcjonariusze CHERUBA.



## ZADANIE

Przez cztery miesiące od podpisania zgody na współpracę Quinn był regularnie odwiedzany przez Zarę Asker, oficjalnie podającą się za Zarę Wilson, przyjaciółkę Quinna z lat szkolnych, która nawiązała z nim kontakt, kiedy dowiedziała się, że odsiadyuje karę w więzieniu niedaleko jej miejsca zamieszkania.

Natychmiast po opuszczeniu więzienia Quinn ogłosi, że on i Zara zakochali się w sobie i zamierzają się pobrać. Para zamieszka w miejscowości Corbyn Copse, leżącej w odległości niespełna mili od laboratorium Malarek Research. Wraz z nimi przeprowadzi się tam troje agentów CHERUBA podających się za dzieci Zary Wilson z jej pierwszego małżeństwa.

Kyle Blueman będzie grał rolę Kyle'a Wilsona. W dokumentacji jego wiek zostanie podwyższony o sześć miesięcy (do siedemnastu lat) ze względu na konieczność wydania mu prawa jazdy. James Adams przyjmie rolę Jamesa Wilsona, ucznia dziewiątej klasy. Trzecim członkiem rodziny Wilsonów powinna być dziewczyna, młodsza, najlepiej z siódmej lub ósmej klasy.

Dla ułatwienia wejścia w środowisko obrońców praw zwierząt cherubini będą musieli przejść na wegański sposób życia. Oznacza to rezygnację z jedzenia mięsa, ryb i nabiału oraz noszenia odzieży zawierającej materiały pochodzenia zwierzęcego, takie jak skóra i wełna. Dzieci będą uczęszczać do lokalnej szkoły publicznej, jednocześnie podejmując próby zaangażowania się w działalność Przymierza Zebra i zdobycia informacji o Organizacji Wyzwolenia Zwierząt.

**KOMISJA ETYCZNA CHERUBA JEDNOGŁOŚNIE ZATWIERDZIŁA NINIEJSZY PLAN ZADANIA. WSZYSCY UCZESTNICY OPERACJI POWINNI STARANNIE ROZWAŻYĆ, CO NASTĘPUJE:**

1) Operację zaklasyfikowano jako misję średniego ryzyka. Wprawdzie OWZ nie jest profesjonalnie zorganizowaną organizacją terrorystyczną klasy Help Earth!, słynie jednak z bezwzględności i zamiłowania do brutalnych metod. Każdy podejrzany o członkostwo w OWZ powinien być traktowany ze szczególną ostrożnością.

2) Agenci najprawdopodobniej zetkną się ze wstrząsającymi obrazami brutalnego traktowania zwierząt w laboratoriach i fermach produkcyjnych. Osobom szczególnie wrażliwym zaleca się zrezygnowanie z udziału w operacji.

## 8. PREZENTACJE

W następną niedzielę James, Kyle, Laura i Zara pojechali do Cambridgeshire na spotkanie z Ryanem Quinnem. Przez minione trzy i pół roku Quinn trzymał się z dala od kłopotów, czym zdobył sobie prawo do odsiedzenia ostatnich czterech miesięcy kary w więzieniu o niskim rygorze. Było słoneczne popołudnie, kiedy nieduże bmw podjechało do pasiastego szlabanu, wywabiając z budki strażnika. Zara otworzyła okno i pomachała przysadzistemu mężczyźnie dokumentami odwiedzin.

- Widzimy się ostatni raz - powiedział strażnik, pobieżnie przeglądając papiery. - Pan Quinn wychodzi w przyszłym tygodniu, prawda?

- Mam nadzieję. - Zara kiwnęła głową z uśmiechem. - Wkrótce się pobieramy.

- Och, gratuluję. - Uśmiechnął się strażnik. - A czyje to dzieciaki?

- Wszystkie moje.

Mężczyzna złapał się za brzuch i wybuchnął gromkim śmiechem, zezując przez tylne okno na Laurę i Jamesa.

- Kilka tygodni z tym gangiem i będzie błagał, żebyśmy go wzięli z powrotem.

Laura uśmiechnęła się do strażnika, ale kiedy tylko przejechali przez bramę, kąciki jej ust natychmiast opadły.

- Znalazł się - prychnęła pogardliwie. - Najzabawniejszy człowiek świata.

Kyle roześmiał się.

- A ciebie co ugryzło?

- Nie cierpię facetów, którzy traktują mnie z góry, jakbym miała pięć lat.

Samochód sunął w stronę parkingu, podskakując na garbach spowalniających i mijając rabaty z kwiatami. Nieopodal dwaj więźniowie o nagich torsach pchali kosiarki po trawniku.

- I to ma być więzienie? - parsknął James, patrząc na rzędy pomalowanych na kremowo budynków, w których mieszkali osadzeni. - Wygląda raczej jak ośrodek wypoczynkowy.

Na parkingu Zara poprowadziła dzieci pomiędzy szeregami samochodów w stronę bloku wizyt. Był to parterowy budynek, którego pomieszczenia, pełne plastikowych krzeseł i więziennego rękodzieła na ścianach, przypominały Jamesowi klasy w jego starej podstawówce.

Ponieważ dzień był pogodny, większość więźniów wyszła z odwiedzającymi na zewnątrz. Jedynym towarzystwem samotnego i wyraźnie znudzonego dyżurnego była para całująca się hałaśliwie w mrocznym kącie.

Ryan Quinn czekał w jednym z wydzielonych pomieszczeń, gdzie więźniowie spotykali się ze swoimi prawnikami. Zara wprowadziła dzieci do środka i usiadła przy stole. W pokoju były tylko trzy krzesła, więc James i Kyle po prostu stanęli pod ścianą.

James pomyślał, że Quinn wygląda raczej jak opiekun zajęć teatralnych albo pracownik rady miejskiej niż przestępca. Miał na sobie tandetne plastikowe sandały, rurowate dżinsy i spraną koszulę rugby prosto z lat osiemdziesiątych. Wyglądał na kogoś, kto w młodości był szczupły, ale z wiekiem urósł mu brzuszek. Kiedy wydychał powietrze, w każdym nozdrzu jeżyła mu się kępka włosów.

- A więc to jest owa tajna broń rządu - przemówił Ryan z ciężkim akcentem z Belfastu, uśmiechając się krywo do dzieci.

- Najbardziej oburzający przykład korporacyjnego faszyzmu, jaki widziałem. Wszyscy pięknie oznakowani w hołdzie dla Nike'a, Metalliki i klubu piłkarskiego Arsenal.

- Ciebie również miło poznać - uśmiechnął się Kyle, wyciągając rękę do Quinna. - To było bardzo celne. Robię, co w mojej mocy, by pomóc międzynarodowym korporacjom w utrzymaniu krajów trzeciego świata pod butem ucisku, jakkolwiek mam też dodatkową fuchę jako gej liberał.

Quinn był zaskoczony ciętą odpowiedzią Kyle'a i Zara roześmiała się na widok jego ogłupiałej miny.

- Jednym z powodów, dla których cherubini odnoszą tak znakomite sukcesy, Ryan, jest to, że ludzie tacy jak ty ich nie doceniają - powiedziała Zara. - Kyle zamierza studiować prawo w Cambridge, kiedy już opuści szeregi CHERUBA. James niedawno celująco zaliczył maturę z matematyki, cztery lata przed czasem, choć do egzaminu uczył się niecałe dziesięć miesięcy. Laura ma czarny pas drugiego stopnia w karate, prawie płynnie mówi po rosyjsku i hiszpańsku, a w zeszłym roku omal nie zabiła faceta cztery razy większego od siebie za pomocą hotelowego długopisu. Wszyscy troje przeszli szereg specjalistycznych szkoleń i pod względem umiejętności nie ustępują dorosłym agentom sił specjalnych.

- A już na pewno wychowankom obozu Zebry 84 - dorzucił Kyle z jadowitym uśmiechem.

Ryan roześmiał się.

- Widzę, że się przygotowałeś, młodzieńcze - powiedział do Kyle'a. - Może kiedy dla CHERUBA będziesz już za stary, przyjedziesz do mnie i dla odmiany popracujesz po stronie dobrych?

James pokiwał głową.

- Niezły pomysł. Przecież macie ze sobą dużo wspólnego. Znaczy wegetarianie, homoseksualiści... Wszyscy z tej samej parafii, no nie?

James odezwał się tylko po to, żeby pokazać, że słucha, ale natychmiast tego pożałował, spiorunowany karcącym spojrzeniem czterech par oczu.

- James, czemu nie wykopiesz głębokiego ciemnego dołu, a potem do niego nie wskoczysz? - zapytał Kyle.

- Ja tylko... Jezus, Kyle, nie musisz się od razu obrażać.

Kyle cmoknął wzgardliwie.

- Dam ci dobrą radę, James. Od tej pory spróbuj używać mózgu, zanim otworzysz japę.

- Uspokójcie się - przerwała Zara, sięgając do torebki po portmonetkę. - Jestem pewna, że nasz młody orędownik poprawności politycznej nie miał na myśli nic złego. James, w holu są automaty. Masz tu pieniądze i zapytaj wszystkich, co chcą do jedzenia i picia.

Przy maszynie, która wydawała przygnębiająco małe kubeczki rozpuszczalnej kawy, utworzyła się kolejka i minęło prawie dziesięć minut, nim James wrócił do pokoju z napojami, chipsami i paczką ciastek. Tymczasem Kyle wystarał się o dwa dodatkowe krzesła.

James usiadł, a Laura otworzyła paczkę chipsów, ale kiedy zanurzyła w niej dłoń, Ryan wyrwał jej torebkę i zaczął czytać skład.

- Tyler's Tasty, ekstragrubo krojone chipsy o smaku kurczaka. Składniki: ziemniaki, olej roślinny, przyprawa z kurczaka, glutaminian sodu, barwniki, sól.

Ryan pochylił się nad stołem i wbił w Laurę przenikliwy wzrok.

- Byłaś kiedyś w kurzej fermie?  
Potrząsnęła głową.

- Kurczaki trzyma się tam w niewielkich siatkowych klatkach spiętrzonych w ośmiu albo dziesięciu warstwach, po dziesięć do dwunastu ptaków w każdej. Oczywiście kurczaki bardzo się stresują, żyjąc w takim ścisku, dlatego zaraz po ich wykluciu hodowcy obcinają im dzioby, żeby się nawzajem nie pozabijały.

Niestety, dziób nie jest martwą tkanką jak końskie kopyto. Zawiera setki tysięcy zakończeń nerwowych i jego obcięcie jest równie bolesne jak odrąbanie nosa bez znieczulenia. Po sześciu tygodniach tuczu w ciasnych klatkach kurczaki, które nigdy nie widziały źdźbła trawy ani promyka słońca, są gotowe do uboju. Przez cały czas dorastania srały przez siatkę na ptaki znajdujące się poniżej. Na samym dole warstwa zaschniętych odchodów jest tak gruba, że kurczakom więzną w niej łapki, a potem wyłamują się ze stawów, kiedy pracownicy wyjmują ptaszki z klatek na przejażdżkę do rzeźni. W rzeźni ptaki wieszają się rzędem główkami w dół na przenośniku taśmowym. Wirujący nóż ma im kolejno podcinać gardła, ale że kurczaki próbują się szamotać, ostrze mija co siódme lub ósme ptaka. Można by pomyśleć, że uniknięcie śmierci od noża to uśmiech losu, ale tak nie jest, ponieważ transporter niesie dalej dyndające, zakrwawione ptasie truchelka, by zanurzyć je w wielkiej kadzi z wrzątkiem dla odparzenia piór. Tam, zamiast spotkać się z miłosiernym nożem, biedne kurczaczki zostają ugotowane żywcem.

Ryan pchnął paczkę chipsów w stronę Laury.

- Smacznego - uśmiechnął się.

Laura patrzyła na paczkę takim wzrokiem, jakim patrzyłaby na zakrwawioną siekiere, którą ktoś położył jej na kolanach.

- Cóż, ja... - zająknęła się i zamilkła.

- Tkwę w tym więzieniu, ponieważ wierzę, że wykorzystywanie zwierząt jest złem - ciągnął Ryan z mocą. - Zapewne kiedyś dostanę długi wyrok i w końcu zdechnę za kratkami. Zapewne nigdy nie będę miał samochodu ani ładnego domku, nigdy nie będę miał dzieci i wątpię, by na mój pogrzeb przyszedł ktokolwiek oprócz księdza i grabarza, ale jeśli dzięki mnie parę dzieciaków takich jak ty zastanowi się nad tym, co wkładają do ust,

przestanie jeść mięso i wtykać stopy w kawałki martwych zwierząt, to może warto się męczyć.

James dostrzegł, że tyczkowaty Irlandczyk przeraża Laurę, co obudziło w nim instynkt obrony młodszej siostry.

- Odpuść sobie, co? Ona ma dopiero jedenaście lat.

Laura rzuciła bratu spojrzenie z serii „Nie traktuj mnie jak dziecka”, po czym odwróciła się do Ryana i uśmiechnęła z szacunkiem.

- To naprawdę super, że walczysz o rzeczy, w które tak mocno wierzysz. Wiem, że w jedzeniu zwierząt jest coś obrzydliwego. Podczas misji i tak nie możemy jeść mięsa, więc przestanę od razu i zobaczymy, jak mi pójdzie.

Ryan uśmiechnął się przyjaźnie.

- Może po misji nie będzie ci spieszno do powrotu do dawnej diety.

Laura wzruszyła ramionami.

- Być może. W kampusie są tabuny wegetarianek.

Zara odchrząknęła znacząco.

- No dobrze, Ryan - przerwała. - Będziesz miał jeszcze mnóstwo czasu na indoktrynowanie dzieciaków, ale teraz musimy omówić szczegóły: nazwiska, twarze, daty, godziny spotkań. Wychodzisz za parę dni, a jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, nim ruszymy z tym cyrkiem w trasę.

James wyciągnął rękę przed Zarą i złapał chipsy Laury.

- Skoro nie jesz...

Zara klepnęła go w dłoń, ale tak niefortunnie, że jeden z jej pierścionków boleśnie otarł mu kostki.

- Jasna cholera! - zaklął James. Laura zachichotała.

- Dobrze ci tak.

- To było niechcący, przepraszam - powiedziała szorstko Zara.

- Ale mógłbyś okazać trochę szacunku dla uczuć innych.



## 9. CORBNYN

Pięć dni później Zara i cherubini wstali wcześniej i zapakowali swoje bagaże do siedmioosobowego vana. Po udobruchaniu zapłakanego Joshui obietnicą przywiezienia prezentów wyruszyli w kierunku Bristolu na południowym zachodzie Anglii.

Dziesięć mil przed miastem odbiornik nawigacyjny nakazał Zarze opuszczenie autostrady następnym zjazdem i skręt w prawo na rondzie. Minąwszy szereg supermarketów i osiedle, które wyrosło w sąsiedztwie autostrady, wyjechali między pola uprawne odgrodzone wysokimi zaroślami od krętej jednopasmowej szosy.

Kyle otworzył okno, by napawać się wiejskim powietrzem, ale natychmiast je zamknął, gdy do wnętrza auta wdarł się duszący odór nawozu.

- Fuj - jęknęła Laura, machając dłonią przed twarzą. - Oczy mi łzawią. To gorsze niż wejście do kibla po Jamesie.

- Myślę, że jak skręcę w następną, to też dojedziemy do Corbyn, ale po drodze rzucimy okiem na laboratorium Malarek Research - powiedziała Zara, ignorując elektroniczny głos nakazujący natychmiastowy skręt w lewo.

- To już niedaleko, prawda? - zapytał James. - Muszę w krzaki.

- Dwie, trzy minuty - powiedziała Zara. - Jak chcesz, mogę się zatrzymać.

James potrząsnął głową.

- Tyle wytrzymam.

- Przy najbliższej bezpiecznej sposobności zawróć - powiedział odbiornik GPS plastikowo uprzejmym głosem.

Zara sięgnęła do deski rozdzielczej i wyłączyła nawigację. Odwiedzała te okolice podczas przygotowań do operacji i знаła drogę na pamięć.

- To tutaj - powiedziała, zwalniając przed skrzyżowaniem.

Skierowany w lewo drogowskaz twierdził, że od wsi Corbyn Copse dzieli ich pół mili, ale tuż za zakrętem przed ich oczami roztoczył się zupełnie nie wiejski krajobraz.

Miejsce zarośli po jednej stronie drogi zajął wysoki mur z betonowych segmentów zwieńczony drutem kolczastym i kamerami. Na poboczu połyskiwały żółte odblaskowe znaki rozstawione przez policję z Avonu: „Nie zatrzymuj się, nie blokuj ruchu”, „Zwolnij do 10 mil/h” oraz „Jeżeli wjeżdżasz na teren Malarek Research, NATYCHMIAST zamknij okna i zablokuj drzwi”.

Zara zastosowała się do ograniczenia prędkości, dając cherubinom sposobność przyjrzenia się pobojowisku na poboczach. Demonstranci pozostawili po sobie tony śmieci i rozmokłych plakatów, jak również tysiące haseł wymalowanych na betonowym murze.

Kiedy samochód minął łagodny łuk, zbliżając się do bramy zakładu, droga przemieniła się w abstrakcyjne malowidło pokryte smugami czerwonej, niebieskiej i żółtej farby, jaką protestujący obrzucali pojazdy wjeżdżające do laboratorium lub z niego wyjeżdżające.

James pamiętał to miejsce z archiwalnej relacji Sky News, którą oglądał w gabinecie Zary. Film pokazywał bitwę pomiędzy policją i pracownikami ochrony Malarek Research a ponad setką demonstrantów - śpiewających, rzucających czym popadło w samochody i usiłujących sforsować bramę. Kilku bojownikom udało się wdrzeć na teren zakładu i rozbić ponad sto okien, zanim

zostali aresztowani.

W to wczesne piątkowe popołudnie niewiele się działo przy wjeździe do laboratorium. Sytuacja na zewnątrz stalowych wrót wyglądała na opanowaną. Dwaj policjanci w żółtych kamizelkach trzymali wartę, a kilku innych siedziało w cieniu kontenera mieszkalnego po drugiej stronie szosy.

Protest odbywał się na terenie ograniczonym przenośnymi barierkami pięćdziesiąt metrów od bramy. Jego jedynymi uczestnikami były trzy kobiety w średnim wieku i jeden starszy mężczyzna. Siedzieli na leżakach, jedząc kanapki i podając sobie termos z kawą. Za nimi podpierały mur kije z plakataми, a na policyjnych barierkach wisiały zszyte prześcieradła z wymalowanym bezsensownym napisem „Zatrąb, by powstrzymać cierpienie!”.

Demonstranci należeli do ludzi, z którymi agenci mieli wkrótce nawiązać bliższy kontakt, dlatego Zara pomachała im przez otwarte okno, po czym na dłuższą chwilę wdusiła klakson. Czwooro kontestatorów odmachowało jej z uśmiechem.

Minąwszy wjazd do laboratorium, Zara przyspieszyła, by po kilkuset metrach zahamować przed wjazdem na nieduże rondo. W oddali bieleły się już domy Corbyn Copse.

Kiedy stanęli, land-rover, który od pewnego czasu jechał tuż za nimi, wjechał na przeciwny pas ruchu i z piskiem opon zatrzymał się tuż obok. Kierowca, na oko dwudziestolatek, był w brudnych niebieskich ogrodniczkach sugerujących pracowity poranek spędzony na jednej z okolicznych farm.

- Ej wy, spieprzajcie, skąd żeśta przyjechali! – wrzasnął młodzian.

Ten nagły wybuch zaskoczył Zarę.

- Słucham?

- Dobrze słyszałaś! Turysty zaszranie, przyjeżdżają, żeby się gapić. Napatrzyliście się, to w tył zwrot i jazda mnie stąd!

James opuścił elektryczne okno obok siebie i pożegnał odjeżdżającego chłopaka uniesionym środkowym palcem.

- Wal się, buraku!

- O co mu chodziło? - zdumiała się Laura.

Zara ruszyła i przeciąwszy rondo, skręciła w prawo, w stronę wioski.

- Miejscomi nie lubią demonstrantów - wyjaśniła. - Zresztą wcale im się nie dziwię. Żyli sobie spokojnie na tym odludziu, a teraz dwa razy w tygodniu mają nalot tłumów protestujących i ekip telewizyjnych.

Samochód zaczął wspinać się główną ulicą na wzgórze, mijając pub urządzony w dużym ogrodzie oraz kilka sklepów. Oprócz minimarketu na rogu wszystkie były przerobione na domy mieszkalne.

Za główną ulicą leżały dwa nowoczesne osiedla, w których żyła większość tubylców, ale Zara wjechała na podjazd przed odosobnioną drewnianą chatką, nie opuszczając obszaru, który miejscowi nazywali starą wsią.

Maleńki ogródek był zarośnięty, a dom wyglądał jak rudera, ale wystarczyłyby małe porządki i odrobina farby, by przemienić go w pocztówkowy okaz angielskiej wiejskiej chatki.

- Rany, co za dziura - jęknął James na progu, wciągając w nozdrza zapach stęchlizny i starego drewna, po czym pobiegł szukać toalety.

Kyle wszedł do klaustrofobicznego saloniku i postawił walizki na dywanie.

- Ten dom musieli zbudować hobbici - poskarżył się, pochylając głowę, by nie rozbić jej o belki stropowe.

- Właściciel nie chciał wynająć go rodzinie z dziećmi powiedziała Zara. - W końcu zdecydowaliśmy się go kupić, bo lokali-

zacja jest idealna. Idąc przez łąki za domem, można w pięć minut dotrzeć do bramy Malarek Research, a część demonstrantów przesiaduje w tym pubie, który mineliśmy. Jedyne minus jest taki, że mamy tylko trzy sypialnie.

- Zamawiam osobną! - zawołali jednocześnie Laura i Kyle, w chwili gdy James wyszedł z toalety z ociekającymi wodą rękami.

- Nie ma ręcznika - wytłumaczył się, wycierając dłonie w spodnie od dresu.

- Dwoje z nas musi spać razem - oznajmił Kyle.

- Super - powiedział James ponuro.

Wiedział, że nie ma szans na pokój tylko dla siebie, bo mógł zamieszkać zarówno z siostrą, jak i z innym chłopakiem. Laura i Kyle nie mogli mieszkać razem.

- Nie wiem, czemu macie z tym taki problem - westchnęła Zara. - Ja muszę spać w jednym łóżku z Quinnem.

James parsknął śmiechem.

- Pewnie jest porządnie wyposzczony. Po trzech latach w kiciu...

- To nie jest śmieszne, James - przerwała Zara lodowatym tonem. - Kazałam tam wstawić łóżko wielkości lotniskowca i powiedziałam mu, że jeśli wytknie na moją połowę choćby palec, będzie trzymał jaja w słoiku po dżemie.

## 10. WYWIAD

Rzucili monetą i po raz trzeci w życiu James wylądował w pokoju z Kyle'em. Kolejnym rzutem Kyle wygrał górne łóżko. Nie był to koniec świata, ale James przywykł do wygodnego podwójnego łóżka w kampusie i cierpiał, kiedy stopy zwiślały mu za krawędź, a sprężyny nad nim skrzypiały pod wiercącym się Kyle'em. Przynajmniej nie musiał spać z Laurą, która potwornie chrapała.

Był niedzielny poranek. O dziesiątej James wciąż był zagrzebany w pościeli, kiedy Kyle obudził go, zeskakując z górnej pryczy, by pójść pod prysznic na korytarzu. Uznając, że już czas zwlec się z łóżka, James odrzucił kołdrę i drapiąc się, podszedł do okna w samych bokserkach. Odsunął zasłonkę.

- O kurka... - wyrwało mu się na widok gromady ludzi na małym trawniku przed domem.

Wszyscy trzymali styropianowe kubki, a kilka osób miało na szyi aparaty fotograficzne.

- Kyle, chodź tutaj! - wrzasnął James.

- Czego chcesz? - odkrzyknął Kyle. - Kąpię się.

James wychylił się na korytarz.

- Chrzań to, Kyle. Przed domem stoi milion dziennikarzy. Co my teraz zrobimy?

Okrecony ręcznikiem w pasie i pokryty kropelkami wody Kyle z niedowierzającą miną podreptał do witrażowego okna i zerknął przez szparę między zasłonkami.

- Ktoś musiał im donieść, że Ryan dzisiaj wychodzi.  
- To chyba jasne - powiedział James. - Ale co mamy z tym zrobić?

- Bez paniki - odparł Kyle. - Bywałem już na misjach, na których miałem do czynienia z prasą.

- Nie sądzisz, że powinniśmy się trzymać z dala od mediów? - zapytał James. - Pamiętasz? Jak się nazywał ten chłopak, którego zdjęcie dostało się na pierwsze strony gazet? Jego kariera w CHERUBIE była skończona. Po czymś takim nie było mowy, żeby wysłali go dokądś z tajną misją.

Kyle skinął głową.

- Jacob Rich, ale to było lata przed moim wstąpieniem do CHERUBA. Podobno pracował nad sprawą planowanego zamachu bombowego na któregoś z młodych członków rodziny królewskiej. Czternastoletnia księżniczka spadła z konia przed dwiema setkami fotoreporterów, a ten idiota pobiegł, żeby pomóc jej wstać. W podzięcie cmoknęła go w policzek i następnego dnia jego gęba pojawiła się we wszystkich gazetach. Jej pierwsza miłość.

- A jeśli z nami będzie tak samo?

- Noś baseballówkę i patrz w dół. Jeśli ktoś robi zdjęcia, trzymaj się z tyłu. Ale nie przejmowałbym się tym za bardzo. Quinnowi daleko do rodziny królewskiej. Będzie miał szczęście, jeżeli skrobną coś o nim na szesnastej stronie.

- Pewnie masz rację - westchnął James. - Widziałeś gdzieś Laurę?

- Nie. Chyba pojechała z Zarą do Bristolu, żeby odebrać Ryana ze stacji.

- To jak, śniadanko?

Kyle przytaknął skinieniem głowy.

- Nie mamy jajek, ale w lodówce powinny być sojowe kiełbaski i tofu.

- O rany - jęknął James, krzywiąc się z obrzydzeniem. - Nie cierpię tych wegetariańskich paskudztw.

- Wiesz, przy twoim sadelku wegetariańska dieta powinna dobrze ci zrobić. A wczoraj warzywną lasagne Zary po prostu wciągałeś nosem.

James wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście, kuchnia Zary bardzo się poprawiła od czasu Luton. Ale nie obraziłbym się na mały stek czy coś w tym stylu...

\*

Podczas gdy James brał prysznic, Kyle przyrządził późne śniadanie z wegetariańskich kielbasek, pieczarek i smażonego chleba. Chłopcy myli talerze, kiedy przed dom wtoczył się samochód Zary, trąbiąc, by odpędzić reporterów z podjazdu.

Wysiadłszy po prawej stronie, wolnej od dziennikarzy, Laura i Zara przemknęły chyłkiem za samochód, by wyjąć z bagażnika karton z książkami i dużą sportową torbę. Tymczasem po drugiej stronie auta Ryan Quinn wyłonił się triumfalnie zza przesuwanych drzwi. Wyprostował się, wznosił ręce i ułożył palce w dwa znaki zwycięstwa, za co został nagrodzony salwą pół tuzina lamp błyskowych.

Lekko obszarpany reporter o zmęczonej twarzy podsunął mu dyktafon pod nos.

- Ryan, czy jesteś szczęśliwy, że wyszedłeś z więzienia?

- W rzeczy samej, bardzo szczęśliwy - odrzekł Ryan, nieznacznie kręcąc głową na znak, że jego zdaniem było to wyjątkowo głupie pytanie.

- W świetle optymistycznego raportu finansowego Malarek Research z ubiegłego miesiąca czy naprawdę sądzisz, że kampania Przymierza Zebra może odnieść sukces?

- Oczywiście.

Przeptywanie podjęła młoda dziennikarka.

- Czy twoje wyjście z więzienia i przeprowadzka do Corbyn Copse oznaczają, że chcesz być z powrotem w samym sercu kampanii?



Ryan skinął głową.

- Mam nadzieję, że moja obecność doda kampanii nowej energii.

- Obecność jako lidera Przymierza Zebra?

Z twarzy Ryana zniknął triumfalny uśmiech.

- Cóż... - powiedział niepewnie. - Kampanię całkiem umiejętnie prowadzili inni, podczas gdy ja korzystałem z przymusowej gościny w lokalu Jej Królewskiej Mości. W ciągu najbliższych dni spotkam się z radą Przymierza i wtedy zapadnie decyzja co do mojej przyszłej roli. A teraz pozwólcie, że udam się na lunch. Później wybieram się z wizytą do protestujących i mam nadzieję, że pojedziecie tam ze mną.

- Ostatnie pytanie - przerwała dziennikarka. - Co sądzisz o działaniach Organizacji Wyzwolenia Zwierząt?

- Potępiam wszelką przemoc skierowaną przeciwko jakimkolwiek gatunkowi, również przeciwko ludziom.

- Czy nie uważasz, że działania OWZ niweczą efekty twojej kampanii?

- Jeżeli tak, to są to skutki krótkoterminowe. Sto lat temu większość ludzi uważała, że bicie dzieci przez rodziców i nauczycieli jest słuszne. Wierzę, że za sto lat takim samym wstrętem jak dziś przemoc wobec dzieci będzie nas napawać pomysłem więzienia, torturowania i brutalnego zabijania zwierząt dla jedzenia, ubrań lub eksperymentów naukowych.

Quinn wkroczył do domu z uśmiechem zadowolonego dziecka na ustach.

- Cześć, chłopcy - powiedział, patrząc na Jamesa i Kyle'a. - Dobrze jest znaleźć się znowu w centrum wydarzeń.

\*

Dziennikarze, choć Ryan prosił ich, by zostali, mieli już notatki i zdjęcia, po jakie przyjechali, i nie zamierzali tkwić w Corbyn Copse ani minuty dłużej, niż musieli.

- Mogłem się tego spodziewać - powiedział z goryczą Ryan, wyglądając przez okno salonu na wyludniony podjazd. - Leniwe łajzy, nie mogli poczekać te pół godzinki?

- Mimo to powinniśmy pojechać na demonstrację - powiedziała Zara. - Dzwoniłam do mojego łącznika w lokalnej policji. W weekendy zawsze jest tam spory tłum i zależy mi, żeby dzieci zaczęły nawiązywać kontakty najszybciej, jak to możliwe.

- Pewnie, że pojedziemy. - Ryan skinął głową i przełknął ostatni kęs kanapki, którą zrobiła mu Laura. - Zaaranżowałem już spotkanie z Madeline Laing.

- To ona teraz szefuje Przymierzu, tak? - zainteresowała się Laura.

Ryan pokiwał głową.

- Młoda, porywcza i beznadziejna.

Cherubini przeczytali wiele pochlebnych artykułów prasowych o Laing i byli zaskoczeni pogardą w głosie Ryana.

- Nie wiedziałam, że masz z nią jakiś problem - powiedziała Zara.

- Ładna fryzura, świetnie wychodzi na zdjęciach - skrzywił się Ryan. - Pewnie dlatego prasa tak ją kocha. Tylko że ona nie ma pojęcia, jak ukierunkować kampanię ani jak utrzymać jej impet. Rozmawiałem z kilkoma osobami i wygląda na to, że będziemy musieli gruntownie zrewidować podejście Przymierza, a całą tę akcję przeciwko Malarek Research odbudować od podstaw.

- Najpierw musisz przekonać radę - przypomniał Kyle.

Ryan pokiwał palcem, uśmiechając się pobłaźliwie.

- Już ty się nie martw, młody. Bawiłem się w politykę, kiedy ty nie byłeś nawet błyskiem w oku twojej matki. Przejmę władzę w tym cyrku, zanim zdążysz mrugnąć.

Ryan wstał, zgarnął swoją wojskową kurtkę z oparcia kanapy i ruszył ku drzwiom.

- No to idziecie czy nie? - zapytał dziarskim głosem.

Skrót do laboratorium prowadził przez łąkę porośniętą wysoką trawą. Ryan, Zara i troje cherubinów przecięli starą drogę w pobliżu ronda na skraju wsi, po czym przeszli jeszcze kilkaset metrów wzdłuż betonowego muru. Po drodze minęli gromadkę rozwrzeszczanych dzieci demonstrantów bawiących się w berka.

Grupa za policyjnymi barierkami robiła większe wrażenie niż poprzedniego popołudnia, ale i tak liczyła zaledwie trzydzieści osób. Wśród szarych postaci, olśniewając figurą, za jaką warto ginać, stała Madeline Laing w czarnych legginsach, traperach i polarowej bluzie.

- Cześć - powiedział wesoło Quinn.

Zorientowawszy się, że to sam Ryan Quinn, demonstranci powitali go oklaskami. Madeline i Ryan uścisnęli się ostrożnie i otarli policzkami, składając usta w ciup.

- Wciąż silni - wyszczerzył się Ryan. - Podobno wykonujesz fantastyczną robotę.

Kłamstwo mile połechtало Madeline.

- To były ciężkie lata - uśmiechnęła się - ale nadal walczymy. No i widzę, że dorobiłeś się kompletnej rodziny.

Podczas gdy Ryan, Zara i Madeline wymieniali się grzecznościami, James, Kyle i Laura przystąpili do działania. Nie oczekiwali, że członkowie OWZ wyskoczą z tłumu demonstrantów i ich znudzonych dzieci, by się przedstawić, ale miejsce i czas były idealne do rozpoczęcia zaskarbiania sobie względów działaczy Przymierza Zebra.

## 11. ZAPROSZENIE

Niedziela zawsze przyciągała największą liczbę demonstrantów na barykady wokół Malarek Research, a połączenie ładnej pogody i artykułów o Quinnie w porannych gazetach napompuwało tłum do ponad setki osób. Zarze zależało na tym, by dzieci znalazły się w centrum akcji, ale sama trzymała się na dystans, ponieważ nowa osoba dorosła - nawet matka trojga dzieci - byłaby traktowana podejrzliwie.

Laura grała rolę uczynnego, przesadnie entuzjastycznego dzieciaka. Z natury była pełna zapału, a poza tym wyświadczenie drobnych przysług stanowiło znakomity sposób na łączenie nazwisk z twarzami.

Była już druga po południu. Laura spędziła większość dnia, biegając pomiędzy domem a miejscem protestu. Zajmowała się głównie napełnianiem termosów kawą i herbatą, ale wśród jej licznych dobrych uczynków znalazło się też przyniesienie paczki chusteczek mężczyźnie cierpiącemu na katar sienny oraz zakup taśmy klejącej i zszywacza w wiejskim sklepie w celu naprawienia uszkodzonego plakatu.

- Bóg nam cię zesłał - zachwyciła się tęga kobieta we flanelowej koszuli, odbierając dwie porcje makaronu z warzywami, które Laura odgrzała dla niej w mikrofalówce w domu.

- Proszę uważać, w środku są pewnie bardzo gorące.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Nie wiem, jak ci dziękować, moje dziecko.
- Drobiazg - rozpromieniła się Laura.

Jednak jej uśmiech zgasł, kiedy tylko kobieta odwróciła się w inną stronę. Laura miała szukać kontaktu z najbardziej fanatycznymi członkami Przymierza Zebra, ale uświadomiła sobie, że ci niedzielni bojownicy w swoich kaloszach i terenówkach, które zaparkowali wzdłuż drogi, są dalecy od fanatyzmu. Demonstranci sprzeciwiali się eksperymentom na zwierzętach, ale nie mieli zielonego pojęcia o wyzwolicielskich ideach ludzi takich jak Quinn. Zauważyła nawet pewną parę zajadającą kanapki z szynką i klops z zapieczonym jajkiem.

Kłopot polegał na tym, iż choć Laura nabierała coraz większej pewności, że tylko marnuje czas, nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby robić. W końcu postanowiła sprawdzić, jak sobie radzą chłopcy.

- Nie widziała pani przypadkiem moich braci? - zapytała kobietę, dla której odgrzała makaron, przerywając jej rozmowę z brodatym mężczyzną, któremu opowiadała o koszmarze, przez jaki przeszła podczas wyposażania swojej nowej kuchni.

W głosie kobiety dało się wyczuć lekką irytację.

- Tak, dziękuję, kochanie. Jest pyszny.

Laura zrozumiała, że kobieta mówi coś zupełnie innego. Mówiła: „Dorośli prowadzą tu poważną konwersację, czy mogłabyś odejść?”. Laura poczuła się, jakby miała milimetr wzrostu.

- Pytałam, czy widziała pani moich braci - powtórzyła gniewnie.

- Och... - zmieszana się kobieta, odwracając się wreszcie od swojego rozmówcy. - Nie, nie widziałam, ale możesz sprawdzić na polu po drugiej stronie drogi. Kręci się tam dużo nastolatków.

- Dzięki. Pójdę zobaczyć - powiedziała Laura bez entuzjazmu.

Sprawdziła, czy nie nadjeżdża samochód - choć w tej okolicy ruch był niemal zerowy - po czym zgrabnym susem przesadziła barierkę, przebiegła przez szosę i przedarła się przez zarośla na poboczu.

Wyszła na rozświetlone słońcem pole porośnięte sięgającym do pasa jasnożółtym rzepakiem, którego pyłek połaskotał ją w nozdrza. Nie widziała ludzi, ale dostrzegła dym z papierosów unoszący się nad ugorem pięćdziesiąt metrów z boku.

Kiedy dotarła na miejsce, ujrzała tuzin nastolatków opalających się na wygniecionej trawie. Większość miała od szesnastu do osiemnastu lat, a dwaj młodzieńcy wyglądali na studentów, którzy mogli dobijać dwudziestki.

James był co najmniej o rok młodszy od najmłodszego z nich, co nie przeszkadzało mu w miłym spędzaniu czasu. Wylegiwał się na plecach, z obnażonym torsem i bez butów, używając zwiniętej koszulki jako poduszki. Miał też towarzyszkę, pulchną dziewczynę o ogromnych piersiach, starszą o mniej więcej rok. Dziewczyna przysiadła na piętach obok Jamesa i z zalotnym uśmiechem na twarzy posypywała mu głowę żółtymi płatkami rzepaku.

- No hej - powiedział James, gwałtownie siadając i z miną winowajcy strzepując płatki z włosów. - Poznajcie się. To jest Robyn. Robyn, to moja siostra Laura.

To, że James przy byle okazji zapominał o Kerry i flirtował ze wszystkim, co choć trochę przypominało dziewczynę, wkurzało Laurę, ale kąśliwy komentarz utknął jej w gardle. Po sprawie z szantażem wciąż stąpała po cienkim lodzie i wiedziała, że najbardziej niewinna uwaga może wywołać kolejną awanturę.

Laura pocieszała się myślą, że Kerry nie jest głupia. Prędzej czy później musi się zorientować, co James wyprawia za jej plecami,

i podziękować mu za to ciosem w szczękę, na który po wielokroć sobie zasłużył.

- Co porabiacie? - zapytała Laura.

James wyszczerzył się do Robyn, a potem wzruszył ramionami.

- Leżymy sobie, no wiesz...

- Gdzie Kyle?

- Tam. - James wskazał palcem kierunek. - Za tymi dwoma w koszulkach rugby.

Laura otaksowała spojrzeniem dwóch rosnących młodzieńców zasłaniających jej Kyle'a. Trzej chłopcy prowadzili ożywioną rozmowę.

- Fajne ciacha - wyszczerzyła się Laura.

Robyn skinęła głową, po raz pierwszy nawiązując z Laurą kontakt wzrokowy.

- No. Ci rugbyści są słodcy. Nie wiem, jak się nazywają, ale chętnie bym się dowiedziała. Często ich tutaj widzę.

- Kiedyś dużo grałem w rugby - skłamał James zaniepokojony łatwością, z jaką uwaga Robyn podryfowała w stronę starszych chłopców.

Laura miała ochotę zwyzywać go od kłamców, ale podczas misji zawsze pewne elementy fikcyjnej tożsamości wymyśla się na bieżąco i jedną z głównych zasad obowiązujących agenta jest absolutny zakaz podawania w wątpliwość słów kolegów, na wypadek gdyby miało im to zepsuć legendę.

- Ale z ciebie mięśniak, James - zamruczała Robyn, obsypując Jamesowi włosy garścią świeżo zerwanych płatków.

Jeśli James jeszcze się z nią nie migdalił, prawdopodobnie było to kwestią najbliższych minut. Laura pomyślała, że zwymiotuje, jeśli będzie zmuszona to oglądać. Chciała podejść do Kyle'a, ale jego nowi koledzy byli znacznie starsi, więc po namyśle uznała, że doprowadziłyby tylko do niezręcznej sytuacji.

- Widzę, że niewiele się tu dzieje - westchnęła, odchylając głowę i wystawiając twarz do słońca. - Idę do domu, pooglądać telewizję czy coś.

- Wcześniej widziałem, że robiłaś kanapki - powiedział James.  
- Pewnie nie ma szans, żebyś przyniosła nam po jednej, co?

- Dobrze myślisz, nie ma - powiedziała kwaśno Laura.

Czuła lekkie przygnębienie, kiedy odwróciła się i ruszyła niespiesznym krokiem w stronę domu. Wyglądało na to, że James i Kyle nawiązali autentyczne znajomości, podczas gdy jedynym jej osiągnięciem były bąble na stopach.

\*

Kyle miał przeczucie, że przyjaźń z Tomem i Vivem Carterami może okazać się cenna. Bracia mieli siedemnaście i dziewiętnaście lat, ciemne włosy, gęstą szczecinę na twarzy i byli zbudowani jak dwa murowane wychodki. Na pierwszy rzut oka wyglądali i mówili jak dresiarze, ale nie trzeba było zbyt mocno skrobać powierzchni, by dokopać się znacznie bardziej ekscentrycznego obrazu.

Kyle dosłownie zderzył się z rodzeństwem godzinę wcześniej, kiedy wygramolili się z pordezewiałego sportowego MGB tuż przed wiejską knajpką. Grupa miejscowych, siedzących w ogródku piwnym, natychmiast rozpoznała w nich demonstrantów i obrzuciła wyzwiskami. Viv odpowiedział na zaczepki, zsuwając szorty i klepiąc się entuzjastycznie we włosy tyłem. Śmiech Kyle'a przełamał lody i nim dotarli do miejsca protestu u stóp wzgórza, rozmowa płynęła już wartkim nurtem.

Przynajmniej rozmowa z Vivem. Tom był tym wrażliwszym i poważniejszym bratem. Miał siedemnaście lat i dopiero co zdał maturę w bristolskiej szkole. Ubierał się i zachowywał konwencjonalnie. Rzadko otwierał usta, ale kiedy już się odezwał, zazwyczaj mówił coś, czego warto było posłuchać. Starszy Viv, student uniwersytetu w Avon, był jego całkowitym przeciwień-



stwem. Miał tlenione pasemko we włosach, kolczyk w języku, poruszał się z przesadną gestykulacją i uwielbiał szokować otoczenie swoimi wypowiedziami.

Chłopcy siedzieli na trawiastej polance otoczonej kwitnącym rzepakiem. Kyle z trudem zdołał wpleść kilka sondujących pytań w paplaninę Viva, który miotał się między tematami, przechodząc od płyt Scotta Walkera, przez Barcelonę, do opowieści o koncercie Green Day, gdzie zdarzyło mu się wpaść głową do pisuaru.

Kyle chciał się dowiedzieć, jak Carterowie zapatrują się na kwestię wyzwolenia zwierząt, i odkrył, że są na krawędzi ekstremizmu. Obaj bracia uważali, że to w porządku, jeżeli zabije się człowieka w obronie wielu zwierząt, choć Tom wydawał się nie do końca pewny, czy ataki na pracowników Malarek Research to dobry pomysł, a to ze względu na złą reklamę, jaką robiły ruchowi.

Dziesięć minut po tym, jak Laura opuściła polankę przez przejście w zaroślach, do nastolatków dołączył ponury chuderlawy osobnik w wojskowej kurtce. Bracia mówili do niego George. Miał dwadzieścia kilka lat i zmierzył Kyle'a wrogim spojrzeniem, zanim zapytał go opryskliwie, kim jest i co tu robi.

- Kyle jest koszerny - powiedział Viv. - Właśnie przeprowadził się na wieś z Ryanem Quinnem.

George wyglądał na zaskoczonego.

- Nie wiedziałem, że Quinn ma dzieci.

- Nie jest moim ojcem - pospieszył z wyjaśnieniem Kyle. - Moja mama zaręczyła się z nim, kiedy pułdował.

Viv zarechotał jak karabin maszynowy.

- Musi być niezłe walnięta, żeby być z kolesiem, którego poznała w pierdłu.

- A co mnie to... - Kyle wzruszył ramionami. - Rodziców się nie wybiera.

- Quinn to człowiek godzien podziwu - powiedział George cokolwiek pompatycznym tonem. - Napisał podręcznik akcji bezpośrednich, a Zebra 84 to legenda.

- Wszyscy kochają wielkiego Quinna. - Viv zaśmiał się hałaśliwie. - Tylko co on naprawdę może? Przymierze Zebra to jeden wielki żart. Banda wymuskanych, bezmózgich czytelników „Guardiana”, którzy boją się nawet smarknąć bez pozwolenia.

Kyle uśmiechnął się, Viv splunął z pogardą na ziemię, a George zmarszczył brwi.

- Ciekawe, gdzie byśmy byli, gdyby nie ci wymuskani czytelnicy „Guardiana” i ich comiesięczne darowizny - zawarczał, patrząc spode łba na Viva.

- To jak, sprzęt już przygotowany? - zapytał Tom, pospiesznie zmieniając temat, póki jeszcze George i Viv nie rzucili się na siebie.

- Mel przywiozła wszystko volvo swojego ojca - powiedział George, po czym zwrócił się do Kyle'a: - Słuchaj no, nieznajomy, bez obrazy, ale mamy tu swoje sprawy. Bądź tak łaskaw i spłyń stąd.

- Dobra, rozumiem - powiedział Kyle, wycofując się. - Tom, mam twój numer na komórkę. Zadzwoń w sprawie tego spotkania na uczelni.

- Nie idź! No co ty? - zaryczał Viv. - George, kurde, Kyle to diament, a ty przecież przez pół tygodnia biegałeś po uniwerku, próbując zwerbować ludzi do tej akcji. Powiedz mu, o co chodzi, to może będziemy mieli o jednego więcej.

- Słuchaj, Kyle - George pokręcił głową - bez obrazy, ale działałam tylko z ludźmi, których znam.

Kyle bardzo chciał wiedzieć, co też planują jego nowi koledzy, ale gdyby wydał się im podejrzanie gorliwy, cała pomyślnie zaplatająca się intryga mogła wybuchnąć mu prosto w twarz.

- Dajcie spokój - powiedział, machnąwszy ręką na znak, że nie czuje się urażony. - Powodzenia, cokolwiek knujecie.

Kiedy odwrócił się, żeby odejść, zobaczył biegnącego do nich Jamesa. W jego głosie pobrzmiwał lekki niepokój.

- Coś się dzieje przy bramie - wydyszał James. - Po Robyn przyleciała matka, zgarnęła ją do samochodu i uciekły. Wszystkie niemrawe dziadki zwiewają, bo pod bramę zajechały dwa autokary wściekłych studentów. Niezły tłumek. Wrzeszczą, coś tam skandują i w ogóle strasznie są podjarani.

George spojrzął na zegarek.

- Oddziały specjalne Madeline Laing. Punktualnie.

- Co się dzieje? - zapytał Kyle.

- Pojawił się przeciek, że Malarek odbiera dziś ciężarówkę małą - wyjaśnił Viv.

James zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie w tygodniu, kiedy prawie nikogo tu nie ma? Tom i Viv zdążyli poznać Jamesa, ale George nie miał pojęcia, kto to jest.

- Ile masz lat, dzieciaku? - zapytał wyraźnie zaintrygowany.

- Czternaście. George roześmiał się.

- I od razu przejrzałeś podstęp policji?

- Hej. - Viv zbliżył się do George'a, subtelnie wykorzystując swoją posturę do onieśmielenia rozmówcy. - Georgie, słońce ty moje, czemu po prostu nie powiesz chłopakom, o co chodzi, i nie weźmiemy ich ze sobą? Są w porządku. Chryste, przecież ich matka bzyka się z samym Ryanem Quinnem!

- Nie, Viv - powiedział twardo George, spoglądając na zegarek. - Nie wtajemniczymy pary przybłądów na dziesięć minut przed profesjonalnie zaplanowaną operacją. To doskonały sposób, żeby dać się złapać.

- Ech, napchaliście sobie łby Quinnem i całą tą jego na dętą, szpiegowsko-kryminalną dziecinadą - zadrwił Viv. - Profesjonalna operacja! Mój wacek jest bardziej profesjonalny od ciebie.

George po raz kolejny spojrzął na zegarek.

- Nie mamy na to czasu - wycodził ze złością. - Zresztą dobra, jak chcesz, to weź ze sobą swoich nowych kumpli, ale to ostatni raz, kiedy coś z tobą organizuję. Brakuje ci dyscypliny. Jesteś niepoważny.

- Cmoknij mnie w pompkę - wyszczerzył się Viv, odwracając się do Kyle'a i Jamesa. - Dziesięć dni temu jakimś cudownym sposobem wyciekła informacja, że dziś około czwartej po południu do Malarek Research przyjeżdża ładunek małąp w nie oznakowanej ciężarówce. Rada Przymierza Zebra przyjrzała się sprawie i uznała, że przeciek jest fałszywy. Policja postanowiła obstawić okolicę ludźmi, sprowokować nas, a potem wkroczyć i za jednym zamachem zgarnąć tyłu, ilu się tylko da. Jednakowoż policja nie wie, że oszołomy przy bramie mają polecenie przepuszczenia ciężarówki nawet bez piśnięcia.

- Żeby gliniarze wyszli na głupków. - Kyle pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak, będą mieli raczej głupie miny - przytaknął Viv. - Ale nie o to chodzi. Bo widzisz, tutejsze drogi są wąskie i psy muszą zaparkować swoje radiowozy i furgonetki spory kawałek drogi stąd. Podczas gdy oni będą pilnować bramy przed przerażająco grzecznymi studentami, my trochę przemodelujemy im samochody.

Kyle skinął głową, wyrażając aprobatę dla planu, a James wybuchnął złym rechem.

- Bosko! - zawołał. - Weźcie mnie, dobra? Też chcę porozwalać sprzęt smerfom.

- To rozumiem, dzieciaku - ucieszył się Viv i po przyjacielsku dzielił Jamesa w plecy.

George skrzywił się na znak, że uważa to za marny pomysł, ale po chwili ociągania pokiwał przyzwalająco głową. Tom odwrócił się do Kyle'a.

- To jak, wchodzisz w to czy nie?

- Wygląda mi to na lekkie szaleństwo - uśmiechnął się Kyle. - Ale wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

- Dobra już, dobra - przerwał zirytowany George. - Lećmy, jesteśmy gigantycznie spóźnieni.

## 12. DEMOLKA

James z trudem powstrzymywał chichot, przyglądając się, jak George sady niezdarnymi susami przez rzepak, kręcąc młyńce chudymi kończynami, z wojskową kurtką, która powiewała mu za plecami niczym płaszcz superbohatera.

Przebiegli przez dwa pola, przeszli górą przez metalową bramę i pobiegli poboczem głównej drogi odchodzącej od autostrady. Wzdłuż szosy stały zaparkowane co kilka metrów puste radiowoz-y i policyjne furgonetki. W niektórych miejscach blokowały wszystkie pasy ruchu z wyjątkiem jednego, co powodowało mini zatory w strumieniu aut uciekających demonstrantów.

- Rany, ile ich może być? - zapytał James w biegu zatrwożony ilością zgromadzonych sił.

- Ze dwie setki gliniarzy i jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt samochodów - powiedział Tom. - Do każdego aresztowania potrzebnych jest przynajmniej dwoje policjantów.

- Zgarnęli cię kiedyś?

Tom uśmiechnął się.

- Sześć razy, na marszach, akcjach bezpośrednich, różnie... A ciebie?

Była to jedna z tych chwil, które wymagały od agenta improwizacji.

- Mnie? Coś ty - zaśmiał się James. - Miałeś sprawy w sądzie?

- Dwa razy wlepili mi grzywnę za celowe uszkodzenie mienia. Nic wielkiego. Ale Viv dostał pół roku w zawiasach za zdemolowanie sklepu mięsnego.

- Ekstra - ucieszył się James, notując w pamięci, że po powrocie do domu musi opowiedzieć Zarze o przestępczej przeszłości Toma i Viva.

Wkrótce dotarli do przerwy w zaroślach i zwirowej drogi wiodącej w stronę zdewastowanej stodoły. George wprowadził ich do środka przez szerokie wrota, których zbutwiałe skrzydła groziły wypadnięciem z zawiasów.

Na klepisku, oświetlonym ostrymi promieniami słońca bijącymi przez dziury w dachu, kręciło się około piętnaściora członków Przymierza. Dwie trzecie stanowili mężczyźni, młodzi, ubrani w ciemne spodnie i bluzy z kapturami. Niektórych zdobiły kolczyki i tatuaże, ale w większości byli to ludzie, jacy na ulicy nie zwróciliby niczyjej uwagi.

George pospieszył w stronę kobiety trzymającej w dłoni krótkofalówkę i natychmiast został zrugany za spóźnienie. James, Kyle, Tom i Viv wycofali się chyłkiem i podeszli do mężczyzny rozdającego kominiarki i jednorazowe rękawiczki.

- Skoro nareszcie jesteśmy w komplecie – przemówiła donośnym głosem kobieta z krótkofalówką, zezując wrogo na George'a - niech każdy włoży rękawice, weźmie młotek i jeden spray. Nie chcę żadnych bohaterskich popisów, każdy załatwia jeden, góra dwa samochody, a potem rozpraszamy się na polach. Pamiętajcie, że w niektórych radiowozach są kamery, które pracują przez cały czas, dlatego nie zdejmujcie kominiarek, dopóki nie oddalicie się od miejsca akcji. Potem możecie wyrzucić młotki i spraye pod warunkiem, że nie byliście na tyle głupi, by zostawić na nich odciski palców. Na rękawiczkach i kominiarkach zostaną ślady DNA, dlatego należy je zabrać do domu i zniszczyć. I ostatnia rzecz: w razie aresztowania w żadnym wypadku nie roz-

mawiajcie z policją. Bądźcie grzeczni, nawet jeśli będą was prowokować, i żądajcie rozmowy z obrońcą z kancelarii Parker, Lane and Figgis. Przymierze Zebra pokryje koszty prawne pod warunkiem, że nie będziecie współpracować z policją. A teraz powtórzcie, jak się nazywa kancelaria waszego adwokata?

- Parker, Lane and Figgis - wymruczał tłumek.

- I zapamiętajcie to sobie - krzyknęła kobieta.

Zebrani włożyli rękawiczki i kominiarki, po czym wyszli na zewnątrz, by pobrać sprzęt z bagażnika volvo kombi zaparkowanego pod stodołą. Na szczęście dla Jamesa i Kyle'a całkiem sporo bojowników stchórzyło przed akcją, więc młotków i spryskiwaczy było aż za dużo.

Viv zarzucił sobie na ramię cylinder z bładniebieskim płynem.

- Co to jest? - zapytał Kyle.

- Przemysłowy rozpuszczalnik do farby - powiedział uroczyście Viv. - Silnie żrący, łatwopalny, w okamgnieniu złuszcza farbę z metalu. Rozpuszcza też niektóre plastiki, oraz tkaniny syntetyczne, w tym te, z których robi się pokrycia foteli samochodowych. Uważaj, żeby się tym nie upaprać.

- Dobra, ludzie! - zawołała kobieta z krótkofalówką. - Przed chwilą odebrałam sygnał do wymarszu. Gliniarze już czekają w szturmowych ubrankach, a nasz zwiadowca zameldował, że małopowóz właśnie zjechał z autostrady. Powodzenia i pamiętajcie o złotej zasadzie: jeżeli masz wątpliwości, co robić, zwiędaj ile sił w nogach.

Dwaj bojówkarze wznieśli okrzyki, a Viv triumfalnie załodłował. Tłumek aktywistów rozpierzchł się na wszystkie strony. James i Kyle pobiegli z Tomem i Vivem, ale po kilku krokach drogę zastąpił im George.

- W środę wieczorem będę rozmawiał o tobie z radą powie-dział ze złością, patrząc na Viva. - Jesteś renegatem i twoja pos-



tawa może przysporzyć Przymierzu poważnych kłopotów.

Viv uniósł otwartą dłoń, jakby zamierzał zdzielić George'a w głowę.

- George, jesteś męczącym, płaczącym, nudnym, małym mazgajem. Mam gdzieś, co zrobisz i co powiesz, tylko nie pokazuj mi się więcej na oczy.

- Zobaczymy, co na to powie rada - powiedział butnie George i odbiegł, po drodze potykając się o własną nogę.

- Musisz uważać - powiedział Tom do brata, kiedy znów puścili się biegiem. - Rada uwielbia małego Georgiego. Jak nie będziesz ostrożny, wywalą cię z Przymierza.

- Mam to gdzieś, jestem anarchistą - powiedział Viv ze wzgardą. - Szczerze mówiąc, to w ogóle nie powinienem wstępować do czegoś, czym rządzi rada.

Czterej chłopcy przebiegli pół kilometra wzdłuż szosy, kryjąc się za zaroślami. Zatrzymali się przy błotnistym wjeździe na jakąś farmę, gdzie stały trzy policyjne furgonetki i dwa osobowe radiowozy zaparkowane w szeregu jeden obok drugiego. Sprawdzili je w drodze do stodoły i wiedzieli, że w pobliżu nie ma policjantów.

Kiedy wyszli z ukrycia, James poczuł przyptyw adrenaliny.

- Vive la revolution! - wykrzyknął Viv, podbiegając do najbliższej furgonetki i unosząc młotek z furją.

James przyskoczył do pościgowego bmw, pierwszym uderzeniem utracił boczne lusterko, po czym obiegnął samochód dookoła, tłukąc okna w drzwiach, by wreszcie skupić się na przedniej szybie. Przygrzmocił w nią trzy razy, ale hartowane szkło stawiało opór.

- Załatw wnętrze sprayem - krzyknął Tom, który wraz z Kyle'em zajmował się sąsiednim autem.

James zdjął pojemnik z ramienia i wetknął końcówkę spryskiwacza przez stłuczone okno, zmoczył tapicerkę kabiny

zrącym płynem. Kiedy skończył z wnętrzem, zaczął metodycznie polewać białą karoserię, słuchając dochodzącej z oddali kanonady pękających szyb i patrząc, jak farba na radiowozie zaczyna wrzeć tysiącami małych bąbelków.

Już przymierzał się do rozlania resztek płynu w bagażniku, kiedy w samochodzie zaszła osobliwa reakcja chemiczna, która zmusiła go do rejterady. Przez rozbite okna buchnęły kłęby szarego dymu z rozpuszczającego się w środku plastiku.

Kiedy próbował uciec ze strefy zadymienia, furgonetka zaparkowana tuż za nim zatrzęsała się od metalicznego grzmotu, a ogniasty podmuch otworzył na oścież tylne drzwi.

- Jezu! - krzyknął James, chowając głowę w ramionach i podbiegając do Viva.

- No, czyż to nie boskie? - zachwycił się Viv.

- Cholera jasna, co to było? - odkrzyknął James, wachlując twarz dłonią w daremnej próbie odpędzenia gęstniejącego wokół nich dymu.

W odpowiedzi Viv pokazał mu niedużą tekturową rurkę.

- Petardy - wyjaśnił, wręczając przedmiot Jamesowi. - Pomyślałem, że trochę ożywi atmosferę.

Ocierając łzy, jakie wyciskały mu z oczu gryzące opary, i próbując zdławić odruch kaszlu, James zauważył samotnego policjanta biegnącego ku nim poboczem szosy.

- Lepiej to wyrzucić - poradził Viv.

Zrozumienie spadło na Jamesa w ostatniej chwili - oszołomiony dymem i hałasem nie zauważył, że petarda w jego dłoni jest zapalona. Bez namysłu odrzucił ją jak najdalej przed siebie. Dymiąca rurka przeleciała, wirując, nad samochodami i wybuchła w powietrzu kilka metrów przed policjantem.

- Ja cię sunę! - wrzasnął radośnie Viv. - Rzuciłeś w gliniarza!

- Po prostu to wyrzuciłem - zaprotestował James, wpatrując się uporczywie w kłęby dymu.

Ku swej ogromnej uldze spostrzegł, że w wypadku ucierpiała jedynie duma funkcjonariusza i być może jego bielizna. James miał już przejścia z policjantami i nie był ich największym fanem, ale nie zamierzał z tego powodu wysadzać ich w powietrze.

- Spadamy stąd, mały - powiedział Viv, łapiąc Jamesa za koszulkę i pociągając go za sobą. - Jak teraz damy się złapać, zlin-czują nas.

Kyle i Tom, którzy zdążyli zdemolować furgonetkę i dwa samochody osobowe, biegli już przez pola, porzuciwszy spryski-wacze i młotki zaraz po pierwszej eksplozji.

- Zdejmij rękawiczki i kominiarkę - polecił Viv, zdejmując własne w pełnym biegu. - Jesteś gość, James. Bona fide szalony kefir i bratnia dusza, słowem walnięty zabójca gliniarzy.

James z trudem zdobył się na słaby uśmiech. Przed chwilą omal nie stracił dłoni i był wstrząśnięty.

Patrząc na Viva Cartera, trudno było powstrzymać się od my-śli, że ten opętaniec kiedyś kogoś zabije.

## 13. MUNDUREK

...po atakach zatrzymano dwóch wyższych ranga członków Przymierza Zebra, których jednak wkrótce zwolniono, nie postawiwszy im żadnych zarzutów. Ogółem uszkodzone zostały trzydzieści trzy pojazdy, z których dwadzieścia pięć przeznaczono do kasacji. Według wstępnych szacunków policji straty mogły przekroczyć pół miliona funtów.

Komendant policji hrabstwa Avon Derek Miller przyznał, że stanął przed problemem niedostatku pojazdów, jednocześnie zaprzeczając, by miało to ograniczyć działania policji w jego rejonie. Miller odmówił skomentowania pogłoski, jakoby atak był następstwem źle przeprowadzonej prowokacji, która nieoczekiwanie przybrała dramatyczny obrót. Potwierdził jednak, że trzech oficerowie policji zostali zawieszni w obowiązkach służbowych do czasu zakończenia dochodzenia.

BBC Radio Bristol

Na ogół Laura uwielbiała wdzieranie się w celofanową doskonałość czegoś, czego jeszcze nigdy nie miała na sobie - rozrywanie folii, zdrapywanie naklejek i zrywanie plastikowych przywieszek - ale nie tym razem.

Był poniedziałkowy poranek, a paczki zawierały szarą spódnice, podkolanówki i białą bluzkę. Przez sufit słychać było Jamesa i Kyle'a kłócących się na gorze o łazienkę, a Ryan przy telefonie w kuchni tłumaczył komuś z pasją, że Madeline Laing to i Madeline

Laing tamto. Laura z westchnieniem wyslizgnęła się z olbrzymiego T-shirtu z Gorillaz, w którym spała, i sięgnęła po mundurek. Próbowwała pocieszyć się tym, że wakacje zaczynały się już za miesiąc, co oznaczało, że nie będzie musiała chodzić do szkoły dłużej, nawet jeżeli misja trochę się przeciągnie, ale ta świadomość nie przynosiła jej ulgi, ponieważ nie uwalniała od tego, czego nienawidziła najbardziej na świecie: wtapiania się w nowe środowisko.

Cherubini na misji mają zachowywać się tak jak wszystkie inne dzieci, a to oznacza, że muszą chodzić do szkoły, i choć Laura potrafiła przebiec dziesięć kilometrów z ciężkim plecakiem, porozumiewać się w trzech językach i przyrządzić wiewiórkę na pięć różnych sposobów, na myśl o byciu nową uczennicą siódmej klasy ogarniało ją przerażenie.

Nie cierpiała dowcipnisiów, którzy opowiadali, że podoba się ich koledze, dziewcząt, które pogardały nią, bo nie należała do ich kółka wzajemnej adoracji, ani nauczycieli, których nie obchodziło absolutnie nic, dopóki sami mieli spokój.

Naciągając podkolanówki, Laura spróbowała wyobrazić sobie, że może tym razem wszystko będzie w porządku. Wejdzie do klasy, wychowawca okaże się sympatyczny, a w klasie znajdzie się jedna lub dwie fajne dziewczyny, z którymi będzie można się zaprzyjaźnić.

Spojrzała na dziwaczne buty, jakie miała włożyć, i oblała ją fala zimnego strachu. Zara zamówiła je z katalogu z produktami wegańskimi i na fotografii wyglądały w porządku, ale rzeczywistość okazała się inna. Wierzchy były z grubego lśniącego plastiku, a podeszwy zrobiono z...

Laura uniosła jeden z butów, by przyjrzeć mu się z bliska, postukała w spód i uznała, że najbardziej przypomina kromkę chrupkiego chleba, jaki jadła jej mama, kiedy była na diecie. Nie mogła mieć żadnej nadziei, że noszenie błyszczących plastikowych

butów, przypominających bogatą w błonnik przekąskę, nie zamieni jej w klasowego dziwoląga.

Mimo to wsunęła je na stopy, zacisnęła zęby i ruszyła do kuchni na śniadanie. Powiedziała sobie, że na świecie są ludzie bez rąk i nóg, głodujące dzieci i w porównaniu z ich sytuacją para szpetnych butów nie była poważnym powodem do rozpaczania. Potem zobaczyła Jamesa okrążającego dół schodów w szkolnym mundurku i czarnych skórzanych adidasach.

- Gdzie twoje wegańskie buty do szkoły? - zapytała niespokojnie.

James parsknął śmiechem.

- Wyjęliśmy je z Kyle'em z pudełek i stwierdziliśmy, że nic z tego. Jeśli ktoś zapyta, powiemy, że zostaliśmy weganami dopiero po zamieszkaniu z Ryanem, i mama nie ma pieniędzy na nowe buty dla nas wszystkich.

- A jeśli nie wolno nosić butów sportowych? - zapytała Laura.

- W większości szkół wolno, pod warunkiem że są czarne. A jak nie, to najwyżej każą nam przyjść jutro w czymś innym.

Nagle czując się o wiele bardziej szczęśliwa, Laura pognała z powrotem do swojego pokoju. Zanurkowała pod łóżko po czarne adidas, ale wygarnęła stamtąd tylko białe płócienne najki i parę ciemnoniebieskich tramppek. W tej chwili przypomniała sobie, że czarne buty sportowe zostawiła w kampusie podobnie jak parę czarnych płóciennych tenisówek, które byłyby idealne...

Laura z furią zabębniła pięściami o materac, poderwała się i omal nie wyskoczyła ze skóry, kiedy witrażowe okno tuż za nią rozprysnęło się z głośnym brzękiem. Połówka cegły potoczyła się po dywanie i metalicznie brzęknęła o nogę łóżka.

- Łajzy! Wynocha z naszej wioski! - piskliwy chłopięcy wrzask dobiegał z łąki za domem.

Zdażyła jeszcze zauważyć szary mundurek szkolny, po czym napastnik zniknął wśród zieleni, a do pokoju wbiegła Zara. Stała na progu, wpatrując się przerażonym wzrokiem w odłamki szkła na dywanie.

- Nic ci nie jest?

- Wszystko dobrze - rzuciła Laura, nurkując pod ramieniem Zary i otwierając drzwi do ogrodu. - Widziałam go. Chyba jest w moim wieku.

Wypatrzwszy wandalę na nieskoszonej łące, Laura puściła się za nim szalonym sprintem.

- Jesteś trupem! - krzyknęła, przedzierając się przez długą trawę, która boleśnie chłostała jej nogi.

W plastikowych butach nie bieгло się zbyt wygodnie i przez pierwsze dwieście metrów Laura nie zdołała skrócić dystansu do ściganego. Chłopiec miał jednak słabszą kondycję i wkrótce zaczął zwalniać. Przeskoczył przez metalową bramkę i wbiegł na drogę prowadzącą do nowoczesnych domów na północnych obrzeżach wsi. Laura dopadła go, kiedy skręcił na trawnik wciśnięty między dwa budynki.

- Mam cię - wrzasnęła triumfalnie, ramieniem obejmując chłopca od tyłu i całym ciężarem ciała przyciskając go do ściany domu.

Uchwyt jednak okazał się zbyt słaby. Dzieciak wywinął się i wystrzelił na osłep sierpowym. Laura zrobiła unik, jednocześnie zaczepiając stopę na prawej kostce przeciwnika i mocnym kopnięciem ścinając go z nóg. Natychmiast przypadła do niego, szarpnięciem przetoczyła na plecy i usiadła mu na piersi, przygważdżając ręce kolanami. Chłopiec okazał się od niej wyższy i był wstrząśnięty szybkością, z jaką został obezwładniony.

- Mogłeś mi wybić oko, wiesz? - wycodziła Laura.

Dzieciak szarpnął się i splunął jej w twarz.

- I dobrze! Dla mnie możecie wszyscy zdechnąć.

Laura otarła ślinę z policzka, z najwyższym trudem powstrzymując chęć złamania gnojkwowi szczęki.

- Co ja ci takiego zrobiłam, co? - zapytała.

- Tylko mnie puść, to ci tak wpier...

Laura ujęła nos chłopca pomiędzy kciuk a zgięty palec wskazujący i mocno skręciła.

- Co konkretnie mi zrobisz?

- Puszczaj, suko! - wydarł się dzieciak.

Pościg rozegrał się tak szybko, że Laura nie miała czasu na zastanowienie się, co zrobi potem. Mogła zawlec chłopca do domu i wezwać policję, ale wtedy zrobiłaby się z tego grubsza afera, a Ryan nie byłby zachwycony, gdyby w jego pobliżu zaczęli węszyć gliniarze. Wyszkolenie dawało jej szereg możliwości: od pozbawienia dzieciaka przytomności, przez połamanie mu kończyn, po uśmiercenie gołymi rękami. Wszystkie te rozwiązania wydały jej się zbyt radykalne, ale z drugiej strony kolo wrzucił jej cegłę przez okno i splunął w twarz. Nie było mowy, by wypuściła go bez ostrzeżenia.

- Wstawaj, gównojadzie - rozkazała, uwalniając swoją ofiarę.

Chłopiec nie mógł wiedzieć, że Laura ma za sobą dwa lata intensywne kursów sztuk walki. Był przekonany, że jego przeciwniczka, przecież mniejsza od niego, to zwykła dziewczyna, której się poszczęściło. Kiedy tylko wstała, wierzgnął wściekle, trafiając ją w gołeń czubem traperki.

Laura zareagowała z bezlitosną skutecznością, łapiąc chłopca za nadgarstek, wbijając mu obcas między łopatki i wykręcając rękę w superbolesnym chwycie.

- Myślisz, że jesteś taki mocny, tak? - wycodziła z furią w głosie. - Jeden ruch i będziesz musiał tłumaczyć kolegom, jak to się stało, że dziewczyna złamała ci rękę.



- Proszę, nie - wykrztusił chłopiec, kiedy Laura wykręciła mu rękę jeszcze bardziej, prawie wyłamując ją ze stawu.

- Tym razem żadnych numerów, kiedy cię puszcze, zrozumiano?

- Okej... - stęknął pokonany dzieciak.

Gdy tylko Laura zwolniła uchwyt, przetoczył się na plecy i wbił w nią wzrok pełen złości i strachu. Dysząc ciężko, zaczął masować sobie obolałe ramię.

- Niezłe laczki - powiedziała Laura, patrząc na prawie nowe timberlandy na nogach chłopaka. - Jaki rozmiar nosisz?

- Dwa i pół.

- Mogą być, wyskakuj. I ze spodni też.

Chłopiec zeszywniał, a Laura wyszczerzyła zęby w paskudnym uśmiechu.

- Słuchaj no, mały, wybór należy do ciebie. Możesz je zdjąć sam albo ja to zrobię, ale wtedy będzie cię bardzo, ale to bardzo bolało.

Chłopiec pochylił się w przód i zaczął rozwiązywać buty. Zdjąwszy je, rozpiął pasek i wstał, by wysliznąć się ze spodni.

- Dawaj - warknęła Laura, wrywając mu spodnie z ręki.

Zaczęła sprawdzać kieszenie. Klucze rzuciła na ziemię, a jedną z chusteczek higienicznych otarła sobie twarz z resztek śliny. Potem rozpięła tylną kieszeń i wyjęła z niej nylonowy portfel.

- Co my tu mamy - mruknęła Laura, rozrywając rzep, po czym wysunęła z kieszonki kartę członkowską ośrodka sportu i kartę autobusową. - Stuart Pierce, urodzony ósmego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, Nicholson Villas dwadzieścia jeden, Corbyn Copse, Avon. Fotogeniczny to ty nie jesteś, wiesz?

Laura rzuciła portfelem, który odbił się Stuartowi od głowy. Chłopiec wyglądał żałośnie, stojąc tak w samych skarpetkach i

majtkach z miną, jakby za chwilę miał się rozplakać. Laura zrolowała spodnie w kulę i cisnęła na najbliższe drzewo. Zawisły na gałęzi, a nogawki rozwinęły się, powiewając wysoko poza zasięgiem rąk.

- Jeśli ty albo którykolwiek z twoich kumpli jeszcze raz zbliżycie się do mojego domu, połamię ci wszystkie kości - wycedziła Laura i schyliła się po buty. - I dzięki za trepy, mały, właśnie tego szukałam.

\*

Laura odświeżyła buty solidną porcją dezodorantu i włożyła je na dwie pary skarpetek, bo były trochę za duże. Do szkoły w pobliskim miasteczku mieli pojechać autobusem i kiedy szli z Kyle'em na przystanek, James wciąż dusił się ze śmiechu.

- Wyobraźcie sobie bieg do domu w samych slipach - chichotał. - Laura, jesteś wredna.

- On naprawdę mógł mi zrobić krzywdę tą cegłą. No i napluł mi w twarz, gnojek jeden. Choć muszę przyznać, że chyba bawiłam się trochę za dobrze. To prawda, co mówią o władzy, która uderza do głowy.

- Jeśli komuś powie, mogą być kłopoty - zauważył James. Laura cmoknęła.

- To się nie zdarzy, James. Jeśli zakabluje, że skroiłam go z butów, będzie musiał się przyznać do rzucania cegłami w okna, co jest dziesięć razy gorsze.

- Wiem, kto to jest - zawołał triumfalnie Kyle.

- Kto? - zdziwiła się Laura.

- To nazwisko, Stuart Pierce - powiedział Kyle. - Męczyło mnie przez całe śniadanie. Czytałem raport o napadzie OWZ na niejaką Christine Pierce. Mieszka w Corbyn Copse i ma dwóch synów: Stuarta i Andy'ego. Założę się, że dlatego rzucił tą cegłą.

- Czytałem o tym. - James skinął głową. - Oblali jej twarz farbą i straciła wzrok.

Laura zatrzymała się i spojrzała na swoje trampy ogarnięta poczuciem winy.

- Biedny dzieciak - powiedziała cicho. - Nie mogę w nich chodzić. Wszyscy mnie znieawidzą. Lepiej skoczę do domu po te plastiki.

James spojrział na zegarek.

- Nie radzę, jeśli chcesz zdążyć na autobus.

Przystanek znajdował się przy drodze pomiędzy starą i nową częścią wioski, niedaleko od uliczki, gdzie Laura upokorzyła Stuarta. Zastali tam około tuzina uczniów czekających na autobus. Trzej spośród najstarszych chłopców wyszli im naprzeciw i zastąpili drogę.

- Nie szukamy kłopotów - powiedział Kyle. - Czekamy na autobus.

Laura zauważyła Stuarta siedzącego na murku jakieś dwadzieścia metrów dalej. Zdążył już wziąć z domu inne spodnie i buty, ale trzymał się za ramię, jakby wciąż go bolało, a wokół oczu miał czerwone kręgi sugerujące łzy.

- Nie chcecie kłopotów, tak? - mocno zbudowany wyrostek prychnął pogardliwie, wypinając pierś tuż przed Kyle'em.

Był powiększoną wersją Stuarta z pryszczami i Laura natychmiast uświadomiła sobie, że to musi być jego starszy brat Andy.

- Zdaje się, że jednak je macie - powiedział drugi osiłek, zawiązując nad Jamesem.

- No już, zaczynaj! - krzyknął zaczepnie James, odpychając napastnika od siebie. - Zobaczymy, jak ci pójdzie.

Kyle dobrze wiedział, że James ma gorący temperament, i pośpiesznie odciągnął go do tyłu.

- Spokój, chłopaki - powiedział, unosząc ręce. - Wiem, że ty jesteś Andy Pierce. Czytałem w gazecie, co zrobili twojej mamie, i jest mi bardzo przykro. Mimo to musimy jakoś razem żyć i...

- Ani słowa o mojej mamie! - wrzasnął przeraźliwie Andy Pierce. - Straciła wzrok, straciła pracę, a teraz stracimy nasz dom, a wszystko przez takie łajzy jak wy.

Garstka pozostałych chłopców, w tym kilku krzepkich osiemnastolatków, gniewnymi pomrukami wyraziło swoje poparcie dla Andy'ego.

- Nasza mama poznała jednego kolesia, przywlokła nas tutaj i musimy tu mieszkać. To nie nasza walka - powiedział Kyle.

Podczas gdy Kyle i Andy kłócili się, chłopak, którego James popchnął, jeszcze raz zbliżył się do niego i bezgłośnie wypowiedział dwa słowa:

- Twoja stara.

- Coś ty powiedział, złamasie?

- Powiedziałem, twoja stara.

James cofnął się o krok i uniósł pięści.

- No chodź, grubasie, spróbuj szczęścia. Pokaż, co potrafisz.

- James, nie zaczynaj - powiedziała Laura cicho.

Chłopak zamachnął się. James uniknął ciosu gwałtownym skłonem i niemal w tej samej chwili rozkwaślił przeciwnikowi usta błyskawicznym prawym prostym. Było to mocne uderzenie, ale nie łamacz szczęk, jaki James mógłby zaaplikować chłopcu, gdyby tylko chciał.

- Zostaw go! - krzyknął Kyle.

- Ktoś jeszcze chce spróbować? - wrzasnął James, odwracając wzrok od oszołomionego przeciwnika, który oparłszy się ciężko o wiatę przystanku, coraz to spluwał krwią na chodnik.

Cios podkreślił napięcie i miejscowe dzieciaki zaczęły jeden przez drugiego wywrzaskiwać porady, od: „Uspokójcie się” po: „Zgłanujmy im łby”. Laura miała przeczucie, że totalna bitwa wisi na włosku, i z ogromną ulgą powitała widok nadjeżdżającego szkolnego autobusu. Podczas wsiadania nie obyło się bez popy-

chania i przekleństw, ale Kyle dopilnował, żeby James usiadł daleko od młodzieńców, z którymi się starli, i zanim autobus ruszył, atmosfera się uspokoiła.

- Hamuj się, ówoku jeden - wyszeptał Kyle, mierząc Jamesa karcącym wzrokiem.

James wzruszył ramionami bez cienia skruchy.

- Chciałem, żeby wiedzieli, że lepiej z nami nie zadzierać. Są pięć razy więksi od Laury i wolałbym, żeby nie wpadli na jakiś głupi pomysł, kiedy nie będzie nas w pobliżu.

Tymczasem Laura wypatrzyła Stuarta siedzącego po drugiej stronie autobusu jeden rząd przed nią, i wśliznęła się na puste miejsce tuż za nim.

- Nie wiedziałam, co się stało twojej mamie, póki Kyle mi nie powiedział - wyszeptała, wciskając twarz w szparę między zagłówkami foteli. - Nie mogę cały dzień chodzić bosą, ale po południu odniosę ci buty do domu, dobra?

Stuart obejrzał się z grobową miną.

- Weź je sobie - burknął. - Nie chcę ich, skoro były na twoich śmierdzących nogach.

## 14. DROŻDŻÓWKI

W ciągu pierwszych trzech dni szkoły Laura nie nawiązała z nikim bliższej znajomości, ale dzieciaki z jej klasy były w porządku i nikt nie próbował jej zaczepiać. Jedyne stresujące chwile przeżywała każdego ranka na przystanku, gdzie James i Andy Pierce bawili gawieź codziennymi pyskówkami. Ograniczali się do starć słownych, ale Laura miała paskudne przecucie, że prędzej czy później przerodzi się to w coś poważniejszego.

Operacja posuwała się naprzód, choć od weekendu nie wydobyło się nic sensacyjnego. Podczas gdy dzieci były w szkole, Ryan wystukiwał niezliczone e-maile i bez przerwy telefonował do swoich łączników. Zara poświęcała większość czasu na codzienne zajęcia związane z prowadzeniem domu, a resztę na nadrabianie zaległości w papierkowej robocie stanowiącej ważną pozycję na liście obowiązków starszego koordynatora misji.

Pilnowała także, by dzieci codziennie schodziły do doliny i pokazywały się na miejscu demonstracji. Laura przychodziła tam prosto ze szkoły, by odegrać swoją partię grzecznej dziewczynki roznoszącej napoje i gorące drożdżówki emerytom tkwiącym ofiarnie przy transparentach nierzadko po dziesięć godzin dziennie. Na ogół byli to sympatyczni zgredzi, którzy zawsze robili wokół Laury mnóstwo zamieszania i rozwodzili się nad jej mistrzostwem w parzeniu herbaty.

Większość starsuszków zdążyła owdowieć i miała dorosłe dzieci. Laura odniosła wrażenie, że codzienne czuwanie za policyjnymi barierami pomagało wypełnić wielkie ziejące dziury w kilku pustych żywotach.

Zresztą zadawanie się z nimi nie było zupełną stratą czasu. Owszem, byli tak mięccy i rozlaźli, jak tylko mogli być członkowie Przymierza Zebra, ale dużo wiedzieli, słyszeli miliony plotek i podstuchując ich rozmowy, można się było zorientować, czy nadchodzący działacz jest uważany za dobrą duszę, świra, czy podstawionego przez policję tajniaka. Nie były to twarde dowody, ale Laura notowała nazwisko każdego, kogo starsuszkowie nie lubili, i uzyskiwała zaskakująco wysoką liczbę trafień, kiedy w domu porównała listę z bazą danych wywiadu kryminalnego. Nie mylili się także co do szpiegującej ich policjantki.

Kyle i James przychodzili zwykle po odrobieniu lekcji i obiedzie, kiedy niebo zaczynało ciemnieć, a starsuszkowie zabierali swoje składane krzeselka i gazety, by ustąpić miejsca żywшему tłumkowi studentów, młodych małżeństw i czasem kilkorga dzieci. Zachowywali się przyjaźnie, choć zdarzało się, że jakiś młody chojrak - zwykle pijany, popisujący się przed dziewczyną albo jedno i drugie - zaczynał ciskać jajami, farbą lub torebkami z mąką w samochody wjeżdżające do zakładów Malarek Research i z nich wyjeżdżające.

Rzucający miał takie same szanse na ucieczkę, jak na dostanie się w ręce policjantów, którzy przyczajali się za krzakami na poboczu, zawsze gdy tłumek stawał się niesforny. Zatrzymania przebiegały w pogodnej atmosferze i aresztowanych zawsze żegnaly wiwaty, gdy zakuwano ich w kajdanki i prowadzono do furgonetki przed dwunastokilometrową przejazdką do komisariatu.

\*

Była środa, prawie za dziesięć piąta po południu. Laura brnęła przez łąkę za domem, trzymając tacę z pustymi kubkami turystycznymi i niedojedzoną paczkę herbatników. Nagle dostrzegła Stuarta Pierce'a stojącego trzydzieści metrów od niej, po kolana w ostach i trawie.

- Hej - bąknął chłopiec najpotulniejszym głosem, jaki zdołał z siebie wydobyć, jednocześnie przywołując na twarz bojaźliwy uśmiech w stylu: „Proszę, nie rzuć się na mnie z pięściami”. - Wiem, że zabroniłaś mi tu przychodzić, ale czy moglibyśmy chwilę pogadać?

Stuart był w wieku Laury i na WF-ie grali nawet w tej samej drużynie koszykówki, ale była to ich pierwsza rozmowa od poniedziałkowego spotkania w autobusie.

- Myślę, że jakoś to przeżyję. - Laura wzruszyła ramionami, czując dziwną mieszankę emocji wobec dzieciaka, którego mamę oślepiła OWZ, ale który także miał czelność napluć jej w twarz.

Stuart uśmiechnął się niepewnie i podszedł bliżej.

- Wiem, że kiepsko zaczęliśmy tę znajomość.

- Rozumiem, że nawiązujesz do cegły, którą wrzuciłeś mi przez okno.

- Przepraszam cię, Laura... Mogę cię tak nazywać?

Laura zdążyła zauważyć, że Stuart był cichym i samotnym chłopcem. W szkole miał tylko jednego kolegę, chudego Azjata, który nie mieszkał w Corbyn Copse.

- A jak inaczej chciałbyś mnie nazywać? – Uśmiechnęła się drwiąco.

Stuart uświadomił sobie, że powiedział coś niezbyt mądrego, i zaczerwienił się.

- Nie jestem jakimś prymitywem, wiesz? Pierwszy raz zrobiłem coś takiego. Naprawili ci to okno? Mam odłożone pieniądze, pewnie wystarczy, żeby zapłacić za naprawę.

- Na razie przybili deskę, ale to okno witrażowe, więc będą musieli dorobić mnóstwo tych małych kwadracików.



- No tak... - mruknął Stuart.  
- Nie przejmuj się - powiedziała Laura. - Nie powiedziałam mamie, że to ty, a koszty pokryje ubezpieczalnia.

- Fajnie.

Stuart spojrział na czarne plastikowe trepy Laury.

- Słuchaj, wtedy w autobusie... No bo mówiłaś, że możesz mi oddać buty, nie?

Laura skinęła głową.

- Mam je w pokoju. Myślałam, czy nie zostawić ich u ciebie przed drzwiami, ale nie chciałam wpaść na twojego brata i jego kumpli.

Stuart skrzywił się z niesmakiem.

- To jest normalnie taki palant, że... Chodzi i zgrywa dobrego braciszka, a tak naprawdę to ciągle mnie lał, kiedy mama była w pracy.

Laura ruszyła w stronę domu.

- To straszne, co się stało z twoją mamą. Ale Ryan i moja mama nie mają nic wspólnego z OWZ. Są przeciwni przemocy.

- Ale dałaś mi wtedy wycisk. Gdzie się nauczyłaś tak walczyć?

Laura użyła standardowego wytłumaczenia cherubina.

- Mój tata był instruktorem karate.

- Ekstra! Musisz mieć co najmniej czarny pas czy coś. Laura kiwnęła głową.

- Drugi dan, czarny pas. Moi bracia, James i Kyle, mają trzeci dan.

- Chciałbym umieć się bić - powiedział Stuart. - Nie żebym był jakimś słabiakiem czy coś, ale nigdy nie chodziłem na żadne kursy. Raz, jak Andy przycisnął mnie do ściany, złapałem taką wielką książkę i tak mu przywaliłem, że padł. Rzygał chyba z osiem razy.

- Musiało być zabawnie - zachichotała Laura, otwierając drewnianą furtkę ogrodu za domem.

Wejście do pokoju Laury mieściło się tuż za tylnymi drzwiami chaty. Choć mieszkała tam niecały tydzień, zdołała przemienić sypialnię w pobojuwisko pełne porozrzucanych ubrań, podręczników i puszek po napojach.

Stuart patrzył wzrokiem winowajcy na zabite deską okno. Tymczasem Laura wygrzebała jego buty spod kurtki i brudnych dżinsów.

- Stopy mi raczej nie śmierdzą, no i nosiłam je tylko przez jeden dzień.

- Dzięki - uśmiechnął się chłopiec. - Powiedziałem cioci, że zginęły, jak się przebierałem na WF. Wściekła się, bo wybuliła na nie kupę forsy, a nosiłem je tylko miesiąc.

- Ciocia? - zainteresowała się Laura.

Stuart skinął głową.

- Po napadzie wprowadziła się do nas, żeby pomóc mamie zająć się nami. Czuje się winna, bo to ona załatwiła mamie pracę w Malarek Research.

- Ta ciocia wciąż tam pracuje?

- Gdzie tam. Przestraszyła się i odeszła, jeszcze zanim OWZ zaczęła napadać na ludzi. Mama też nienawidziła tej pracy.

- Czemu nie poszukała innej ?

- Ojciec zwiózł z jakąś babą i zostawił dużą hipotekę do spłacenia. Malarek musi płacić dodatek za szkodliwe warunki. Zarabia się tam trzy razy więcej, niż pracując na farmie albo w supermarkecie, a że zawsze brakuje im ludzi, można brać tyle nadgodzin, ile się chce. Mama nie znosiła tej pracy z powodu tego, co oni tam robią ze zwierzętami. Kilka razy nawet słyszałem, jak płakała. Ona zajmowała się tylko karmieniem i myciem klatek. Zaproponowali jej szkolenie, żeby mogła robić zastrzyki, zakrapiać różne świństwa do oczu i tak dalej. Zarabiałaby więcej, ale już samo patrzenie, jak ludzie to robią, było dla niej nie do zniesienia.

- To smutne - powiedziała Laura, zerkając na zegarek. - Słuchaj, nie wyrzucam cię, ale mamy dziś jakieś spotkanie z Przymerzem Zebra na uniwerku, więc muszę się przebrać i w ogóle...

- Jasne - przerwał Stuart. - Dzięki za buty. Laura uśmiechnęła się.

- Nie mam tu żadnych kumpli, więc gdybyś któregoś dnia chciał wpaść na obiad albo po prostu coś porobić, to byłoby fajnie.

- Czemu nie? - powiedział Stuart. - Od czasu napadu mama jest totalnie przybita i nie jest miło siedzieć w domu, kiedy najdzie ją zły nastrój. Czasem włączę się po wsi bez celu i ogarniają mnie czarne myśli. Na przykład: „Może rozwalę to okno cegłą”.

Laura wybuchnęła śmiechem.

- Następnym razem po prostu zapukaj do drzwi, dobrze? Do zobaczenia rano na przystanku.

## 15. UNIWERSYTET

Głęboki irlandzki bas Ryana zdawał się bez trudu przenikać przez ściany i stropy. Jego niekończące się telefoniczne konferencje doprowadzały cały dom do obłądu, ale jeszcze gorzej było utknąć z nim w samochodzie.

Zara prowadziła, a Ryan buczał w swoją nokię rozparty na środkowym rzędzie siedzeń minivana.

- Susan...? Susan, to ja, Ryan. Cześć... Tak, właśnie jadę. Wiem, że mówiłaś, że rozważałaś różne możliwości, ale chciałbym zapytać, czy mogę liczyć na twój głos dziś wieczorem...? Tak, rozumiem to doskonale. Nie przeczę, że Madeline jest świetna w zdobywaniu funduszy, ale tak prawdę mówiąc, to cała kampania Przymierza legła w gruzach. Zero ukierunkowania. Patrę i widzę zaczątki jakichś akcji, świetne pomysły, fantastycznych ludzi, ale ani śladu strategii, jakiej potrzebujemy, żeby obalić olbrzyma. Musimy przykręcić śrubę wszystkim małym przedsiębiorcom, jacy służą Malarek Research, czy chodzi o sprzęt laboratoryjny wart pół miliona funtów, czy o kolesia, który przychodzi napełnić automaty do kawy.

Po kilku sekundach milczenia z telefonem przy uchu Ryan przemówił urażonym tonem skarconego dzieciaka.

- No cóż... Okej, Susan, chyba powiedziałem już wszystko, co mogłem. Przeszliśmy razem długą drogę i nie ukrywam, że jestem zawiedziony, słysząc to właśnie od ciebie.

Ryan wcisnął przycisk przerywający połączenie i przeniósł nieobecny wzrok za okno.

- Kolejna osoba, która będzie głosować za Madeline Laing - powiedział ponurym głosem.

- Może powinieneś poprzestać na miejscu w radzie Przymierza, dopóki nie staniesz na pewniejszym gruncie? - delikatnie zasugerowała Zara. - Przez trzy lata siedziałeś w więzieniu. Madeline wprowadziła mnóstwo swoich ludzi. Nie możesz oczekiwać, że oddadzą ci wszystko na złotej tacy.

Ryan cmoknął z irytacją.

- Gdyby nie ja, to całe Przymierze nawet by nie istniało - wymamrotał, wystukując kolejny numer na klawiaturze telefonu. - Halo, Sebastian? Jak zdrówko...? To świetnie, słuchaj, nie chcę zwracać ci głowy, ale w sumie fajnie by było wiedzieć, czy mogę liczyć na twój głos na dzisiejszym spotkaniu.

\*

Po półgodzinie jazdy dotarli do obskurnego kampusu uniwersyteckiego. Zaczynało już zmierzchać. Podczas gdy Zara przeciskała minivana przez zawiły system jednokierunkowych uliczek, James bezczelnie taksował wzrokiem przechodzące studentki. Minęli bloki akademików, a potem betonowe bunkry, w których odbywały się wykłady.

- Prawie zrobiłam tu dyplom - powiedziała Zara, zatrzymując samochód przed przejściem dla pieszych, by przepuścić dwie drużyny hokejowe. - To znaczy zrobiłabym, gdybym nie dostała stypendium na Yale.

- O ja cię sunę... - sapnął z zachwytem James, zacierając ręce. Jego wzrok podążał za śliczną drobną gotką w midi i z kolczykiem w wardze. - Nie mogę się doczekać, kiedy pójdę na uniwe-rek.

Laura przewróciła oczami. - Tylko nie zaśliń tapicerki, dobrze?

James nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili komórka Kyle'a zaryczała triumfalnie, obwieszczając, że właśnie otrzymał SMS-a.

- Tom? - zapytał James.

- Tak. Nareszcie - powiedział Kyle i parsknął śmiechem, nie odrywając wzroku od wyświetlacza. - Pisze, że czeka na nas przy barze na spotkaniu Zebry. Podobno Viv stanie przed radą za te petardy.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał James z urazą. - Powinni go wykopać. Ten pajac omal nie wysadził mnie w powietrze.

- Wiem - powiedział Kyle, wciąż chichocząc. - Nie z tego się śmieję.

- Pokaż.

James sięgnął po telefon, ale Kyle zdążył cofnąć rękę.

- Sprawy osobiste - powiedział wyniośle. - Precz z łapami.

James zrobił obrażoną minę.

- Lepiej, żeby to nie były żarty ze mnie.

- No no, posłuchajcie tylko. Co za ego! - zakpił Kyle, jednocześnie wystukując odpowiedź do Toma. - Świat nie kręci się wokół ciebie, wiesz?

Po kolejnych dwóch minutach zatrzymali się na parkingu na tyłach budynku klubowego. Wielka pięciopiętrowa budowla mieszcząca pięć restauracji, kilka barów, klub nocny i ponad tuzin sal konferencyjnych stanowiła ośrodek życia towarzyskiego uczelni.

Ryan wprowadził ich przez główne wejście do ponurego atrium, którego betonową nijakość ożywiały grupki studentów stojących w kręgach lub rozpartych na wyświechtanych skórzanych kanapach ustawionych pod wysokimi oknami. Na jednej ze ścian wisiała tablica ogłoszeniowa. Miała dwadzieścia metrów długości, ale każdy centymetr kwadratowy pokrywało kilka warstw kartek reklamujących wszystko: od używanych rowerów

po spotkania Stowarzyszenia Młodych Konserwatystów.

Pół minuty zajęło im wypatrzenie plakatu Przymierza Zebra zapraszającego na regularną śródową zbiórkę i kierującego gości do Sali Purcella na drugim piętrze. Na samym dole plakatu wypisany wielkimi literami napis głosił: „Wstęp 1 funt. Do godz. 21.00 wszystkie drinki 1 + 1 GRATIS!

- Jak udaje im się zbierać pieniądze, skoro rozdają drinki? - zdziwiła się Laura, wstępując na schody.

Ryan parsknął śmiechem.

- Ach, znów być tak młodym i niewinnym! Wlej parę drinków w gardło studenta, a sam przyjedzie po więcej.

Sala Purcella była na tyle duża, by pomieścić kilkaset osób. Laura pomachała kilku znajomym spod bramy Malarka, po czym ruszyli przez pusty parkiet taneczny, omijając grupę małych dzieci ślizgających się na wypolerowanych klepkach.

Cała akcja zdawała się rozgrywać w wyłożonym wykładziną kąciku barowym na drugim końcu sali. Było tam około czterdziestu osób, mieszanka studentów i członków Przymierza Zebra. Siedzieli przy sześciokątnych stolikach zastawionych pustymi szklankami, pod szarą zawieszoną papierosowego dymu.

Ryan wraz z Zarą i Laurą skierował się w stronę baru. Z szerokim uśmiechem na ustach ścisnął wyciągnięte ku sobie dłonie i poklepywał starych znajomych.

James i Kyle odłączyli się, kiedy zauważyli Toma i Viva - siedzących we wnęce pod oknem. Viv był w T-shircie z rysunkiem policjanta z obciętą głową, pod którym widniał napis: „Hip, hip, hura!”. Muskularnym ramieniem obejmował długonogą dziewczynę, która wyglądała, jakby zeszła z okładki pisma o modzie.

- Cześć, chłopaki - ucieszył się Viv. - Poznajcie moją dziewczynę Sophie.

Kyle sięgnął przez stolik, by uściskać jej dłoń, po czym usiadł obok Toma.

- A ten mały psychol to James - oznajmił z dumą Viv, zwracając się do Sophie. - Ten, o którym ci mówiłem.

James przysunął sobie krzesło obok dziewczyny. Sophie błysnęła zębami w olśniewającym uśmiechu i poczęstowała go nikotynowym całusem w policzek.

- Zabójca gliniarzy, tak? - zamruczała. - Viv jest cały w skowronkach, odkąd rzuciłeś tę petardę.

James powiedział Kyle'owi i Zarze, że nie rzucił w policjanta specjalnie, ale wersja Viva działała na jego korzyść, więc nie zamierzał jej dementować.

- Co tu robicie? - zapytała Sophie.

James wzruszył ramionami.

- Przyszliśmy dla towarzystwa. Kyle umówił się z Tomem, a Ryan chciał wziąć mamę, żeby ją przedstawić znajomym. Pomyślałem, że to lepsze od siedzenia w pustej chacie i oglądania EastEndersów.

- No i co, nieszczęsna kutwo? - powiedziała zaczepnie Sophie do Viva. - Zamierzasz postawić jakieś drinki czy nie?

- Jestem splukany - oznajmił Viv.

- Gównu prawda. - Sophie uśmiechnęła się słodko. - Twój ojciec ma pół Lincolnshire.

- Owszem, ale jeszcze nic z tego nie jest moje. Chyba żebym wybrał się tam i zastrzelił starego pierdziela.

Mówiąc to, Viv sięgnął do portfela, wyłuskał stamtąd dwudziestofuntowy banknot i pomachał nim przed nosem Sophie.

- I oczywiście to ja mam iść, tak? - westchnęła dziewczyna.

- Jesteś najbliższej - uśmiechnął się Viv.

Kyle i Tom prowadzili własną rozmowę i obaj ryknęli śmiechem rozbawieni czymś, czego James nie dosłyszał.

- Czym się trujesz, Kyle? - zapytała Sophie.



- Dla mnie Fosters - powiedział Kyle.

Sophie przeniosła wzrok na Jamesa.

- To samo - rzucił James.

Sophie przechyliła głowę i zmrużyła oczy, jakby mówiła: „Chyba żartujesz, słonko”.

- Cola czy sok pomarańczowy?

James poczuł, że rumieni się ze wstydu. Uśmiechnął się niewinnie.

- Niech będzie cola.

Odprawiając Sophie wzrokiem, starał się nie gapić zbyt beczelnie na jej obłądną figurę. Kyle spojrzął na Viva.

- No i co tam rada uchwaliła w twojej sprawie?

- Tchórzliwe gnojki - prychnął Viv. - Chcą mnie wykopać, ale ja mam to gdzieś. Idę na to spotkanie tylko po to, żeby im prosto w oczy powiedzieć, gdzie mogą sobie wepchnąć to swoje żałosne parszywe Przymierze.

- No ale co chcesz zrobić? - zapytał Kyle. - Rezygnujesz z walki o prawa zwierząt?

Viv uśmiechnął się krzywo.

- Człowieku, nie ma mowy! Mój stary ma pół miliona świń i widziałem, jak są traktowane. Przeszedłem na wegetarianizm, jak miałem trzynaście lat.

James był w szoku.

- Twój ojciec jest hodowcą świń?

- To znaczy nie wstaje o czwartej rano, żeby wyrzucić gnój, ale jego farma należy do największych producentów wieprzowiny w kraju. Ojciec ma już siedemdziesiąt lat, więc firmę prowadzi nasz przyrodni brat Clyde.

- Dokładnie - przytaknął Viv. - Dwadzieścia osiem lat, a rozbiła się po wsi range-roverem, w zielonych kaloszach, kaszkiecie i z laseczką jak pan na włościach.

- Nie rozmawia z nami, odkąd dwie Gwiazdki temu Viv wyjechał mu z bańki - dodał Tom.

James zakrztusił się śmiechem.

- Mówię szczerą prawdę - chichotał Tom. – Zafundował mu trwale spłaszczenie grzbietu nosa. Widziałem palanta dwa miesiące temu, kiedy odwiedzałem mamę, i wyglądał jak były bokser.

Viv rąbnął masywną pięścią w dłoń.

- Ja jak komuś dowalę, to tak, żeby nie zapomniał.

James nagle przestał się śmiać. Viv był przesympatycznym koleśkiem, ale nie wolno zapominać, że to wariat.

- No więc, co zamierzasz? - powtórzył Kyle.

Viv wzruszył ramionami.

- Są jeszcze inne grupy, i to takie, które działają, a nie tylko gadają.

- Niektóre są wyczepiste - dodał Tom. - Przymierze Zebra to banda mięczaków. Zależy im tylko na tym, żeby napisali o nich w gazetach. Boją się zrobić cokolwiek radykalnego, bo jeszcze umiarkowane gamonie się oburzą i przestaną im wpłacać kasę.

Viv skinął głową.

- Dla mnie to nie są już żadni wyzwoliciele zwierząt.

Kyle uznał, że sytuacja pozwala mu na zapuszczenie sondy odrobinę głębiej.

- Masz już coś na oku? Jakąś konkretną organizację?

- Jedną czy dwie... - Viv wzruszył ramionami.

Następne zdanie Kyle wypowiedział jako żart, ale był ciekaw reakcji rodzeństwa.

- Może wszyscy powinniśmy przestać się chrzanić i wstąpić do OWZ? Znacie kogoś od nich?

- To byłoby niezłe - zaśmiał się Viv, po czym podniósł głos tak, żeby usłyszeli go wszyscy w barze. - OWZ jest o niebo lepsze od tych płaczkliwych pipek z Przymierza.

Osiągnął zamierzony efekt. Goście siedzący przy sąsiednich stolikach odwrócili się, by zmierzyć go nieprzyjaznym wzrokiem.

Tymczasem wróciła Sophie z tacą drinków. Usiadła na swoim krześle i podsunęła Jamesowi dużą szklankę Fosterera.

- Pomyślałam, że dzielny mały zabójca gliniarzy jednak zasługuje na piwko. - Uśmiechnęła się słodko. - Ale wypij tutaj. Nie pętaj się z tym gdzieś, gdzie wszyscy mogą cię zobaczyć.

Nie mogąc powstrzymać uśmiechu satysfakcji, James upił dwa łyki, ale odstawił szklankę gwałtownie, kiedy do stołu podeszli Zara, Ryan i George.

George miał na sobie źle dopasowany brązowy garnitur, w którym wyglądał jeszcze bardziej drętwo niż przy ostatnim spotkaniu.

- Zabieram Ryana i Zarę na spotkanie rady - powiedział wyniośle jak zwykle, patrząc z góry na Viva. - Wybierasz się z nami czy mam im po prostu powiedzieć, że składasz rezygnację?

- Żartujesz? - uśmiechnął się Viv. - Czy kiedykolwiek przepuściłem okazję pomieszenia sobie swoim niewyparzonym ozorem? A przy okazji fajny gajerek, mój mały. Ile tosterów dziś sprzedałeś?

- Niektórzy muszą pracować na swoje utrzymanie - odparował George. - Nie wszyscy żyją z pieniędzy odziedziczonych po babciach.

James zrobił zdziwioną minę, widząc, że George prowadzi Ryana, Zarę i Viva do wyjścia.

- To spotkanie nie miało się odbyć tutaj? - zapytał. Tom potrząsnął głową.

- Coś ty? Rada zawsze spotyka się w jakimś sekretnym miejscu. Niektórzy członkowie raczej nie powinni pokazywać się publicznie i mają paranoję, że są szpiegowani przez policję. Zwykle spotykają się w czyimś pokoju w jednym z akademików.

Kiedy James dopił swoje piwo do połowy, Sophie trąciła go łokciem i wstała.

- Chodź, pójdziemy do nich. - Ruchem głowy wskazała stolik zajęty przez dwie dziewczyny.

James nie miał pojęcia, co się dzieje. Sophie wzięła obie szklanki z piwem i poprowadziła go do swoich koleżanek.

- O co chodzi? - zapytał James.

Sophie i dziewczęta wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Myślę, że Tomowi i twojemu bratu przyda się odrobina prywatności.

- Dlaczego?

Trzy dziewczętnastolatki roześmiały się głośno.

- Kyle jest gejem, prawda? - zapytała Sophie po chwili.

- No tak - przyznał James z wahaniem. - I co?

Trybiki zaskoczyły, kiedy obejrzał się przez ramię na Kyle'a i Toma: SMS-y, śmiechy z tajemniczych żartów i ten sposób, w jaki patrzyli na siebie, zamknięci we własnym świecie - nagle wszystko nabrało sensu.

## 16. PŁYTA

W miarę mijania wieczoru impreza nabierała kolorów. Studentów przybywało i kiedy zabrakło miejsc w barze, zaczęli podpierać ściany wokół parkietu tanecznego. Tuż obok wejścia ustawiono dwa składane stoliki, wokół których od razu zakłębił się zaciekawiony tłumek. Przy pierwszym rozdawano ulotki oraz sprzedawano książki obrońców zwierząt i plakaty „Powstrzymać Malarka”. Laura zgodziła się pomóc przy drugim stole, gdzie urządzono darmowy wegański bufet.

Zaskakująco wielu studentów wyglądało, jakby przydał im się solidny posiłek, i Laura hojną ręką rozdawała guacamole, dip fasolowy, chrupki kukurydziane, marynowane grzybki i sałatkę owocową. Co pewien czas do sali wtaczała się grupka rozbrykanych narwańców z innych barów lub imprez, by poszukać kłopotów albo tylko ponabijać się z roślinożerców. Pewien podpity rumiany chłopak w koszulce od Freda Perry'ego zapytał Laurę, czy przypadkiem nie ma kilku udek kurczaka schowanych pod ladą. Laura była gotowa zignorować żarcik, ale koleś nie poprzestał na nim i wyciągnął brudny paluch, by wetknąć go w dip fasolowy.

Laura złapała go za kciuk, który wykręciła boleśnie, w drugiej ręce uniosła widelec, po czym rozciągnęła usta w najśłodszym ze swoich uśmiechów małej dziewczynki.

- Odejdź - wycedziła przez zęby. - Chyba że chcesz się dowiedzieć, w który otwór zamierzam ci wsadzić ten widelec.

Upokorzony student czym prędzej umknął z Sali Purcella, a jego kumple nagrodzili Laurę wiwatami i serią chwiejnych ukłónów.

Jedzenie przygotowywała kobieta w średnim wieku, którą przedstawiono Laurze jako Anne Kent.

- Niezła z ciebie zołza - powiedziała z uśmiechem, kiedy pijacy, zataczając się, opuścili salę.

Anna zmierzwiła dziewczynie włosy gestem, który wydał się Laurze dziwnie znajomy. Tak samo robiła mama, kiedy była z niej dumna.

\*

James siedział z Sophie i jej dwiema koleżankami kompletnie oszołomiony. Zapytały go, czy ma dziewczynę, a on odpowiedział, że nie, co skłoniło babskie trio do rozpoczęcia rozmowy o swoich pierwszych chłopakach.

Ich opowieści o pierwszych pocałunkach i nakrywaniu w kompromitujących pozycjach przez wściekłych rodziców rozśmieszały go, a dziewczęta stawiały kolejne piwa, które - choć przeważnie małe - szybko wprawiły go w chichotliwy pijacki humorek. Jednak było mu trochę smutno. Każda z trójki pięknych inteligentnych dziewczyn była od niego starsza o pięć lat i bez względu na to, jak bardzo mu się podobały, zdawał sobie sprawę, że z ich punktu widzenia był tylko dzieciakiem.

- Co tak długo? - zapytała Sophie, kiedy czerwony na twarzy Viv wśliznął się na krzesło obok niej.

- Tam jest regularna bitwa o Midway - powiedział Viv. - Totalna awantura o to, kto będzie rządził Przymierzem.

W ciągu minionych dni James tyle nasłuchał się gadaniny Ryana, że teraz sam był ciekaw, co wyniknie z całej tej awantury.

- Głosowali już? - zapytał.  
- Pierwsze głosowanie urządzili od razu, jednogłośnie wybierając Ryana na członka rady, ale on stwierdził jasno, że chce odebrać władzę Madeline. Poza tym wkurzyli się, że wziął Zarę na tajne spotkanie.

- A co z tobą? - zapytał James. - Wywalili cię?

- Wyobraź sobie, powiedzieli, że jestem cennym działaczem i że chcą mnie tylko zawiesić na trzy miesiące. Oczywiście powiedziałem im, gdzie mogą sobie wsadzić ten pomysł. A kiedy wychodziłem, pokazałem palcem na małego Georgiego i jadę mu z tekstem: „Jak cię jeszcze raz zobaczę, to usiądę ci na głowie i nasram na ryj”. Szkoda, że nie widziałeś jego miny.

Nakręcony alkoholem James wybuchnął niepohamowanym rechem, wyobrażając sobie George'a w roli toalety.

- Tak, to było bardzo dojrzałe - skomentowała Sophie, uśmiechając się z przekąsem do koleżanek.

- To co robimy? - zapytał Viv. - Nie zniosę dłużej tej dusznej nory. Kto ma ochotę pojechać gdzieś i zawyć do księżycy? W fureksie mam wóde i jacka danielsa.

Sophie wzruszyła ramionami.

- W sumie czemu nie.

Viv spojrział na Kyle'a i Toma, którzy tulili się do siebie, trzymając za ręce.

- Hej, pedziuchy! - krzyknął Viv. - Jedziemy na wycieczkę, zabieracie się z nami?

Tom i Kyle skinęli głowami, a Viv przeniósł wzrok na Jamesa.

- A co z tobą, mały zabójco gliniarzy? Jedziesz z nami czy mamusia każe ci kłaść się wcześniej, żebyś nie spóźniał się do szkoły?

Jamesowi nie uśmiechało się imprezowanie solo wśród dwóch par, ale miał zadanie do wykonania i Zara oczekiwałaby od niego, że pojedzie.

- Każe mi wracać do domu przed jedenastą – powiedział z uśmiechem - ale nie ma jej tutaj, więc nie może mnie powstrzymać.

Odsunął się od stołu i wstał, prawie zderzając się z Kyle'em zmierzającym w kierunku toalet. James poczuł ukradkowe szturchnięcie, które bez wątplenia znaczyło: „Chodź ze mną”.

Toaleta była ohydna, wypełniona smrodem, od którego łzawiły oczy, z ciekącym pisuarem, który przemienił podłogę w jedną wielką kałużę.

- No dobra - powiedział Kyle, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nie idzie, i stając przy pisuarze obok Jamesa. - Pracowałem trochę nad Tomem i wycisnąłem tyle, że jego zdaniem Viv romansuje z jakąś inną grupą. Podobno macza w tym palce jakaś znajoma Sophie.

- Czy to OWZ? - zapytał James, celując strużką moczu w otwory pisuaru.

- Mówi, że to ekstremiści. Wątpię, żeby to była sama OWZ, ale według wszelkich raportów wywiadu aktywnych ekstremistów jest bardzo niewiele, dlatego istnieje duże prawdopodobieństwo, że grupy są ze sobą powiązane.

- Co robimy?

- Musimy trzymać się blisko Toma i Viva, zdobywać ich zaufanie i stopniowo oswajać z pomysłem, że my też chcemy dołączyć do ekstremistów.

- Mnie może nie być tak łatwo - zauważył James. - Ty i Tom już wpadliście sobie nawzajem w oko, ale między mną a Vivem jest spora różnica wieku. To prawda, z tą petardą miałem fart, ale nie spodziewajmy się, że kiedy sprawa przyschnie, Viv nadal będzie chciał pokazywać się z czternastolatkiem.

Kyle skinął głową, zapiął rozporek i odwrócił się do Jamesa.



- Wiesz, co Vivowi się w tobie podoba. Będziesz musiał rozegrać tę kartę na maksa i zostać jeszcze większym świrem niż on.

\*

Było już po jedenastej, kiedy Zara wjechała na podjazd domu w Corbyn Copse. Laura zasnęła na tylnym siedzeniu, ale obudziła się, kiedy Ryan próbował zanieść ją do środka.

- Lepiej wezmę prysznic, zanim się położę - ziewnęła. - Śmierdę jak brudna popielniczka.

Laura powlokła się sennie do łazienki, a Ryan opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- To była zwyczajna zdrada - powiedział zmęczonym głosem.  
- Trzy lata w pudle. Pięć głosów na dwadzieścia cztery. Mogą sobie wsadzić to swoje miejsce w radzie. Zakładam własną grupę.

- O nie, dopóki trwa operacja, nic z tego - powiedziała twardo Zara.

Ryan uniósł głowę wyraźnie zaskoczony.

- Że co?

- Potrzebujemy cię wewnątrz Przymierza.

- Nie taki był układ - wycodził ze złością Ryan. - Chciałem usunąć OWZ z Przymierza Zebra, ale skoro nawet nie jestem w Przymierzu, to nie ma sensu tego ciągnąć.

- Nie ma sensu dla ciebie - zaznaczyła Zara. - Nasze zadanie to dotrzeć do OWZ, a ty masz siedzieć w radzie i dostarczać nam informacje.

- Jak mógłbym tam wrócić? - jęknął Ryan. - Po takim upokorzeniu?

- Schowaj dumę w buty i rób swoje.

- Albo co? - zasyczał Ryan.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości - zirytowała się Zara. - Jestem śmiertelnie zmęczona i słucham twojego gadania od wpół do siódmej rano. Warunki wcześniejszego zwolnienia cię z więzienia

stanowią, że nie wolno ci opuszczać hrabstwa Avon. Jeśli ze mną zadrzesz, obudzisz się w londyńskiej policyjnej celi i odsiedzisz pozostałe trzy lata wyroku.

- Teraz pokazujemy pazurki, tak?! - wrzasnął Ryan. - Brytyjski rząd i jego oddziały specjalne nieletnich faszystów.

- Ryan, OWZ działa i zabija ludzi! - odkrzyknęła Zara.

- Zainwestowałam w tę operację sześć miesięcy pracy. Mam trzech agentów w terenie, wydaliśmy dwieście pięćdziesiąt tysięcy na dom i samochód i omija mnie ważny etap życia moich dzieci. Kiedy dostanę solidne dane na temat OWZ, założysz sobie własną grupę, nie przejmując się nikim oprócz kuratora, ale na razie będziesz trzymał się umowy.

Ryan niespokojnie poruszył się w fotelu. Był na przegranej pozycji i dobrze o tym wiedział.

- Porozmawiam jutro z Madeline - mruknął niechętnie.

- Przepraszę ją i wyrażę nadzieję na owocną współpracę.

Zarze nie sprawiało przyjemności pomiatanie ludźmi, ale wyzwalając się spod kontroli, Ryan naraziłby dzieci na niebezpieczeństwo, dlatego musiała mieć pewność, że jej udawany mąż wie, kto tu rządzi.

- Idę podgrzać kakao w mikrofali. Chcesz kubek? - zapytała pojednawczo.

- Z mleka sojowego?

- Tylko takie mamy.

- Przepraszam cię - mruknął Ryan, trąc oczy pięściami.

- Po prostu spodziewałem się, że powitają mnie jak bohatera. Ludzie zapominają nas szybciej, niż przypuszczałem.

\*

Viv jeździł starym mercedesem beczką. Tym razem był zbyt pijany, by prowadzić, toteż za kierownicą usiadła Sophie.

Dziewczyna zahamowała ostro u wylotu pasażu oddzielającego blaszane ściany dwóch supermarketów. - Tutaj? - zapytała, wpatrując się w ciemność.

- Może być - odpowiedział Viv, z rozmachem otwierając przednie drzwi.

Podczas gdy gramolił się na zewnątrz, James wysiadł z miejsca z tyłu.

- Nie gaś silnika - powiedział Viv, nachylając się do okna mercedesa i patrząc na Sophie. - I dajcie no tego łyskacza.

Tom sięgnął z tylnej kanapy, by podać bratu butelkę jacka danielsa. Viv pociągnął solidny łyk.

- Masz kropelkę dla kurażu - powiedział, ocierając usta i podsuwając butelkę Jamesowi.

James ostrożnie wlał sobie na język odrobinę płynu. Chłodna strużka spłynęła mu do gardła, które nagle zapłonęło żywym ogniem. Zaniósł się opętańczym kaszlem.

- Dżizas... - zaskrzeczał, zginając się w pół i łapiąc za krtań.

Podczas gdy trójka w samochodzie chichotała nad jego cierpieniem, Viv otworzył bagażnik. James zerknął do środka i uderzyła go beztroska tego zacieklego bojownika o prawa zwierząt. W bagażniku były spraye z farbą, narzędzia, nożyce do metalu, kominiarki, rękawice, ulotki Przymierza Zebra i kamera wideo. Gdyby policjanci zatrzymali samochód Viva do rutynowej kontroli, mieliby Dzień Zwycięstwa.

- No dobra - rzucił Viv, łapiąc spray i tekturowy szablon, po czym wskazał na ukruszoną płytę chodnikową. - Dasz radę to nieść, James?

James sięgnął do bagażnika i złapał beton obiema rękami.

- Spoko - stęknął, czując, jak jego mięśnie się napinają.

Viv ruszył w głąb pasażu, ale po kilku krokach runął w stos czarnych worków ze śmieciami, które mrok uczynił niewidzialnymi.

James ryknął śmiechem mimo ciężaru boleśnie rozciągającego mu ramiona.

- Oż wy! - wrzasnął Viv, kopiąc wściekle worki i posyłając jeden z nich na kilka metrów w górę.

Worek grzmotnął o ziemię z metalicznym grzechotem pustych puszek. Viv i James poszli do końca alejki, by skręciwszy za róg, znaleźć się przy wejściu do supermarketu. Rozsuwane szklane drzwi były zamknięte, ale w środku paliły się światła. Alejki między regałami blokowały gigantyczne metalowe wózki i pracownicy o kwaśnych minach zapewnijący półki towarem.

- No dobra - powiedział Viv. - Gotowy?

James przytaknął skinieniem głowy, jednocześnie uwalniając piekące alkoholowe beknięcia, które właśnie w tej chwili podpełzło mu do gardła.

Szablon miał mniej więcej pół metra szerokości. Viv upewnił się, że żaden z pracowników sklepu nie patrzy w jego stronę, po czym przycisnął tekturę do szklanych drzwi głównego wejścia i zaczął metodycznie spryskiwać ją farbą. Była to znacznie szybsza technika od malowania graffiti. Po kilku chwilach Viv odsunął szablon od drzwi, pozostawiając na szkle nieskazitelny napis: „Mięso to morderstwo”.

- No i piknie - pochwalił sam siebie Viv, przyglądając się swemu dziełu. - Twoja kolej, zabójco gliniarzy.

James wziął trzy kroki rozpędu i z wysiłkiem cisnął płytę w szybę obok drzwi. Wielka tafla rozprysnęła się na milion zielonkawych bryłek, a betonowy pocisk grzmotnął na posadzkę, przy okazji przewracając reklamowy stojak z wnioskami kredytowymi.

Viv pognął w stronę samochodu, nie czekając na rezultat rzutu. James zdążył tylko przelotnie zerknąć na zdumione miny pracowników sklepu, zanim pobiegł za współnikiem.

Sophie wcisnęła pedał gazu, kiedy tylko wskoczył na tylną kanapę, wciskając się obok Toma i Kyle'a. Nim zdążył zatrzaskać drzwi, samochód był już na drugim biegu.

- Iiii-haa! - wrzasnął Viv, wychylając się przez okno, by pożegnać supermarket zamaszystym salutem.

Antyczny mercedes przemknął z rykiem przez opustoszały parking, zapiszczał oponami na skręcie w główną drogę i zniknął w ciemnościach.

## 17. ŚNIADANIE

Laura wyszczerzyła się do brata nad blatem kuchennego stołu.

- Coś marnie wyglądasz.
- I tak też się czuję - burknął James, apatycznie dłubiąc łyżką w talerzu płatków owsianych na mleku sojowym.
- O której wrócisz do domu?
- Gdzieś za piętnaście trzecia.
- Ile wypitesz?
- To były głównie połówki, w sumie może trzy czy cztery normalne piwa. Ale w samochodzie poprawialiśmy łyskaczem.

Do kuchni wszedł osowiały Kyle z rozczochranymi włosami i w samych bokserkach. Na uchu miał zaschniętą krew.

- Tego sobie nie przypominam - zmarszczył brwi James.
- Ani ja - powiedział Kyle. - Całą poduszkę mam we krwi. Musiałem zaczepić o coś kolczykiem, ale byłem za bardzo skuty, żeby coś zauważyć.
- Co za noc. - James uśmiechnął się z wysiłkiem, gdy już stłumił odruch wymiotny po przełknięciu łyżki płatków.
- Widziałam, jak w barze przystawiałeś się do Toma - powiedziała Laura. - To tylko w ramach misji czy naprawdę ci się podoba?
- Kyle uśmiechnął się.

- A jak myślisz?

- Niezłe z niego ciacho. - Laura zachichotała. - Wszyscy mówią, że najwyższy czas, żebyś znalazł sobie chłopaka.

- Kto to są wszyscy? - zainteresował się Kyle, sypiąc do kubka potężną porcję rozpuszczalnej kawy w nadziei, że kofeina zapewni jego mózgowi poranny rozruch, jakiego rozpaczliwie potrzebował.

Laura nie zamierzała wymieniać nazwisk.

- No... wszyscy, Kyle. Takie tam cherubinowe plotki.

- Proszę, proszę - powiedziała pogodnie Zara, wchodząc do kuchni. - Muszę powiedzieć, że niepiękny to widok. Chłopcy, radzę wam się ubrać, i to migiem, jeżeli chcecie zdążyć na autobus.

Zara była w butach na wysokich obcasach i w eleganckim brązowym kostiumie. James jeszcze nigdy nie widział jej w tak szykownym wydaniu.

- Ładnie wyglądasz - zauważyła Laura, po czym rozdziawiła usta w długim łzawym ziewnięciu.

- No - przytaknął James. - Czemu się tak odstawiaś jak żaba na zastrzyk?

Laura kopnęła go pod stołem. „Nie bądź chamem” - powiedziała, bezdźwięcznie poruszając ustami.

- Jadę do kampusu na spotkanie zarządu - wyjaśniła Zara, poprawiając włosy przed swoim odbiciem w oknie.

- Gdzie Ryan? - zapytał Kyle.

- Bzdyczy się w łóżku. Wczoraj musiałam nim trochę potrząsnąć. Groził, że odejdzie z Przymierza. Chcę, żebyście przez następne dwa dni byli dla niego supermili, dobrze? Musi się pozbierać.

- Szkoda mi go - westchnęła Laura. - Wyszedł z więzienia, a przyjaciele wbili mu nóż w plecy.

- Pogadaliście sobie od serca, co? - uśmiechnęła się Zara.

- On nie jest złym człowiekiem - ciągnęła Laura. - Świat jest pełen ludzi, którzy potrafią tylko gadać. Ryan może i jest trochę

dziwny, ale poświęcił całe życie na robienie tego, co uważa za słuszne. Ma swoje przekonania i nie boi się o nie walczyć, to musicie mu przyznać.

- Tak, szkoda tylko, że ma głowę pełną tego wegańskiego gnoju - zadrwił James.

- Sam jesteś gnój, James - odparła Laura z irytacją. - Może gdybyś przeczytał zalecane materiały przygotowawcze, tak jak miałeś to zrobić przed misją, zamiast grać na Playstation i uganiać się za wszystkim, co chodzi w spódnicy, może zrozumiałbyś, jak okrutni są ludzie dla zwierząt.

- Rozumiem podstawy. - Wyszczrzył się James. - Zwierzęta są głupie i świetnie smakują.

- Och, dorodnij wreszcie, James! - krzyknęła Laura, zrywając się z krzesła. - Każdego dnia na farmach hodowlanych i w laboratoriach miliony zwierząt cierpią niewyobrażalne męki, a debile tacy jak ty mają to gdzieś.

- Dobrze już, dobrze, uspokójcie się - przerwała jej Zara. - James, Kyle, macie mniej niż dziesięć minut na wyszykowanie się do szkoły.

- Tak się właśnie zastanawiałem - powiedział Kyle, mrużąc oczy - czy James i ja nie moglibyśmy dziś zostać w domu. Spalimy tylko cztery godziny.

- Ja też jestem bardzo zmęczona - dodała Laura, ziewając rozdzierająco.

- Ona może iść do szkoły! - krzyknął James. - Nie ma kaca, a w kampusie zawsze spędza pół nocy na gadaniu z Bethany.

- Wypchaj się, James.

Zara zerknęła niespokojnie na zegarek.

- Mam ważne spotkanie - powtórzyła. - Nie mam zamiaru martwić się przez cały dzień, czy się tu nawzajem nie pozabijaliście. Idźcie do szkoły, jasne?

- Hej! - zawołał Kyle urażonym głosem. - To James i Laura się kłóca, nie ja.



- Cała trójka - powiedziała Zara. - Już jestem spóźniona. Wrócić wieczorem, a jeśli dowiem się, że nie dotarliście do szkoły, macie przechłapanie.

Zara pogalopowała do samochodu, ale po chwili znów wparowała do kuchni, by zgarnąć ze stołu torebkę.

- Oboje jesteście kretynami - powiedział Kyle, wychodząc z kuchni, żeby się ubrać. - Wykręcilibyśmy się od szkoły, gdybyście tylko potrafili na pięć minut przestać drzeć koty.

\*

Poranne lekcje Jamesa były koszmarem. Kiedy mdłości i pękająca z bólu głowa sprawiają, że pragnie się tylko ciszy i spokoju, podwójna lekcja plastyki w dziewiątej klasie nie jest czasem, jaki się pragnie przeżywać. Uczniowie przekrzykiwali się przez całą salę, nauczyciel wrzeszczał na uczniów za zniszczenie modeli do malowania martwej natury, a w tle toczyła się gra w „Rzuć kółeczko w głowę gumką do ścierania najmocniej, jak potrafisz”. Na angliku przed przerwą obiadową było nieco spokojniej, ale James zmartwił, kiedy zerknąwszy na plan, odkrył, że całe popołudnie zajmuje WF.

Problem polegał na tym, że zapomniał stroju, co oznaczało, że albo będzie musiał ćwiczyć w niehygienicznych szmatach pobranych z kantorka nauczyciela, albo spróbuje się wykręcić, symulując chorobę. James nie znał jeszcze dobrze nauczycieli z tej szkoły, ale doświadczenie podpowiadało mu, że jedynym sposobem nakłonienia trenera WF-u do zwolnienia ucznia z lekcji była notatka od rodziców albo jakiś oczywisty problem w rodzaju brakującej kończyny lub toporka wbitego w tył głowy.

James uznał, że najlepszym wyjściem będzie zerwanie się ze szkoły. Tuż po dzwonku na przerwę obiadową wyszedł przez główną bramę wraz z tłumem uczniów zmierzających w stronę niewielkiego pawilonu handlowego i po prostu poszedł dalej.

Nie znał tej okolicy zbyt dobrze, ale szkolny autobus przejeżdżał przez miasteczko całkiem przyzwoicie wyglądającą aleją handlową oddaloną od szkoły o jakieś dwa kilometry. James postanowił udać się właśnie tam.

Szedł wąską szosą bez chodnika. Ruch samochodowy był niewielki, ale szybki, co zmuszało do czujności, zwłaszcza w pobliżu zakrętów. Słońce stało już wysoko, a połączenie wiejskiego powietrza i żwawego marszu oczyściło Jamesowi głowę. Na śniadanie zjadł tylko kilka łyżek płatków i gdy wreszcie dotarł do sklepów, był już porządnie głodny.

Najpierw odruchowo zaczął rozglądać się za miejscem, w którym mógłby kupić coś wegańskiego, ale kiedy minął biuro podróży, a potem piekarnię z piernikowymi ludkami i ogromnymi kremówkami na wystawie, uświadomił sobie, że jest sam i może jeść, co tylko mu się podoba.

Wsunął dłoń do kieszeni i westchnął z ulgą, namacawszy piątaka i dwa funty w bilonie. Co lepsze, po drugiej stronie drogi wypatrzył obiecująco wyglądający bar. Była to klasyczna hamburgerownia w nieco archaicznym stylu z zafoliowanymi jadłospisami na stolikach z formiki i dystrybutorami keczupu w kształcie wielkiego pomidora.

W barze panował spory ruch, ale nie tłok i kelnerka powiedziała Jamesowi, żeby usiadł, gdzie chce. Dziesięć minut później postawiła przed nim colę i owalny talerz z frytkami i wielgachnym podwójnym cheeseburgerem z pieczarkami i tartą cebulą. Odwodniony po nocnym pijaństwie James, opróżnił połowę coli, zanim wreszcie ujął oburącz burgera, by odgryźć z niego potężny kęs.

Z całą pewnością była to najsmaczniejsza rzecz, jaką jadł od wielu dni. Zachwycał go gorący tłuszcz sączący się z mięsa i ostra chrupiąca cebulka, ale kiedy przymierzył się do drugiego gryzą, spojrzał na dwa plastry mielonej wołowiny i zaczął myśleć.

Przed misją czytał, że hamburgery robi się z twardego łykowego mięsa krów mlecznych, które były już zbyt stare, by dawać mleko - maszyn mleczarskich, jak nazywała je jedna z książek, przez większość życia trzymany w ciasnych metalowych boksach, pompowanych hormonami i antybiotykami, nieustannie zapładnianymi, by ich wymiona zawsze były pełne.

Spojrząwszy na topniejący ser, James przypomniał sobie ilustrację przedstawiającą zainfekowane wymię oraz tekst o ropie pełnej bakterii przedostającej się do mleka.

-Jak ci smakuje, młodzieńcze? - zapytała z uśmiechem kelnerka.

- Mmm, dobre. - James skinął głową i ugryzł drugi kęs.

Smakowało mu tak samo jak każdy cheeseburger, jakiego jadł do tej pory, ale lektura materiałów przygotowawczych i zasłyszane rozmowy obrońców zwierząt utrudniały oddzielenie wizji okrucieństw od jedzenia, które wkładał sobie do ust.

James nie miał zamiaru przechodzić na wegetarianizm, ale kiedy tak wgryzał się w swój lunch, narastało w nim niepokojące przeczucie, że od tej pory sumienie będzie go nękać za każdym razem, kiedy spróbuje zjeść kawałek mięsa.

## 18. KOLACJA

Wracając do domu, James wolał nie ryzykować wpadki przy próbie zakradnięcia się do szkolnego autobusu, co pozostawiało go na łasce autobusu lokalnej linii, kursującego co godzinę i dojeżdżającego tylko do wioski oddalonej o cztery kilometry od Corbyn Copse. Dalej poszedł pieszo, ale po dwóch kilometrach zabrał się z jednym z demonstrantów, który właśnie jechał na miejsce protestu.

Mimo to była już prawie szósta, kiedy nareszcie dotarł do domu. Spodziewał się awantury, ale Zara jeszcze nie wróciła z kampusu. Zamiast niej zastał Ryana i Laurę krzątających się w kuchni przy wieczornym posiłku. Ryan snuł opowieści z czasów działalności Zebry 84, a Laura słuchała ich zachłannie, krojąc cebulę i rzucając ją na skwierczący olej.

- Chyba sześć razy dzwoniłam na twoją komórkę - powiedziała Laura, patrząc na brata. - Panna Hunter przyszła do mojej klasy, żeby spytać, czy wiem, dlaczego nie poszedłeś na WF.

Powód był oczywisty, więc James nawet nie próbował ściemniać.

- Łeb mi pękał, więc się urwałem.

- Zara chyba cię ucałuje. Szkoła wysłała list do rodziców, a jutro masz się zgłosić u opiekuna swojego rocznika.

- Cudnie - westchnął James ze znużeniem i opadł na krzesło przy stole. - Zauważ, że przy odrobinie szczęścia zawieszają mnie na kilka dni w prawach ucznia.

- A co z twoją komórką? - zapytała Laura.  
- Byłem zagoniony, kiedy szykowałem się do szkoły. Myślę, że wciąż jest na górze, w kieszeni dżinsów, które miałem wczoraj na sobie.

- My też mamy sprawę do Zary, ale nie możemy się dozwonić - powiedziała Laura.

- Co się dzieje?

Do rozmowy włączył się Ryan.

- Zadzwoiła do mnie jedna z moich zwolenniczek w Przymierzu. Anna i ja działamy razem od bardzo dawna. Poznaliśmy się jeszcze przed Zebłą 84.

- To właśnie jej pomagałam wczoraj przy bufecie - dodała Laura.

James skinął głową.

- Pamiętam, sympatyczna babka.

- Anna zadzwoniła do mnie dziś rano - ciągnął Ryan. - Większość eksperymentów w laboratorium Malarek Research wykonuje się na myszach, szczurach i królikach, ale zakład wykorzystuje też psy. Zużywają około dwustu na miesiąc i Przymierze od lat starało się wyśledzić, gdzie są hodowane. Anna właśnie dostała cynk o hodowli w Trowbridge. To jakieś trzydzieści mil stąd.

- To pewna informacja? - zapytał James. Ryan skinął głową.

- Wysłała tam ludzi, żeby trochę powęszyli, i wszystko się zgadza. Mają klatki i baraki, gdzie hodują psy na sprzedaż, ale jest tam też psiarnia, gdzie w izolatkach trzyma się szczeniaki przeznaczone do eksperymentów.

- Dlaczego w izolatkach? - zdziwił się James.

- Naukowcy nie chcą, żeby pieski wałęsały się po trawie, zbierając bakterie i pasożyty, które mogłyby zepsuć im doświadczenia. Dlatego szczenięta oddziela się od matek natychmiast po urodzeniu i trzyma w oddzielnych klatkach.

- Anna poprowadzi akcję. Spróbują uratować tyle psów, ile się tylko da, i to jeszcze dzisiaj - wyjaśniła Laura, zsypując na patelnię posiekaną cukinię.

- Zmniejsz gaz, bo się spali - powiedział Ryan i zwrócił się do Jamesa: - Chodzi o to, że jestem zaproszony, ale potrzebuję pozwolenia Zary.

- Dlaczego? - zapytał James.

W głosie Ryana nagle pojawiła się nuta rozdrażnienia.

- Wczoraj wieczorem mieliśmy z Zarą nieprzyjemną rozmowę. Dała mi do zrozumienia, że jeśli zrobię cokolwiek na własną rękę, wyląduję z powrotem w kiciu.

- Kiedy ostatnio dzwoniliście do Zary?

- Tuż przed twoim przyjściem - odpowiedziała Laura. - Nagrałam jej z milion wiadomości.

- Próbowalaś rozmawiać z kimś z centrali w centrum planowania?

Laura westchnęła.

- Tak. Powiedzieli, że Zarze nie wolno przeszkadzać, chyba że dojdzie do jakiejś awaryjnej sytuacji. Zapytałam, czy jest tam ktokolwiek oprócz Zary, kto wie o naszej misji. Koles popytał tu i tam, ale nikogo nie znalazł.

- To znaczy, jesteście zdani wyłącznie na siebie - powiedział James. - A co na to Kyle?

- Nie ma go. Zaraz po szkole Tom pojechał po niego swoim MG i pojechali do miasta na curry.

- Świetnie - jęknął James, uświadamiając sobie, że nie może dzwonić do Kyle'a w sprawie misji, skoro towarzyszy mu Tom. - To oznacza, że decyzja należy do nas, a moim zdaniem, Ryan, powinienes angażować się w akcje Przymierza tak gorliwie, jak tylko potrafisz.

- Też tak myślę - zgodziła się z bratem Laura, wyjmując z szafki trzy talerze.

Ryan otworzył piekarnik i wyjął brytfannę z klopsem orzechowym.

- Ale ktoś z nas powinien pójść z tobą - zauważył James.

- Możesz tam spotkać kilka interesujących osób.

Ryan i Laura spojrzeli na Jamesa zaskoczeni tą sugestią.

- Nie mogę tak po prostu zjawić się tam z jakimś dzieciakiem - powiedział Quinn.

- No tak, racja - mruknął James zawstydzony swoją głupotą. - Tylko głośno myślę.

- Wiecie, ale to może mieć sens - wtrąciła nagle Laura.

- Anna jest bardzo miłą osobą i ma cztery córki. Może mógłbyś powiedzieć, że Zary nie ma w domu, a ja jestem za małą, żeby zostawiać mnie bez opieki. Że lepiej, żebym spała w samochodzie czy coś.

Ryan milczał, w zamyśleniu dzieląc klops między trzy talerze.

- Albo... - wypalił po chwili, kiwając palcem w ekscytacji. - Lubisz psy, Laura?

Laura uśmiechnęła się radośnie.

- Uwielbiam! Zawsze chciałam mieć psa, kiedy byłam mała, ale na naszym osiedlu nie wolno było trzymać żadnych zwierząt. Nie żeby powstrzymywało to miejscowych dresiarzy od trzymania rottweilerów i pitbulli.

- Rozumiem - uśmiechnął się Ryan. - Zatem Laura może pojechać ze mną, żeby nam pomóc. Czy oboje jesteście pewni, że Zara nie miałaby nic przeciwko temu?

- Biorę to na siebie - powiedział James. - To jakaś paranoja, że Zara tak sobie znika w środku misji. W co ona pogrywa?

- Nie krytykuj jej, jeśli nie znasz powodów - powiedziała Laura karcąco. - Z tego, co wiemy, zrobiła się jakaś chryja w innej operacji.

Ryan wyjął komórkę i wybrał numer.

- Anna? Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że będę dziś wieczorem, jeżeli nadal mnie chcesz. Zła, że Zara gdzieś poszła i mam problem z opieką nad dziećmi. Co byś powiedziała,

gdybym przywiózł wam Laurę do pomocy w stajni?

\*

Zara miała tylko jeden samochód, więc Ryan wezwał taksówkę, która po pokonaniu około piętnastu kilometrów wysadziła ich przed piętrowym parkingiem w centrum Bristolu.

Weszli do cuchnącej moczem klatki schodowej i po betonowych schodach wspięli się na piąte piętro. Po krótkim marszu wzdłuż korytarza Ryan zapukał do drzwi z napisem „Magazynek”.

Otworzył im człowiek z szopą dredów na głowie, którego Ryan nazywał Lou. Weszli do skąpo oświetlonego pomieszczenia z rzędem mopów w blaszanych wiadrach i półkami zastawionymi chemią gospodarczą.

- Znasz zasady - powiedział Lou. - Każdego sprawdzamy na pluskwy.

- To ja wymyśliłem te zasady - wyszczerzył się Ryan, unosząc ręce i pozwalając się oklepać. Następnie zdjął koszulkę, buty, a potem zsunął spodnie do kostek.

Kiedy Lou skończył oglądać trampki Ryana, spojrzał niepewnie na Laurę.

- Muszę zrobić to samo z naszą małą damą - powiedział wyraźnie zakłopotany wizją rozbierającej się przed nim jedenastoletki.

- Nie ma sprawy. - Laura uśmiechnęła się i sprawnym ruchem ściągnęła koszulkę przez głowę.

Ryan kazał jej zostawić komórkę w domu, a w kieszeniach miała tylko klucze i kilka monet.

Kiedy formalnościom stało się zadość, Lou i Ryan padli sobie w objęcia.

- Kopę lat, stary - śmiał się Lou. - Sorki, że nie odwiedzałem cię w mamrze, ale wiesz, jak jest. Nie mogę się wychylać.



- Nie przejmuj się - powiedział Ryan. - Doceniam starania ludzi, ale szczerze mówiąc, odwiedziny tylko mnie przygnębiały.

Lou zaintrygował Laurę. Wkładając buty, myślała o tym, że wśród policyjnych fotografii przedstawiających wszystkich bliższych współpracowników Ryana nie było jego zdjęcia, choć ten ciemnoskóry mężczyzna był tak charakterystyczny, że z pewnością by go zapamiętała.

We troje wrócili na parking, gdzie odszukali wysłużonego vauxhalla astrę. Ryan usiadł z przodu obok Lou, a Laura wśliznęła się na tylne siedzenie.

- Samochody to teraz spory problem - wyjaśnił Lou, wycofując auto z miejsca parkingowego. - Wszędzie są fotoradary, które bez problemu odczytują numer rejestracyjny. Nigdy nie pokazujemy się we własnych autach w pobliżu miejsca nalotu. Zamiast tego kupuję tanie niewyróżniające się egzemplarze popularnych marek i zakładam im fałszywe tablice.

Ryan skinął głową ze zrozumieniem.

- To musi kosztować.

- A żebyś wiedział. Wiem, że nie jesteś fanem Madeline Laining, ale dzięki niej przynajmniej nie brakuje nam kasy. A im lepszą techniką dysponuje policja, tym droższe stają się nasze operacje.

- Powoli przemieniamy się w państwo policyjne - powiedział Ryan.

- Zgadza się. - Lou skinął głową, a samochód wyskoczył przez bramę prosto w blask dnia.

- Jak się trzymacie, ty i Anna? - zapytał Ryan po dłuższej chwili.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Lou. - Działamy we dwoje plus paru przyjaciół ze starych dobrych czasów. Należymy do Przymierza, ale trzymamy się z dala od wszystkiego, co dzieje się w promieniu pięciu kilosów od Malarek Research, i ograniczamy

do operacji specjalnych. Jedynymi ludźmi, którzy działają z nami regularnie, a których możesz nie znać, są dwie najstarsze córki Anny.

- Tak się składa, że jestem ich ojcem chrzestnym - powiedział z uśmiechem Ryan. - Gdybym miał za co, kupiłbym im prezent na osiemnastkę.

- Słyszałem, że masz niczego sobie chatkę w Corbyn Copse.

- To za pieniądze Zary. Jej mąż był szycią w przemyśle naftowym i wywalczyła sobie korzystną ugodę rozwodową.

- Zabawne - uśmiechnął się Lou. - W życiu nie przypuszczałem, że skończysz w domu z dziećmi i w ogóle.

- Ja też nie - mruknął Ryan.

Laura zerknęła przelotnie na odbicie jego oczu w lusterku i nagle zrozumiała, jak ciężko mu kłamać przed przyjacielem.

## 19. DZIEWCZYNY

Zaczynało się ściemniać, kiedy astra zatrzymała się w zatoczce parkingowej w pobliżu skrzyżowania dwóch głównych dróg. Laura wysiadła z samochodu, a Lou nachylił się do okna po stronie pasażera, by pokazać jej drogę.

- Podrzuciłbym cię na miejsce, ale nie możemy się spóźnić. Musisz iść cały czas prosto i za jakiś kilometr zobaczysz dom: czerwona cegła, plastikowe okna, na podwórku stajnia. Oni tam wiedzą, że się zjawisz. Droga jest bezpieczna, cały czas masz trawiaste pobocze.

- O której wrócić?

- Trudno powiedzieć. - Lou wzruszył ramionami. - Zależy, jak nam pójdzie, ale gdzieś między dwunastą a trzecią rano.

- Albo wcale, jeżeli nas złapią - dodał Ryan.

- Jasne - powiedziała Laura i nachyliła się do okna samochodu, by cmoknąć Ryana w policzek. - Powodzenia, chłopaki. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

- Dziękuję - odrzekł Ryan z uśmiechem, zdumiony tym najwyraźniej autentycznym przyływem ciepłych uczuć.

Samochód odjechał, a Laura rozpoczęła niespieszną wędrówkę w stronę domu z czerwonej cegły. Idąc, uświadomiła sobie, że naprawdę chce, żeby Ryanowi, Lou i Annie udało się uratować psy. Żałowała, że nie może iść z nimi, jej doświadczenie mogło się bardzo przydać.

- Laura, prawda? - zapytała młoda kobieta w dżinsach i kaloszach, kiedy kilkanaście minut później Laura przeszła przez bramę wjazdową.

Kobieta poruszała się niezdarnie, ponieważ w każdej ręce trzymała wielki kanister ze środkiem odkażającym.

- Ty musisz być córką Anny - uśmiechnęła się Laura. - Wyglądasz tak samo jak ona.

Dwudziestolatka skinęła głową.

- Jestem Miranda. Moja siostra Adelajda jest w domu, kładzie małe do łóżek.

- Małe? - zainteresowała się Laura.

- Nasze przyrodnie siostry Polly i Cat. Mają dopiero trzy i pięć lat.

- Nie mieszkacie tutaj, prawda?

Miranda pokręciła głową.

- Dom należy do sympatyka naszego ruchu. Zwykle stoi pusty, ale lokalizacja jest idealna dla naszej dzisiejszej akcji. Chcesz pójść do stajni i zobaczyć, co szykujemy?

- Pewnie - odpowiedziała Laura. - Pomóc ci z tymi kanistrami?

- Poradzę sobie - powiedziała Miranda i podjęła chwiejny marsz wokół domu.

Budynek stajni miał boksy dla dziesięciu koni i był w znakomitym stanie. Uzupełniał go trawiasty padok otoczony zgrabnym drewnianym płotem, ale nigdzie nie było ani śladu koni. Większość drzwi była otwarta, a w każdym boksie stał stół wsparty na kozłach, z szeregiem plastikowych misek na blacie.

- Po co to wszystko? - zapytała Laura. - Myślałam, że psy są trzymane w izolatkach.

- Nikt z naszych ludzi nie był dotychczas w tamtej psiarni, ale nasz informator twierdzi, że szczeniaki są chowane w okropnych warunkach. Młode psy bywają bardzo rozhasane, a kiedy oddzieli się je od rodzeństwa i zamknie w maleńkiej pustej klatce, pozostaje

im jedna rzecz do zabawy - własny brud.

- To znaczy siuski i kupa? - upewniła się Laura, krzywiąc się na myśl o takich zabawkach.

- Obawiam się, że tak. Nasz informator twierdzi, że klatki płu-  
cze się węzłem dwa razy w tygodniu, ale same psy są dezynfeko-  
wane dopiero tuż przed wysyłką do Malarek Research.

- To obrzydliwe - powiedziała Laura. - Jak można pozwolić,  
żeby zwierzęta żyły w takich warunkach?

- Wiem, aż trudno w to uwierzyć, prawda? Słuchaj, będę ci  
dozgonnie wdzięczna, jeżeli nam pomożesz. Bywałam już w ta-  
kich sytuacjach i wiem, że do mycia zwierzątek trzeba mieć  
mocny żołądek, ale twoja pomoc będzie nieoceniona, nawet jeśli  
ograniczysz się do biegania po boksach z gorącą wodą.

- Zrobię wszystko, co będzie trzeba - obiecała Laura. - Co sta-  
nie się później ze szczeniakami?

- Nie możemy trzymać ich tutaj zbyt długo. Ale mamy sieć  
nieoficjalnych schronisk dla zwierząt, które uratowaliśmy, więc  
wszystkie trafią do dobrych domów.

\*

Zanim dziewczęta przygotowały stajnię na przyjęcie psiaków,  
najmłodsze córki Anny zdążyły usnąć. Dom nie był duży, ale po  
klaustrofobicznej chatce w Corbyn Copse wydawał się ogromny.  
Laura pólężała na kanapie w salonie wciśnięta pomiędzy Adelaj-  
dę a Mirandę, z nogami w skarpetkach opartymi na stoliku do  
kawki. Na kolanach trzymała miski wypełnione chipsami tortillo-  
wymi i salsą.

Telewizor był włączony, ale nikt tak naprawdę nie oglądał pro-  
gramu. Laura przysłuchiwała się opowieściom snutym przez dwie  
siostry. Wyglądało na to, że wiodły ciekawe życie. Ojciec uciekł  
z domu, kiedy jeszcze raczkowały, zaś całkowite zaangażowanie  
Anny w ruch wyzwolenia zwierząt oznaczało, że musiały żyć z

darów i zasiłków. Raz nawet spędziły osiemnaście miesięcy w rodzinie zastępczej, podczas gdy ich matka odsiadywała karę więzienia.

Jednak dziewczęta wspominały swoje trudne dzieciństwo bez śladu goryczy. Widać było, że uwielbiają mamę, nawet jeśli nie przepadają za ojczymem, i opowiadały fantastyczne historie o swoich przygodach. Jako dziesięciolatki musiały uciekać do lasu w środku nocy, w koszulach nocnych i z króliczymi klatkami w rękach. Jako nastolatki uciekały z Rumunii przemycane w bagażniku samochodu po wzięciu udziału w proteście przeciwko krwawym sportom, a innym razem spędziły trzy miesiące w zakładzie poprawczym po tym, jak wzniciły pożar na targu mięsnym.

Laura była urodzoną cyniczką, ale te dwie inteligentne i pełne inwencji dziewczyny naprawdę jej zaimponowały. Nie zmieniało to faktu, że była koszmarnie zmęczona po poprzednim długim wieczorze i choć opowieści siostr były fascynujące, ostatecznie przegrała walkę z opadającymi ciężko powiekami.

\*

Laura gwałtownie ocknęła się ze snu. Telewizor milczał, Mirandy i Adelajdy nie było w pokoju, ale z korytarza dobiegały przytłumione odgłosy rozmowy. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie przespała całej akcji. Pospieszenie wsunęła stopy w buty i pobiegła do kuchni.

- Ach, jest nasza mała - powiedziała Miranda.

Wokół stołu siedziało i stało sześć osób zwalczających senność za pomocą kubków z kawą. Wśród nowo przybyłych była para w średnim wieku, która przedstawiła się jako Phyllis i Ken, chłopak Adelajdy o imieniu Jay oraz starszy mężczyzna, którego skórzana torba jednoznacznie demaskowała jako medyka, w tym wypadku niewątpliwie weterynarza.

- Przegapiłam coś? - zapytała Laura niespokojnie. - Chyba nie pozwoliliście mi przespać całej akcji?

- Bez obaw - uśmiechnęła się Miranda. - Lou zadzwonił jakieś pół godziny temu. Ochrona była słabiutka. Weszli tam i wyszli bez żadnych kłopotów. Powinni tu być za piętnaście minut. Cały szkopał w tym, że mamy do wyczyszczenia siedemdziesiąt trzy pieski.

- A ilu się spodziewaliśmy? - zapytała Laura.

- Trzydziestu lub czterdziestu - odpowiedziała Miranda.

- Dobrze się składa, że przyszedłeś. Urobimy się po pachy z umyciem i przewiezieniem do schronisk aż tylu szceniąt, a musimy zdążyć przed świtem.

- Zona i siostra Lou powiedziały, że przyjadą nam pomóc - dodała Adelajda. - Ale będą najwcześniej za godzinę.

## 20. PSY

Kiedy ratownicy nareszcie wjechali na podwórko - Ryan i Anna w siedmionowej ciężarówce i Lou w swojej astrze - rozpętało się prawdziwe piekło. Noc była ciemna, więc Lou zatrzymał swój samochód przodem do ciężarówki i zostawił włączone światła, żeby choć tak oświetlić miejsce pracy. Laura i pozostali włożyli maski do oddychania i grube gumowe rękawice, po czym Anna pchnęła w górę rygle skrzyni ładunkowej.

Pod Laurą ugięły się nogi. Fala obezwładniającego skondensowanego smrodu przekroczyła jej najśmielsze wyobrażenia. Czym prędzej zdarła maskę z twarzy i pobiegła zwymiotować na brzegu podjazdu. Phyllis zareagowała tak samo, a pozostali, zgięci w pół, walczyli z odruchem wymiotnym.

- Nic ci nie jest? - zapytała łagodnie Miranda, masując Laurze plecy. - Przynieść ci wody?

- Idź do psów - wykrztusiła Laura, ruszając chwiejnie w stronę domu. - Nic mi nie będzie.

Wbiegła do kuchni i pospiesznie przepłukała usta wodą. Wciąż ją mdliło, ale była zdecydowana wrócić tam i udowodnić, że jeszcze może się do czegoś przydać.

Szczenięta czekały w ciężarówce, w kartonowych transporterach dla zwierząt. Każdy zaprojektowano do przewożenia jednego niedużego psa, ale ponieważ liczba szczeniaków przekroczyła ocze-



kiwania ratowników, w część pudeł powpychano po dwa maleństwa.

Próbując ignorować smród, Laura złapała dwa pudełka podane jej z ciężarówki przez Annę. Biegnąc w stronę stajni, w jednym transporterze wyczuwała ruchy dwóch przestraszonych szczeniaków drapiących ściany swojego więzienia. Szczeniak w drugim pudle znieruchomiał skulony w kącie.

W każdym boksie stajennym znajdował się kran z zimną wodą. Jedynym źródłem gorącej wody był długi wąż ogrodowy podłączony do kranu w kuchni. Adelajda poprosiła wszystkich, by korzystali z niej oszczędnie, bo bojler miał ograniczoną pojemność.

Laura weszła do pustego boksu. Postawiła pudełka na kamiennej posadzce i włączyła światło, wydobywając z ciemności ławę i stojące na niej trzy miski. Niepokoiła się o milczącego psiaka i chciała zacząć od niego, ale gdy tylko odstawiła pudełka, pozostałe dwa urządziły małą rewolucję. W transporterze wybuchła szamotanina, a w otworach wentylacyjnych ukazywały się na przemian ciekawskie jazgotliwe pyszczki i zaciekle skrobiące pazurki.

Laura nie była przyzwyczajona do zajmowania się zwierzętami. Serce waliło jej jak młotem, kiedy rozdzieliła klapy pudełka i - pilnując się, by nie wciągać w nozdrza zapachu - wydobyla ze środka kruche wijące się stworzonko, nie większe od świnki morskiej. Szczeniátko ujadło piskliwie, gwałtownymi skrętami ciała usiłując wyrwać się dłoni, która zaciskała mu się na miękkim brzuszku.

Laurze zebralo się na płacz, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest nieszczęsna psina. Szczenie miało błyszczące oczy, ale jego białobrazowa sierść była pożółkła i posklejana grudami zaschniętych ekskrementów.

- Biedne maleństwo - chlipnęła Laura i omal nie upuściła przeżalonego szczeniaka na ziemię, kiedy ten siknął jej na rękę ciepłą stróżką moczu.

Skoczyła do przodu i wrzuciła psa do pierwszej z brzegu miski.

W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się Phyllis z wężem ogrodowym w ręku.

- Gorącej wody?

- Tak, poproszę - powiedziała Laura, uśmiechając się niepewnie.

Phyllis wymiotowała w tym samym czasie co Laura, ale najwyraźniej nie była aż tak zdeterminowana, by zwalczyć uczucie mdłości i jej twarz wciąż miała zielonkawy odcień. Wstrzymując oddech, nałapała gorącej wody do drugiej i trzeciej miski.

Tymczasem Laura podniosła z podłogi wąż z zimną wodą i przekręciła zawór, puszczając słaby strumień. Poczula się jak oprawca, kiedy wetknęła wąż do pierwszej miski, a piesek zaszkomlał przeraźliwie, gdy woda zmoczyła mu łapki.

Szczeniak cofnął się gwałtownie, szorując pazurkami o plastik, po czym zaatakował brzeg miski, próbując wygramolić się na zewnątrz. Laura przeniosła go na środek, jak najdelikatniej przycisnęła do dna i zaczęła polewać zimną wodą. Maluch piszczał żałośnie, podczas gdy wokół niego rosła kałuża cuchnącej czarnej brei.

- Wiem, że to nic przyjemnego - przemawiała do niego Laura kojącym głosem. - Kiedy skończymy, poczujesz się znacznie lepiej, a potem znajdziemy ci nowy wspaniały dom.

- O, już zaczęłaś. To super - ucieszył się Ryan, stając za Laurą i naciągając na dłonie gumowe rękawice. - Coś ci powiem. Wezmę na siebie śmierdzący wstęp, a ty zajmiesz się odkazaniem i ostatnim płukaniem.

Laura oddała mu wąż i stanęła obok, by podpatrzeć demonstrację techniki doskonalonej przez lata ratowania zwierząt laboratoryjnych.

- Zaczyna się od głowy i przesuwa dłonie wzdłuż ciała płynnymi ruchami - wyjaśnił Ryan. - Zawsze myj od głowy do ogona, w ten sposób zmniejszasz ryzyko, że coś paskudnego dostanie mu się do oczu lub pyszczka.

Podczas gdy Ryan wprawnymi ruchami wyciskał brud z sierści psiaka i wycinał mu nożyczkami beznadziejnie sfilcowane kołtuny, w drugiej misce Laura przygotowała mieszankę środka odkażającego i szamponu dla psów.

- Szczenięta zawsze piją wodę z kąpielni i wariują, kiedy po czują smak mydlin, więc nie licz na to, że wyjdiesz z tego sucha - ostrzegł Ryan.

I rzeczywiście, kiedy tylko Laura wrzuciła dygoczącego psiaka do ciepłej pianistej wody, wstąpił w niego szatan. Nie zwracając uwagi na opętańczy jazgot, wycisnęła mu trochę szamponu bezpośrednio na sierść i delikatnymi ruchami zaczęła urabiać pianę. Po niecałej minucie nieszczęsne stworzenie wyszamotało się i wyszczeżało do stanu kompletnego wyczerpania i jeszcze zanim Laura przeniosła je do trzeciej miski, by spłukać szampon z futra, szczeniak zaniechał protestów, by przejść do stanu zrezygnowanej bierności.

Po tryśnięciu dezodorantem, przypudrowaniu proszkiem na pchły i szybkim wytarciu malca Laura wzięła go na ręce i pokazała Ryanowi, który obmywał już następnego szczeniaka.

- No, teraz wygląda jak pies - powiedziała, szczerząc się słodko do żalostnej kupki nieszczęścia na swoich dłoniach.

- Okej. - Ryan pokiwał głową z uznaniem. - Dobra robota. Zanieś go do weterynarza w boksie numer dwa i wracaj do mnie.

- Chodź, pieseczku. - Laura uśmiechnęła się, wychodząc ze stajni i zerkając przelotnie na operację mycia przeprowadzaną w sąsiednim boksie. - Wielki pan pewnie zrobi ci zastrzyk w pupę, ale potem dostaniesz wody i całą miskę

tego pysznego wegetariańskiego jedzonka dla piesków i będziesz mógł zaprzyjaźnić się z mnóstwem innych szczeniactków.

\*

Dziewięćdziesiąt minut później Laura dostarczyła weterynarzowi swojego jedenastego mokrego psiaka. Weterynarz był przemiłym starszym panem, ale zasypywany szczeniętami z czterech stanowisk mycia nie miał czasu na pogawędkę.

Kiedy Laura ruszyła z powrotem do Ryana, drogę zastąpiła jej Miranda.

- Wyglądasz na wykończoną - powiedziała z uśmiechem. - Phyllis przygotowuje gorące napoje w kuchni. Może zrobisz sobie dziesięć minut przerwy?

- A Ryan?

- Ja mu pomogę. A jego zwolnimy, kiedy wrócisz.

Wchodząc do kuchni, Laura boleśnie uświadomiła sobie, w jak opłakanym jest stanie. Jej dżinsy i koszulkę pokrywały plamy mydlin, brudnej brązowej wody i pozostałości po kilku szczeniactkach sikających i jednym wymiotującym.

Choć jej nos z czasem przyzwyczyił się do smrodu, domyślała się, że cuchnie gorzej niż kiedykolwiek w życiu, z łatwością bijąc rekord ustanowiony podczas pięciodniowego survivalu na szkoleniu podstawowym.

Wcześniej nieskazitelna podłoga kuchni teraz spływała brązową wodą.

- Klapnij sobie - powiedziała Phyllis. - Nie przejmuj się tym syfem. Kiedy skończymy myć psy, przelecę to wszystko chlorem. Czego się napijesz? Herbaty? Kawy? Kakao na mleku sojowym?

- Kakao poproszę.

Laura usiadła za stołem i skrzywiła się, czując, jak mokre majtki nieprzyjemnie rolują się jej pod pośladkami.

Zanim gong mikrofalówki obwieścił, że kakao jest już gorące, Laura zdjęła maskę i z wysiłkiem ściągnęła rękawice, odsłaniając pomarszczoną skórę na koniuszkach palców. Na drugim końcu długiego stołu Adelajda gorączkowo pracowała przy ogromnym laptopie z dwiema kamerami wideo podłączonymi do portów z tyłu.

- Chcesz zobaczyć siebie przy pracy? - zapytała Adelajda.

Laura przeniosła parujący kubek wokół stołu i spojrzała na największy ekran laptopa, jaki kiedykolwiek widziała. Był podzielony na okna z podglądem na górze i konsolę z suwakami i przyciskami poniżej.

- Co to jest? - zapytała Laura.

- Program do montażu filmów - wyjaśniła Adelajda. - Przygotowuję materiały dla mediów. Wysłaliśmy już e-maile z fotografiami z wnętrza psiarni do BBC i innych korporacji medialnych, a teraz montuję dziesięciominutowy film, który zamieścimy na stronie Przymierza Zebra.

Mówiąc to, Adelajda wywołała na ekran krótkie ujęcie ze stajni. Przedstawiało Laurę widzianą od tyłu, gorączkowo szorującą jedno ze szczeniąt w szamponie ze środkiem odkażającym, a potem przenoszącą je do miski z wodą do płukania.

- Ekstra - powiedziała Laura. - Nie wiedziałam, że filmujesz.

Adelajda uśmiechnęła się.

- Byłaś tak pochłonięta pracą, że nawet nie usłyszałaś, jak nadchodzę, a ja nie chciałam ci przeszkadzać, bo obraz młodej dziewczyny pomagającej przy myciu psów jest po prostu idealny.

- Ryan jest na warunkowym, wiesz? Jak ktoś go rozpozna...

- O to się nie martw - powiedziała Adelajda z uśmiechem. - Przeglądam każdą klatkę i zamazuję twarze. Potem zniszczę oryginalne taśmy i wymażę kopie z dysku laptopa.

Poza tym tak na wszelki wypadek Przymierze zatrudnia prawnika od prawa medialnego, który ogląda każdy film i każdą fotografię, a potem każe komuś ze swoich pracowników wysłać je mediom z dwudziestoczterogodzinnej kafejki internetowej, co uniemożliwia wytropienie naszej lokalizacji.

- No to kiedy zamazana lub rozpikselowana znajdzie się na stronie Przymierza?

- Mam nadzieję, że za niecałe trzy godziny. Mamy rewelacyjne ujęcia z wnętrza tamtej psiarni. Lou sfilmował nawet dwa psiaki, które zdechły w swoich klatkach od zainfekowanych ran.

- Biedactwa - posmutniała Laura.

- To okropne, że szczeniaki były tak podle traktowane - przytaknęła Adelajda. - Plus jest taki, że możemy poinformować RSPCA i miejscowe władze, kiedy tylko otworzą swoje biura. Właściciel hodowli straci licencję i będzie musiał zamknąć interes.

- To dobrze - powiedziała Laura. - I założę się, że żadna inna hodowla nie zechce dostarczać Malarkowi psów.

Adelajda skinęła głową.

- A jeśli zechce, to lepiej niech to trzyma w sekrecie.

Laura dopiła kakao i stuknęła pustym kubkiem o stół.

- No dobra - powiedziała. - Lepiej już pójde, żeby Ryan też mógł odpocząć. Chyba nie zostało nam więcej niż dziesięć psów do umycia.

Wyszędłszy za próg, Laura ujrzała wschodzące słońce przeświecające przez korony drzew. Odwróciła się, by zerknąć na kuchenny zegar, i ze zdumieniem stwierdziła, że jest już za kwadrans piąta.

## 21. KLOPS

- Hej... hej... - powtarzał Ryan, delikatnie pocierając palcami policzek Laury, aby ją obudzić.

Jego owłosiona pierś była naga. Ubrany był tylko w dzinsy, najwyraźniej wypożyczone od Lou, bo o kilka numerów za duże.

Laura otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że leży na kanapie wciśnięta w dziecięcy śpiwór z Bobem Budowniczym. Przez zasłony przeświecało ostre słońce.

- Anna szykuje ci lunch - powiedział Ryan.

- Lunch? - zdumiała się Laura. - Która godzina?

- Dziesięć po pierwszej.

- O ja cię... Zara wie, gdzie jesteśmy? Ryan skinął głową.

- Rozmawiałem z nią. Nie ma pretensji o nasz mały wypad i w ogóle wszystko jest okej. Właśnie po nas jedzie.

Laura rozpięła śpiwór i usiadła. Wspomnienia minionej nocy powróciły do niej falą. Po uporządkowaniu ostatniej partii psiaków wszyscy ruszyli do domu, żeby się umyć, ale zabrakło ciepłej wody. Ścierpiawszy jakoś lodowaty prysznic, Laura wytarła się i przebrała w za dużą koszulkę i szorty Mirandy.

Wchodząc teraz do kuchni, uświadomiła sobie, że dłonie i ramiona wciąż bolą ją od szorowania szczeniaków.

- Witaj - powiedziała pogodnie Anna, podchodząc do stołu, by nalać jej szklankę soku pomarańczowego. – Co powiesz na węgalskiego tosta francuskiego?

- Brzmi fantastycznie - uśmiechnęła się Laura, podciągając ogromniaste szorty i siadając przy stole.

Kiedy rozejrzała się wokół, zauważyła, że kuchnia lśni czystością i nie ma w niej śladu po sprzęcie, którego używali w nocy.

- Psy już wyjechały? - zapytała.

Ryan skinął głową, siadając obok Laury.

- Lou wziął trochę, a Miranda i Adelajda pojechały z resztą.

- Aha - powiedziała Laura, trochę markotniejąc, bo miała nadzieję, że jeszcze zobaczy szczenięta czyste, syte i szczęśliwe.

Anna podsunęła jej francuskiego tosta z cukrem pudrem, truskawkami i plasterkami melona. Gorący słodki chleb był dokładnie tym, czego Laura potrzebowała po nocnym wysiłku.

- Lepiej już pójść, Ryan - powiedziała Anna, kiedy wyłączyła piekarnik i opłukała blachę pod kranem. - O trzeciej muszę odebrać Cat i Polly z przedszkola. Mógłbyś pozmywać po Laurze i zamknąć? Klucze możesz oddać Phyllis; w weekendy zawsze jest na proteście.

- Żaden problem. - Ryan pokiwał głową. - Nie musisz na nas czekać. Zara będzie tu za jakieś pół godziny.

Po pożegnaniu Anny i dojeździe tosta Laura znalazła swoje buty i wyszła na dwór, by ostatni raz spojrzeć na stajnię. Na myśl o podnieconych szczeniętach, pachnących szamponem, wywożonych do schronisk samochodami i furgonetkami członków Przy mierza, poczuła wielką gulę w gardle.

Czuła też dumę. Pracowała ciężko, była częścią wspaniałego zespołu i nie miała najmniejszych wątpliwości, że ocalenie tych psiaków było rzeczą dobrą i słuszną. Nawet jeśli kradzież zwierząt była sprzeczna z prawem i nawet jeśli niektóre eksperymenty na zwierzętach służyły ważnym badaniom medycznym, nie znaj



dowała żadnego usprawiedliwienia dla zmuszania zwierząt do życia we własnych odchodach.

Już miała zawrócić do domu, kiedy usłyszała cieniutki pisk. Znieruchomiła na kilka sekund, w czasie których uznała, że to tylko poskrzypujące na wietrze drzwi stajni, ale gdy ruszyła, znów usłyszała ten dźwięk, tym razem niepokojąco przypominający skamlenie szczenięcia.

- Halo? - powiedziała głośno, po czym uświadomiła sobie, że to niezbyt mądre posunięcie.

Czyżby liczyła na to, że pies zacznie z nią rozmawiać?

Rozważyła pomysł pobiegnięcia do domu i zawołania Ryana, ale dźwięk dobiegał z niedużej odległości i nie chciała go zgubić. Zresztą w promieniu trzydziestu metrów nie było żadnych kryjówek, zatem pies musiał być w jednym z boksów w stajni.

Drzwi stajni były podzielone na połówki, żeby konie mogły wyglądać na zewnątrz. Laura otworzyła górną część drzwi najbliższego boksu i nachyliła się do środka, chcąc włączyć światło.

- A ty co tutaj robisz? - zachichotała na widok małego psiaka dygoczącego na posadzce pod ścianą. - Zostawili cię samego, tak?

Otworzyła dolną połówkę drzwi i weszła do środka. Biało-brązowe szczeniátko, jeśli do tej pory spotykało się z ludźmi, to wyłącznie z personelem psiarni, weterynarzem albo kimś, kto wpychał mu głowę do miski ze środkiem odkażającym, nic więc dziwnego, że nie był zachwycony widokiem Laury, co okazał, szczerząc swoje wzruszająco drobne ząbki.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedziała miękko Laura, gdy psiak zaczął odsuwać się od niej, pełznąc tyłem do kąta.

Kiedy pochyliła się, wyciągając ręce po szczenię, za duże szorty zsunęły się jej na kolana, a przerażony psiak zaszurał pazurkami o

beton i czmychnął w stronę drzwi, które lekkomyślnie zostawiła otwarte. Zanim podciągnęła spodnie, malec był już na zewnątrz.

- Ryan! - wrzasnęła panicznie Laura, puszczając się biegiem za szczeniakiem, który gnał opętańczo żwirową ścieżką prowadzącą na padok.

Wiedziała, że musi go schwytać, zanim dotrze do linii drzew i skryje się w zaroślach, gdzie już nikt nigdy go nie odnajdzie. Na szczęście biedny psiak, który całe życie spędził w ciasnej klatce, nie miał wprawy w bieganiu. Kiedy Laura zbliżyła się do niego, jedną ręką podtrzymując szorty, a drugą wyciągając przed siebie, maluch potknął się o własne przednie łapy i przeturlał przez głowę na grzbiet.

Hamując z chrzęstem na żwirze, Laura zdołała sięgnąć po psiaka, ale ten zrobił unik i wystrzelił z powrotem przez podwórko w stronę Ryana, który oderwał się od zmywania i wyszedł przed dom, by sprawdzić, co się stało.

Ryan przykucnął na środku ścieżki i rozpostarł ramiona, szykując się do przechwycenia szczeniaka. Skoczył, ale choć zdołał złapać psiaka za sierść, ten gwałtownym skrętem ciała wyrwał mu się i pomknął wzdłuż domu w stronę bramy wjazdowej.

- Niech to szlag! - zaklął Ryan, podrywając się z ziemi.

Tymczasem Laura kontynuowała pościg, szybko zmniejszając dystans. Malec tracił siły. Gdy wybiegła za nim na żwirowy podjazd przed domem, był zaledwie dwa metry przed nią. Wtedy usłyszała chrzęst opon i oderwała wzrok od psa tylko po to, by ujrzeć wielki niebieski samochód Zary sunący prosto na nią.

Czas stanął w miejscu. Laurę ogarnęła fala zimnej grozy, a jej wzrok utkwiał w okularach przeciwsłonecznych i otwartych do krzyku ustach Zary za szybą auta. Biegła zbyt szybko, by wyhamować. Jedyne, co mogła zrobić, to osłonić rękami twarz, żeby zamortyzować nieuchronne uderzenie.

Na szczęście Zara trzymała już stopę na hamulcu i zanim Laura grzmotnęła o maskę samochodu, ten zdążył się zatrzymać.

Rozległ się głuchy łomot, kiedy łokieć dziewczyny rąbnął w przednią szybę, urażając nerw i posyłając bolesny impuls w stronę dłoni.

Laura jednak zносиła już gorszy ból i była zdecydowana za wszelką cenę złapać pieska, zanim ucieknie na dobre. Zbyt dumna, by skrzywić się z bólu, zsunęła się z maski, zacisnęła zęby i przykucnęła, rozglądając się za zwierzakiem, który tuż przed zderzeniem zniknął między przednimi kołami samochodu.

- Widziałaś go? - zawołała Laura, kiedy Zara wyskoczyła z auta.

- Kogo?! - wrzasnęła z furią koordynatorka. - Czyś ty na mózg upadła, że latasz po drodze jak bezgłowa kura? Prawie cię przejechałam!

- Szczeniak nam uciekł - wyjaśnia Laura, wstając.

- Jest na drodze! - krzyknął Ryan, obiegając samochód z drugiej strony.

Zara i Laura obejrzały się jednocześnie, by ujrzeć zziąjanego białobrązowego pieska stojącego pośrodku szosy. Zdezorientowany szczeniak kręcił łebkiem, nie mogąc zdecydować, w którą stronę się udać. Sekundę później zza łagodnego zakrętu wyłonił się mały nissan, który przemknął nad psiakiem z prędkością co najmniej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- O nie! - pisnęła Laura, zasłaniając oczy i spodziewając się najgorszego.

Ryan wybiegł na asfalt. Zawirowania powietrza pod samochodem zbiły psiaka z nóg, ale poza tym nic mu się nie stało. Ryan w biegu zgarnął oszołomione zwierzę, ale impet pociągnął go na przeciwny pas ruchu prosto pod koła rozpędzonej śmieciarki.

Zaryczał klakson. Ciężarówka gwałtownie odbiła na środek jezdni, a Ryan w ostatniej chwili skoczył na pobocze, ześliznął się po trawie do rowu i runął w kępę dzikich kwiatów.

Laura i Zara przepuściły jeszcze dwa samochody, nim odważyły się przebiec na drugą stronę. Laura z ulgą stwierdziła, że Ryan zdołał utrzymać wyrwijącego się wściekle szczeniaka.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- Przeżyję - sapnął Ryan, łapiąc wyciągniętą doń pomocną dłoń Zary. - Ale ta ciężarówka kosztowała mnie parę lat życia.

- Wiecie co? - roześmiała się Laura. - Poznają tego psa. Brązowa główka i jedno oko trochę niżej niż drugie. To pierwszy, którego wczoraj myśliśmy.

Ryan uśmiechnął się i obrócił psa do siebie, by spojrzeć mu w oczy.

- Biedne maleństwo potrzebuje miski wody. Mam wrażenie, że trzymam w ręku termofor.

- Co z nim zrobimy? - zapytała Laura.

- Nie może zostać tu sam - powiedział Ryan. - Musimy go zabrać do Corbyn.

- Może mieszkać w moim pokoju - ucieszyła się Laura. - Myślę, że to przeznaczenie. Zawsze chciałam mieć psa.

- Ale tylko na kilka dni, dopóki nie znajdziemy mu jakiegoś miejsca - zaznaczyła Zara. - Wiesz, że tylko juniorom wolno trzymać zwierzęta, więc nie przywiązuj się do niego za bardzo.

- Poza tym to będzie podejrzane - dodał Ryan. - Szczeniak rasy beagle u mnie w domu zaraz po tym, jak z psiarni zginęły siedemdziesiąt trzy takie psy?

- Klops - Laura uśmiechnęła się, głucha na wszelkie zastrzeżenia. - Będzie się nazywał Klops.

## 22. LATO

Trzy tygodnie później

Był piękny słoneczny dzień. Lipiec zbliżał się wielkimi krokami. James wrócił ze szkoły z podwinętymi rękawami i czołem błyszczącym od potu.

- Już jestem! - zawołał od progu.

Skręcając do saloniku, usłyszał, jak Zara odkrzykuje z kuchni coś niezrozumiałego. Na widok chłopca Klops wstał z posłania i przeciągnął się, merdając ogonem. Od czasu kiedy bawił się z Laurą w berka wokół stajni, urósł niemal dwukrotnie, ale choć istniało wiele racjonalnych powodów, by pozbyć się psiaka, ostatecznie nikt nie miał serca, żeby to zrobić.

- Cześć, młody - przywitał psiaka James, przykucając, by pogłaskać szczenię po biało-brązowej sierści. - Ale upał, nie? Nie martw się, dostałeś wszystkie zastrzyki i już w przyszłym tygodniu będziesz mógł wychodzić na spacerki.

Klops przewrócił się na plecy, podstawiając Jamesowi brzuch.

- Ale z ciebie rozkoszniazek - zaszczebotał James, czochrając miękką sierść. - Dobra, koniec rozpusty. Gdzie masz piłkę?

Sięgnął pod fotel, skąd wydobyl kulkę z różowej gumy. Klops, który wiedział, co to oznacza, poderwał się radośnie i wywiesił wyczekująco język. Kiedy James wysokim lobem rzucił piłkę za

kanapę, szczeniak pognał za mebel, by po krótkiej chwili wyłonić się z drugiej strony z zabawką w zębach.

- Pięknie! No kto jest mądrym pieskiem? No kto?

Choć Klops szybko pojął ideę przynoszenia piłki, rozstanie się z nią nie przychodziło mu łatwo. Kiedy James próbował wyrwać mu ją z pyska, pies mrużył oczy i warczał, ile sił w małych płucach.

- Dobra psinka - pochwalił James, kiedy Klops dał wreszcie za wygraną.

Ukląkł nad szczeniakiem, by go pogłaskać i pozwolić polizać się po policzku. Kiedy patrzył w te uległe brązowe oczy, po prostu nie potrafił go nie kochać. Po kolejnym liźnięciu podniósł Klopsa z dywanu i pocałował w czubek łebka.

- Jesteś najśłodszym psem świata, wiesz? - powiedział James, drapiąc szczenię za uszami. - No kto jest najśłodszym pieskiem?

- Zawsze go tak bierze, kiedy nie ma dziewczyny - zakpiła z brata Laura.

James podniósł głowę. Stuart i Laura chichotali w drzwiach pokoju.

- Hej, Stu - powiedział James. - Widzę, że chociaż ty postarałeś się o dziewczynę, hę?

Laura cmoknęła z irytacją.

- Będziemy tylko odrabiać lekcje.

- Jasne, jak tam sobie chcecie, gołębiczki - parsknął James.

Klops spędził większą część dnia na drzemaniu w pustym, zbyt gorącym pokoju i nagle pojawienie się aż trzech osób do zabawy przeciążyło jego rozleniwiony psi mózdzek. Na widok Laury i Stuarta zaczął biegać tam i z powrotem, opętańczo machając ogonem, nie mogąc się zdecydować, czyjej uwagi pragnie najmocniej.

- Idziesz do mojego pokoju? - zapytała Laura, kiedy szczeniak stanął na tylnych łapach, opierając przednie na jej szortach. - Nie masz nic przeciwko temu, James?

James wzruszył ramionami.

- Gdzie tam. Idę na górę wziąć prysznic. Spocilem się jak dzika świnia.

- Chodź, Klopsik! - zawołała Laura, przechodząc na drugą stronę przedpokoju, by otworzyć drzwi swojej sypialni.

Klops jednym susem przesadził korytarz i wskoczył na łóżko Laury.

- Wiesz, że nie powinieneś lizać Jamesa po twarzy - skarciła zwierzaka Laura, grożąc mu palcem. - Dostaniesz parchów na języku.

- Hej, słyszałem to - oburzył się James, wychodząc do przedpokoju z plecakiem na ramieniu.

Laura wpuściła do pokoju Stuarta, a sama weszła za nim.

- Narka, James - wyszczerzyła się i zatrzasnęła drzwi.

- Lepiej trzymaj ten rozporek zapięty, Stuart, bo jak zrobisz mojej siostrze dziecko, to skopię ci tyłek - krzyknął James.

Laura wysunęła głowę za drzwi i pokazała bratu w wulgarnym geście wyprostowany środkowy palec.

- Z dnia na dzień robisz się coraz zabawniejszy, wiesz?

\*

Po kąpieli James owinał się ręcznikiem i poczłapał do swojej sypialni. Kyle ubrany tylko w plażowe szorty leżał na górnym łóżku, czytając Paragraf 22.

- Dzięki Bogu, że to już piątek - westchnął ciężko James, siadając na łóżku i schylając się po leżące na podłodze bojówki. - Jak tam urlop naukowy?

- Nie najgorzej - uśmiechnął się Kyle. - Wstałem o dziesiątej, do południa opalałem się w ogrodzie, a potem na dwie godziny przyszedł Tom.

James zacmokał z dezaprobatą.

- Czy on też nie musi chodzić do szkoły? Ten jego college to jakaś kpina.

- Tom jest po maturze i pod koniec września idzie na uniwersytet. Jeśli się dostanie, rzecz jasna.

Upał nadwątlił odporność nerwową Jamesa i długo powstrzymywana fala goryczy wreszcie przełamała tamę.

- O w mordę, jak ja mam dosyć tych porypanych lekcji w porypanych szkołach, które nie uczą absolutnie niczego! Taki piękny dzień, a ja musiałem przez dwie godziny siedzieć w klasie z tymi ćwokami nad jakimś matematycznym banałem. Zdałem już z tego maturę, a to nie był nawet poziom gimnazjalny! Miałem ochotę walić wszystkich po łbach i wrzeszczeć: „Czemu jesteście tacy tępi?!”.

Kyle parsknął śmiechem.

- Nie wszyscy mogą być matematycznymi geniuszami, James. W zeszłym roku zakuwałem jak głupi do egzaminu maturalnego i ledwie wyciągnąłem na trójkę.

- Ej tam, lepiej powiedz, co mówił Tom?

- W sumie żadnych nowin. Sophie i Viv wciąż próbują nawiązać kontakt z ekstremistami, ale tamci są ostrożni.

- Super! Wiesz, co teraz będzie, no nie? Ja, Kerry i Laura mieliśmy po raz pierwszy pojechać do ośrodka na wczasy razem. O co zakład, że misja będzie się ciągnąć miesiącami i że w końcu nigdzie nie pojedziemy?

- Jesteś dziś złotym promykiem optymizmu, co? - zażartował Kyle. - Kilka lat temu straciłem wczasy z powodu jakiejś dętej misji opartej na fałszywym cynku o szmuglerze heroiny. Jak dotąd miałeś kupę szczęścia, James. Wychodziły ci wszystkie misje. Prędzej czy później musisz dostać taką, która wyłoży się cycem do góry.

- Myślisz, że to może być ta?

Kyle pokręcił głową.

- Jestem dobrej myśli. Jednak mówi się, że OWZ może mieć nawet mniej niż tuzin członków. Do tak małej grupy nie dotrze się



szybko. Myślę, że dobrze zrobiliśmy, od razu przyklejając się do Toma i Viva.

- Pewnie masz rację - powiedział James, wyciągając się wygodnie na łóżku. - Szkoła kończy się w przyszłym tygodniu. Kiedy zaczną się wakacje, pomieramy tu z nudów.

James poczuł, że coś uwiera go w plecy. Sięgnął pod pościel i z fałd kołdry wyłuskał zwiniętą w kulkę czerwono-zieloną skarpetkę. Z całą pewnością nie należała do niego, a Kyle nie włożyłby takiej, nawet gdyby grożono mu śmiercią.

James zeskoczył na podłogę.

- Kyle, do jasnej anielki, co skarpetka twojego kochasia robi w moim łóżku?

- Ach, tu się schowała - powiedział Kyle swobodnie. - Szukaliśmy jej wszędzie.

- Czy ty i Tom używaliście mojego łóżka do... no wiesz, gejowskich spraw?

- A gdzie indziej można usiąść w tej klitce?

- Mogliście siedzieć na twoim łóżku - naburmuszył się James.

Kyle wyciągnął dłoń w górę i palcem dotknął sufitu.

- Tu jest mniej niż pół metra miejsca. Zresztą Tom jest duży i łóżko pewnie by się załamało, gdybyśmy weszli tutaj obydwaj.

- A co dokładnie robiliście w moim łóżku?

- Nic takiego. Przytulaliśmy się trochę, całowaliśmy...

- Ale najpierw zdjęliście ubrania.

- No tak, częściowo tak - przytaknął Kyle i wyciągnął palec w stronę rozjarzonego słonecznym blaskiem okna. - James, jest dwadzieścia sześć stopni w cieniu. Mieliśmy tu siedzieć w pal-tach?

- Posłuchaj, ty i Tom macie ponad szesnaście lat. Nie mam nic przeciwko temu, że jesteście gejami, i nie obchodzi mnie, co ze sobą robicie, byle nie w moim łóżku, okej ?!

Kyle zeskoczył z górnej pryczy i stanął przed Jamesem.

- Jesteś totalnym homofobem, wiesz? - wycedził ze złością.  
- Nie. - James zamachał rękami. - Od wieków wiem, że jesteś gejem, i nigdy nie robiło mi to żadnej różnicy.

- Wiesz co? - prychnął Kyle. - Jesteś homofobem najgorszego rodzaju. Już wołałbym, żebyś spojrział mi w oczy i powiedział, że brzydzisz się mojego gejostwa, zamiast udawać, że wszystko dobrze, wszystko pięknie, a za plecami wtykać palec do gardła.

- Ale o czym ty gadasz?! - zachłysnął się James. - Powiedziałem tylko, że nie chcę, żebyście tarzali się półnaczy po moim łóżku. Co w tym złego?!

- Batman. Początek - powiedział Kyle, dźgając Jamesa palcem w żebro. - Oglądaliśmy to na DVD w twoim pokoju w kampusie. Ja siedziałem na podłodze, a reszta na twoim łóżku. Ty dobierałeś się do Kerry, Daniel Satter do Gabrieli, a Callum do nie wiem kogo. Wtedy okiem nie mrugnąłeś, nawet kiedy z Gabrieli i Daniela niemal zaczęło kapać.

- Cóż... - zająknął się James.

- Stosujesz podwójną normę, James - powiedział Kyle z goryczą. - Gdybym na twoim łóżku bzyknął dziewczynę, nie powiedziałbyś słowa, prawda?

James uświadomił sobie, że Kyle ma rację, ale nie był gotów, by to przyznać.

- Po prostu trzymaj swojego chłoptasia z dala od mojego łóżka, dobra?

- Wypchaj się - powiedział Kyle, odsuwając Jamesa z drogi i ruszając w stronę drzwi. - Fajny z ciebie zasrany przyjaciel.

Ale nie zdążył wyjść, bo w drzwiach pojawiła się Zara. Mówiła cicho, ale z furją.

- Nie wiem, o co się znowu kłóćcie - wyszczała - ale aż w kuchni słyszę, jak wrzeszczycie o kampusie, i może nie zauważyliście,

ale w domu jest gość. Dobrze, że Laura miała dość przytomności, żeby włączyć u siebie muzykę.

James wciągnął powietrze przez zęby. Zupełnie zapomniał o Stuarcie.

- Idę się przejść - rzucił kwaśno Kyle i wyszedł z pokoju, zgarniając po drodze buty i koszulkę.

- Raczysz mi wyjaśnić, o co poszło? - zapytała Zara, kiedy Kyle był już na dole.

- Odkryłem, że jak mnie nie było, Kyle i Tom weszli mi do łóżka, i poprosiłem, żeby więcej tego nie robili.

- Zostawili bałagan?

- No... nie.

Zara pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Niedobrze ci z tym, bo są gejami.

James skinął głową, przypominając sobie, dlaczego tak bardzo lubi Zarę: próbowała zrozumieć człowieka, zamiast pochopnie go oceniać.

- Wiem, że nie powinienem mieć nic przeciwko homoseksualistom - powiedział James. - No i w sumie nie mam, to znaczy... Ja naprawdę lubię Kyle'a, ale jak tylko pomyślę o tym, że dwaj faceci chcą się ze sobą... Błeeee!

Zara uśmiechnęła się.

- To normalna reakcja, zwłaszcza wśród nastoletnich chłopców. Czy próbowałeś kiedyś wytłumaczyć Kyle'owi, jak działa na ciebie jego orientacja seksualna?

James potrząsnął głową.

- W życiu. Chybaby mnie zabił.

- Kiedy wróci, zamienię z nim słówko - powiedziała Zara. - Może ode mnie przyjmie to lepiej. Jesteście taką fajną parą przyjaciół. Szkoda by było, gdyby to się rozpadło.

- Dzięki - uśmiechnął się James.

## 23. KOBIETY

Jamesa zawsze zdumiewało, że dwudniowy weekend mija szybciej niż pięćdziesięciminutowa lekcja historii w poniedziałkowy poranek. Siedział z głową opartą o ławkę, obserwując, jak zegarek fossil, który Laura kupiła mu na Gwiazdkę, mozolnie odlicza sekundy. Nauczycielka nazywała się Choke - tak jak jego zmarła mama - i kiedy bełkotała coś o trzydziestym ósmym równoleżniku, generale Walkerze i wojnie w Korei, on zastanawiał się sennie, czy to możliwe, żeby była jakąś jego daleką krewną.

Podczas gdy uporczywie wpatrywał się w ekran, czekając na tę wyjątkową sekundę, w której zegarek wyświetli trzy jedenastki, komórka w jego kieszeni zasygnalizowała odebranie wiadomości. Natychmiast wyjął telefon z kieszeni i otworzył klapkę.

- Wilson - powiedziała nauczycielka ostrym tonem.

James potrzebował pół sekundy na skojarzenie, że to jego przybrane nazwisko. Spojrzał w górę.

- Wiem, że jesteś nowy w tej szkole, James, ale nie zmuszaj mnie do tego, bym ci przypomiwała, że podczas lekcji telefony mają być wyłączone.

- Przepraszam, pani profesor - powiedział James, ale głowę miał zajęętą wiadomością, jaką dostał od Kyle'a:

„Czekam przy bramie chodź teraz megapilne!!!”. Od piątkowej kłótni James i Kyle unikali się nawzajem, a zatem musiało chodzić o misję.

- Emm, psze pani... - zaczął James, wstając i podnosząc plecak. - Kryzys rodzinny. Przepraszam, ale muszę lecieć.

Panna Choke osłupiała, a krzywe uśmieшки kolegów mówiły wyraźnie: „Wymyśl coś lepszego, stary”.

- Wiem, że to ostatni tydzień roku, ale to nie daje ci prawa do wychodzenia z lekcji, kiedy ci się żywnie podoba - powiedziała gniewnie nauczycielka, podczas gdy James pakował podręczniki.

- Tak, wiem - rzucił James, ruszając ku drzwiom. - Sorry!

Puścił się biegiem przez krótki korytarz, potem schodami w dół i wybiegł na zewnątrz przez główne wejście, ignorując krzyk szkolnej sekretarki domagającej się wyjaśnienia, dokąd to się wybiera. Kyle czekał po drugiej stronie drogi ubrany w dżinsy i koszulkę polo, z przewieszonym przez ramię plecakiem.

- Co się dzieje? - zapytał James, rozglądając się niespokojnie.  
- Lepiej się zmywajmy. Sekretarka nieźle się zapieniła i pewnie kogoś za mną pośle.

Kyle wskazał na starego mondeo zaparkowanego niespełna dwadzieścia metrów dalej.

- Nie martw się, mamy taryfę. Dostaliśmy wezwanie.

- Jakie wezwanie?

- Ten kontakt, którego szukał Viv - wyjaśnił Kyle. - Podobno wczoraj w nocy on i Tom spotkali się z jakimś kołesiem w miasteczku uniwersyteckim. Dziś rano zadzwonił do mnie Tom, a godzinę później człowiek z organizacji. Chcą się z nami jak najszybciej spotkać.

- Ekstra - ucieszył się James, ruszając w stronę taksówki. - To co, znów ze mną rozmawiasz czy jak?

Kyle wzruszył ramionami i otworzył przednie drzwi samochodu.

- Nie jesteś moim ulubionym przedstawicielem ludzkości, ale Zara ma dar przekonywania, a my zadanie do wykonania.

Siadając na tylnej kanapie forda, James zdążył jeszcze dostrzec głowę dyrektora szkoły czekającego po drugiej stronie drogi na przerwę w ruchu.

- Dokąd, szefie? - zapytał kierowca mówiący ze wschodnioeuropejskim akcentem.

- Do Bristolu - powiedział Kyle. - Jest takie centrum handlowe - King Street Parade, wie pan, gdzie to jest?

\*

W centrum Bristolu taksówkarz zabłądził w labiryncie jednokierunkowych uliczek i opłata urosła do ponad dwudziestu funtów.

- Co mamy robić? - zapytał James, kiedy wjechali ruchomymi schodami do galerii restauracyjnej, która dawniej była górnym piętrem domu towarowego.

- Powiedzieli, żeby usiąść przy stoliku i czekać na dalsze instrukcje - powiedział Kyle. - Nie wiemy, jak bardzo wyrefinowanymi środkami dysponują te grupy, więc lepiej załóżmy, że jesteśmy podsłuchiwani. Trzymaj się legendy przez cały czas.

- Jasne - przytaknął James, omal nie przewracając się na szczycie schodów, ponieważ skoncentrował się na zdejmowaniu szkolnego krawata.

Galeria restauracyjna przedstawiała typowy widok: tuzin wydłudnionych stoisk i dwudziestoosobowa kolejka do McDonalda. Do pory lunchu było jeszcze daleko, więc miejsc do siedzenia nie brakowało.

- Bierzemy coś do żarcia? - zapytał James, sadowiąc się przy małym stoliku.

Komórka Kyle'a zaczęła dzwonić w tej samej chwili, w której jego pośladki dotknęły krzesła.

- Halo?

Chłopak usłyszał w słuchawce kobiecy głos. Kyle odniósł wrażenie, że brzmi złowrogo, choć na jego percepcję z pewnością wpływała świadomość bycia obserwowanym.

- Widzę, że dotarliście - powiedział głos. - Trochę to trwało.  
- Mówiłem przecież, że muszę wyciągnąć Jamesa ze szkoły - odparł Kyle, wykręcając szyję w nadziei, że dostrzeże swoją rozmówczynię.

- Nie masz co się rozglądać, Kyle, wkrótce się spotkamy. Macie coś ze sobą?

Kyle zmarszczył brwi.

- Jak to?

- Telefony, zegarki, długopisy, ołówki, dyktafony, scyzoryki, portfele... Musicie mieć coś z tych rzeczy.

- No... coś tam mamy.

- Dobra, widzę, że macie plecaki. Obaj wyjmiecie teraz wszystko z kieszeni, łącznie z telefonami, i włożycie do plecaków. Czy to jasne?

- Jak słońce.

- Kiedy skończycie, odczekacie przy stoliku dokładnie półtorej minuty. Potem pójdziecie do windy i zjedziecie nią na parking. Poziom trzeci. Wychodząc z windy, zobaczycie naszą furgonetkę. Wsiądziecie od tyłu, oddacie nam plecaki bez nawiązywania kontaktu wzrokowego i położycie się twarzą w dół na podłodze.

Telefon kliknął i zamilkł na dobre.

- No i? - zapytał James.

Kyle pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Zdaje się, że wchodzimy do gry.

Dwie minuty później drzwi windy rozsunęły się, a Kyle i James wyszli na parking, omiatając wzrokiem rzędy samochodów w poszukiwaniu furgonetki. W ciągu kilku chwil pozostali pasażerowie rozeszli się do swoich aut, ale Kyle wciąż stał przy windzie, z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- Jesteś pewny, że to właściwe piętro? - zapytał James.

- Na pewno powiedziała poziom trzeci.

Kyle zaczął się zastanawiać, czy to nie jeden z szalonych dowcipów Viva, kiedy z rampy wjazdowej stoczył się czerwony volkswagen transporter i skręcił w stronę chłopców. Kobieta za kierownicą zamaskowała się za pomocą baseballówki i ciemnych okularów. Samochód zatrzymał się przy windzie, po czym otworzyły się tylne drzwi. Zgodnie z poleceniem James i Kyle wgramolili się do środka i położyli na blaszanej podłodze.

- Plecaki! - krzyknęła jakaś kobieta, a ktoś inny zatrasnął drzwi, pogrążając kabinę w ciemności.

Kiedy samochód ruszył, Kyle spróbował się rozejrzeć. Zerknął w górę.

- Twarzą w dół, dzieciaku! - wrzasnęła kobieta i chcąc podkreślić wagę swoich słów, przygrzmociła gланem w podłogę tuż przed głową Kyle'a.

Podczas gdy volkswagen kluczył w labiryncie alejek i ramp, zmierzając do wyjazdu z parkingu, jedna z kobiet w kabinie ładunkowej włączyła lampkę na suficie, po czym obie usiadły na przymocowanych do ściany składanych siedziach i zaczęły gmerać w plecakach chłopców.

- Zeszyt do prac domowych - powiedziała ta, której trafił się plecak Jamesa. - To budzi wspomnienia. Długopisy, książki, telefon komórkowy...

Kobieta otworzyła telefon i zaczęła przeglądać listę kontaktów. Jak zawsze James miał specjalną kartę SIM przygotowaną na potrzeby misji, niezawierającą numerów jego przyjaciół ani łączników z kampusu. Po skontrolovaniu obu telefonów kobieta wyłączyła je, by uniemożliwić ich namierzenie.

- Przypuszczam, że jesteś trochę za młody na tajniaka. - Kobieta uśmiechnęła się, zapinając plecak Jamesa. - Teraz obaj usiądźcie twarzą do tylnych drzwi i rozbierzcie się do spodenek. Nie próbujcie na nas patrzeć, chyba że chcecie skończyć z moim butem w tyłku.



Rozbieranie się nie było łatwe, ponieważ furgonetka nieustannie hamowała i ruszała, przedzierając się przez gęsty ruch uliczny. Kobiety odbierały od chłopców kolejne rzeczy, przeszukiwały kieszenie i po przewróceniu na lewą stronę odrzucały na bok. Chłopcy nie mogli widzieć, dokąd jada, ale jeszcze zanim pozwolono im się ubrać, samochód najwyraźniej wydostał się z centrum miasta, bo pomknął z całkiem słuszną prędkością jakąś prostą i pustą drogą.

Piętnaście minut później furgonetka zjechała z szybkiej drogi, z pluskiem rozjeżdżanego błota pokonała kilka zakrętów i wreszcie znieruchomiła.

Jedna z kobiet rzuciła chłopcom opaski. Kiedy zawiązali je sobie na oczach, poprowadzono ich błotnistą ścieżką do budynku, w którym odgłos ich kroków nabrał dźwięcznego pogłosu.

Ktoś zdał im opaski, ale musiało minąć pół minuty, nim oczy chłopców przywykły do płynącego z góry jaskrawego światła. Znajdowali się w przestronnej hali z pustaków z wielkimi świetlikami w dachu. James domyślał się, że budynek powstał dla jakiejś małej fabryki.

Kobiety nie należały do drobnych, ale nie były też masywne. Nosiły spodnie i glany, a zanim zdjęły chłopcom opaski, wszystkie trzy włożyły kominiarki. James spostrzegł ze zdumieniem, że najwyższa z nich, stojąca w środku, mierzy mu w pierś z pistoletu.

- James, Kyle - powiedziała uroczyście z nutką amerykańskiego akcentu głósie. - Dziękuję wam, że przyszliście. Przykro mi, że musiałyśmy potraktować was w taki sposób, ale policja i służby specjalne są cięte na takie grupy jak nasza i dlatego musimy pilnie strzec naszej tożsamości. Dla celów tego spotkania możecie nazywać mnie Jo, choć nie jest to moje prawdziwe imię.

James i Kyle przyjęli od bojowniczek po małej butelce wody mineralnej. W furgonetce było gorąco jak w piecu, więc niezwłocznie

odkręcili korki i zaczęli łapczywie pić, jednocześnie obserwując pistolet.

- Jesteście z OWZ, tak? - zapytał James po chwili.

- Niektórzy z nas podejmowali kiedyś działania pod tą nazwą - przytaknęła Jo. - Ale to już przeszłość. Zakładamy nową organizację: Armię Wyzwolenia Zwierząt. Jeżeli naprawdę wierzycie w wyzwolenie zwierząt, to prawdopodobnie najlepsza okazja, jaka kiedykolwiek wam się trafi, żeby coś zrobić w tej sprawie.

- Czy ten pistolet jest naprawdę konieczny? - zapytał Kyle lekko zirytowanym tonem. - Może obejrzałem zbyt dużo filmów o ludziach zastrzelonych przypadkiem, ale trochę się niepokoję.

- Nie miej mi tego za złe. Ktoś słyszał, jak wasza siostra wspominała, że obaj macie czarny pas w karate - powiedziała Jo. - Uważaj to za komplement: trzymam ten pistolet tylko dlatego, że w starciu wręcz moglibyście nas pokonać.

- Nie mogłabyś przynajmniej wycelować go w ziemię? - poprosił Kyle.

Jamesowi wydało się, że twarz Jo pod kominiarką ułożyła się w coś na kształt uśmiechu. Kobieta opuściła broń.

- Wasz ojczym Ryan Quinn stosował mądrą taktykę i dbał o to, by jego Zebra 84 pozostała małą grupą. Werbowanie członków jest najbardziej ryzykowną częścią działalności każdej organizacji antyrządowej. Im mniej rekrutujesz, tym dłużej działasz. Ale rzecz jasna, ten sposób ma też swoje wady.

- Nie da się dużo zrobić, nie mając ludzi - wtrącił James.

- Właśnie. - Jo skinęła głową. - Jesteśmy częścią nowej organizacji, która zamierza podnieść poprzeczkę dla ruchu wyzwolenia zwierząt. Przygotowujemy spektakularną, prawdopodobnie najbardziej wyrafinowaną akcję wyzwolicielską w historii. Potrzebujemy do niej silnych wysportowanych ludzi takich jak wy,

a jeśli odniesiemy sukces, pomożecie w nadaniu naszej sprawie bezprecedensowego światowego rozgłosu.

- No dobra, co to za genialny plan? - zapytał obcesowo James, dobrze wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi.

- Obawiam się, że szczegóły będę mogła zdradzić dopiero bezpośrednio przed operacją, ale będę z wami szczerą. Akcja, którą planujemy, jest ogromnie ryzykowna. Jestem przekonana, że mój plan zadziała, ale nie zamierzam ukrywać przed wami potencjalnych niebezpieczeństw. Jeśli ktoś z was da się złapać, najpewniej zostanie oskarżony o działania terrorystyczne i skazany na wiele lat więzienia. Obaj jesteście bardzo młodzi. Czy taka możliwość na pewno was nie zniechęca?

Kyle wzruszył ramionami, choć minę miał nietęgą.

- W sumie nie ma dymu bez ognia, nie?

- Czy Tom i Viv też wezmą w tym udział? - zapytał James.

Jo skinęła głową.

- Obaj zgodzili się z nami pracować.

- Jeśli Tom i Viv w to weszli, to ja też.

- To dobrze, że obaj jesteście entuzjastycznie nastawieni - powiedziała Jo z uśmiechem. - Jednak przy tak skomplikowanych i niebezpiecznych operacjach kluczową sprawą jest absolutne zaangażowanie każdego członka zespołu. Muszę mieć pewność, że nie wycofacie się pod wpływem stresu, i dlatego poddam was sprawdzianowi.

- Jakiemu sprawdzianowi? - zapytał James.

- Jeśli przyjmiecie nasze zaproszenie do organizacji, wyznaczymy wam zadanie do wypełnienia wraz z Tomem i Vivem. Zadanie będzie ryzykowne, ale proste. Jeśli wykonacie je jak należy, zostaniecie uznani za pełnoprawnych członków grupy i może nawet zobaczycie nasze twarze.

- Brzmi fair - powiedział James.

- To jak, opowiecie nam o tym zadaniu teraz czy...? - zapytał Kyle.

Jo potrząsnęła głową.

- Koleżanki odwiozą was do miasta i odezwiemy się do was w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Chcę, żebyście obaj poważnie zastanowili się nad tym, o co was prosimy. Jeśli ogarną was jakiegokolwiek wątpliwości, powiecie słowo i będziecie mogli odejść. Ale jeśli zdecydujecie się wstąpić do grupy, oczekuję, że wasze zaangażowanie będzie całkowite. Gdyby któryś z was stchórzył i zawalił ważną operację, nie mielibyśmy wyboru, jak tylko zabić go dla zachowania bezpieczeństwa pozostałych. Czy jest to dla was jasne?

James i Kyle pokiwali głowami.

- Mamy ich zabrać do samochodu? - zapytała jedna z pozostałych kobiet.

Jo skinęła głową, ale nagle zmieniła zdanie. Postąpiła o krok do przodu i wycelowała pistolet w czarne sportowe buty Jamesa.

- Czy to skóra? - zapytała oskarżycielsko.

- No tak. Nasza mama nigdy nie jadła mięsa, ale weganami zostaliśmy dopiero, gdy zamieszkaliśmy z Ryanem.

Jo pokręciła głową z pogardą.

- Jeszcze raz zobaczę cię z kawałkami martwej krowy na stopach, to jak słowo daję, odstrzelę ci pieprzone palce.

## 24. SEKRET

Zara zadzwoniła do Laury, kiedy ta jechała autobusem ze szkoły, i powiedziała jej, by tego dnia nie przyjeżdżała do domu Stuarta. Klops jak zwykle przywitał swoją małą panią opętańczym szczekaniem i merdaniem, ale tym razem został zignorowany, a Laura popędziła do kuchni, by dowiedzieć się, o co cały ten szum.

- Nie do wiary - powiedziała i wyszczerzyła się radośnie, kiedy zdano jej relację z najświeższych wydarzeń. Nagle mina jej zrzędnęła. - Kurczę, szkoda, że nie ma w tym miejsca dla mnie.

James, Kyle i Zara pochylali się nad kuchennym stołem, na którym rozpostarli mapę Bristol i okolice. Chłopcy usiłovali odgadnąć, dokąd zawiozły ich bojowniczkę, odtwarzając w pamięci liczbę pokonanych zakrętów, rodzaje dróg oraz czas spędzony w furgonetce.

Kłopot polegał na tym, że w Bristolu spotykają się M4, M5, jak również sieć pomniejszych dróg, które wprowadzają ruch na mosty wiodące do Walii. Furgonetka mogła bez trudu zjechać w jeden ze zjazdów i zawrócić tak, by chłopcy nawet tego nie zauważyli, dlatego pewne było jedynie to, że w ciągu dwudziestu pięciu minut jazdy nie oddalili się od centrum miasta na więcej niż trzydzieści kilometrów.

- Zapamiętaliście numery furgonetki? - zapytała Laura.
- No pewnie - obruszył się James.

- Może złapał ją jakiś fotoradar na autostradzie.

Zara skinęła głową.

- Możemy przepuścić numer przez oprogramowanie do rozpoznawania tablic, ale musimy puścić oficjalną prośbę odpowiednimi kanałami MI5. Na wyniki poczekamy dwa lub trzy dni, a poza tym ten sposób bywa mało skuteczny, zwłaszcza w tak gęstym ruchu, jaki mamy tutaj.

- Te kobitki wiedziały, co robią - powiedział James. - Rejestracja to najbardziej oczywisty sposób na ich wytropienie. Założę się o jedno jądro, że samochód był na lewych blachach i że dziewczyny zmieniły je, kiedy tylko wysadziły nas w centrum.

- Budynek, jaki opisaliście, jest dość charakterystyczny - powiedziała Zara. - Był w miarę nowy i nieużywany. Poproszę jednego z moich asystentów w kampusie, żeby podzwonił do agencji nieruchomości i sprawdził, czy w swoich księgach nie mają czegoś, co pasowałoby do waszego opisu. Jeśli to nie zadziała, pojeżdżą po lokalnych urzędach gminy i poszukają wniosków budowlanych na podobne obiekty, zbudowane w ciągu, powiedzmy, ostatnich dziesięciu lat.

- Długo to potrwa? - zapytała Laura.

Zara wzruszyła ramionami.

- Kilka dni, może tygodni. Myślę, że sytuacja będzie rozwijać się zbyt szybko, by ta informacja zdążyła się nam do czegoś przydać, ale nie wiemy tego na pewno.

James spojrzął na siostrę.

- Mówiliśmy ci, dlaczego Jo przez cały czas trzymała nas na muszce?

Laura potrząsnęła głową.

- Bo ktoś z jej współpracowników podsłuchał, jak mówisz komuś, że ja i Kyle mamy czarny pas.

- Ouu. - Laura zmarszczyła brwi zaintrygowana. - To musiał być ktoś, z kim rozmawiałam przy bramie Malarek Research.

Ale kto z tej bandy kanapkotermosiarzy mógłby zadawać się z ekstremistami?

- Im więcej czasu z nimi spędzasz, tym większa szansa, że się tego dowiesz - powiedziała Zara. - Jaki z tego wniosek? Że chociaż twoja część zadania nie jest najbardziej spektakularna na świecie, to nie jest to powód, żeby chodzić i marudzić, że to strata czasu.

- Będzie ubaw. - Laura uśmiechnęła się z przekąsem. - Jak jeszcze raz usłyszę historię o operacji prostaty albo jaką to jestem kochaną małą dziewczynką...

- Nam też nie jest do śmiechu - przerwał jej James. - Wiem, że robimy postępy, ale to wcale nie wygląda różowo. Nie znamy ludzi, dla których mamy pracować. Nie mamy pojęcia, kiedy zostaniemy wysłani na próbę ani na czym ma ona polegać. Z tego, co wiemy, pewnie każą nam kogoś skatować albo coś jeszcze gorszego.

Ryle skinął głową.

- A jeśli Viv pójdzie z nami, sytuacja może łatwo wymknąć się spod kontroli.

Perspektywa współpracy z Vivem wyraźnie zepsuła Jamesowi nastrój.

- Ten koleś mnie przeraża - powiedział ponuro. - Nawet jeśli każą nam zrobić coś w miarę prostego, z tym świrem to może skończyć się dziesięć razy gorzej.

Zara wyglądała na zatroskaną.

- Wszystko zależy - powiedziała po chwili namysłu. - Jeżeli każą wam kogoś zabić, wtedy - rzecz jasna - musicie się wycofać. Jeśli wybijanie okien i sprayowanie murów wystarczy do zapewnienia wam wstępu do tej tajemniczej grupy, wtedy oczywiście robicie to. Kłopot w tym, że pomiędzy tymi dwiema skrajnościami jest wielka szara strefa. Będziecie zdani na własny rozsądek i ocenę sytuacji.

- Przy odrobinie szczęścia to może być blef - zauważyła Laura. - Pamiętajcie, jak James i Kerry byli na tej misji narkotykowej?

Wysłali ich niby z dostawą kokainy, ale okazało się, że to tylko nieszkodliwy biały proszek. Kyle pokiwał głową i westchnął.

- Miejmy nadzieję.

\*

Opiekunem rocznika Jamesa był Australijczyk o nazwisku Snów, nauczyciel WF-u paradujący po szkole w szortach, straszący uczniów nienaturalnie szerokim uśmiechem i włochatymi nogami. Należał do tego typu nauczycieli, w których zakochują się dziewczęta, a chłopcy uważają za dupków. James i Zara mieli przyjść do niego na rozmowę z samego rana we wtorek.

- Chodzisz do tej szkoły dopiero od miesiąca - powiedział Snów, pochylając się nad biurkiem i przyglądając Jamesowi zza złożonych w wieżyczkę dłoni. - Dwa przypadki wagarowania w tak krótkim czasie to niedopuszczalne.

James miał to gdzieś, bo Zara akceptowała jego postępowanie, ale oboje musieli udawać normalną rodzinę.

- Po przeprowadzce do wioski James miał spore trudności z przystosowaniem się do nowego środowiska - wyjaśniła Zara. - A wczoraj zadzwonił do niego starszy brat, który przeżywał kryzys z dziewczyną.

Grymas pana Snowa mówił: „Ja wiem lepiej”.

- W tej szkole, tak samo jak w każdej innej, o jakiej słyszałem, telefony komórkowe należy wyłączać na czas lekcji. Jeżeli zaistnieje pilna potrzeba, byś opuścił szkołę podczas godzin lekcyjnych, właściwa procedura jest następująca: rodzic lub opiekun telefonuje do szkolnej sekretarki, która wywołuje cię z klasy. Następnie razem z panią sekretarką zgłaszacie się do kogoś z kierownictwa, kto decyduje o wydaniu pozwolenia na opuszczenie szkoły. Czy wyraziłem się jasno, James?

- Tak, proszę pana. - James skinął głową.



- Wiem, że jesteś tu nowy, i rozumiem, że możesz mieć kłopoty z odnalezieniem się w nowym otoczeniu. Jednakże szkoła stosuje politykę zera tolerancji dla wagarowiczów i nie mogę pozwolić, by twoi koledzy z klasy zobaczyli, że takie zachowanie uchodzi ci na sucho. Dlatego też proponuję, żebyś przyjął zawieszenie w prawach ucznia na pozostałe trzy dni roku szkolnego.

James z najwyższym trudem powstrzymał się od uśmiechu. Obawiał się kozy po szkole, ale zawieszenie było wprost idealne. Zwłaszcza przy tak pięknej pogodzie.

- Mam nadzieję, że we wrześniu wrócisz do nas z lepszym nastawieniem. W następnej klasie przygotowujecie się do małej matury i chyba nie muszę cię przekonywać, że będzie to bardzo ważny rok dla twojej edukacji.

Wychodząc z Zarą ze szkoły, James wprost promieniał radością. Na szkolnym parkingu nie wytrzymał, zerwał krawat i zakręcił nim młynka nad głową. Istniało niewielkie ryzyko, że będzie musiał wrócić do szkoły, jeżeli operacja przeciągnie się poza najbliższe siedem tygodni, ale nie wydawało się to prawdopodobne.

- Laura ma jeszcze trzy dni szkoły - triumfował James. - Oszałeje, jak się dowie, że mnie zawiesili.

- Spróbuj wyglądać mniej na zadowolonego pawiana, a bardziej na zwykłego chłopaka, który właśnie wpakował się w poważne kłopoty - poprosiła Zara zmęczonym głosem.

Lubiła Jamesa, ale czasem bywał irytująco dziecinny.

James zrozumiał, że Zara ma słuszość, i przestał się wygłupiać, choć nie miało to już wielkiego znaczenia, bo właśnie dotarli do samochodu.

Kiedy wyjechali na drogę, Zara usłyszała sygnał swojego telefonu. Odruchowo sięgnęła na półkę między fotelami, ale przypomniała sobie, że komórka została w lnianej kurtce rzuconej na środkowy rząd siedzeń.

- Podaj mi telefon, dobrze? - poprosiła Jamesa, który siedział obok niej.

James sięgnął między oparcia i wyłuskał komórkę z kurtki. Dzwoniła już od wieków, więc pomyślał, że lepiej sam odbierze.

- Telefon Zary... Zaczekaj chwilę. To Ewart.

- Poczekaj, bo jadę - powiedziała głośno Zara, odbierając Jamesowi aparat.

Nie lubiła rozmawiać, prowadząc, więc zatrzymała samochód na poboczu i dopiero potem podniosła telefon do ucha.

- Co tam...? Och, już przyszło - powiedziała, a w jej głos wkradło się drżenie. - No i co, dobre wieści czy...? Tak, głupku jeden, oczywiście, że masz otworzyć.

James był zaintrygowany, chociaż nie miał pojęcia, o czym Zara mówi.

- O Boże, nie wierzę - zachłysnęła się Zara. - Tak!

James z przerażeniem patrzył, jak jego koordynatorka podsłakuje dziko w fotelu. Jej oczy zaszkliły się od łez.

- Nie sądziłam, że w ogóle mam szansę. W moim wieku? Z dwójką tak małych dzieci...? No mów, kiedy?

Rozmowa ciągnęła się jeszcze przez minutę i zakończyła czułą wymianą „kochamciów”.

- Znów jesteś w ciąży? - zapytał James, podając Zarze chusteczkę ze schowka, by mogła osuszyć oczy.

Zara zachichotała i siąknęła nosem.

- Nie. Cóż... Chyba zasługujesz na wyjaśnienie po takim przedstawieniu, ale proszę, nie rozpowiadaj o tym w kampusie. Nie mów nawet Kyle'owi ani Laurze.

James skinął głową, siłąc się na obojętną minę, choć tak naprawdę pękał z ciekawości.

- Pamiętasz, jak pojechałam do kampusu w dniu, w którym Laura uratowała Klopsa?

- Tak, na jakieś spotkanie z kierownictwem czy coś.

- Cóż, to nie do końca prawda. - Zara uśmiechnęła się. - Byłam na rozmowie w sprawie pracy.

- Pracy?

- Na początku nawet nie zamierzałam się zgłaszać. Jest sporo bardzo mocnych kandydatów, a ja myślałam, że jestem za młoda, a dwójka małych dzieci zadziała na moją niekorzyść. Jednak Ewart zdołał mnie namówić. Powiedział, że przynajmniej wyniosę z tego cenne doświadczenie, jeżeli nie coś więcej...

James zmartwił ogarnięty straszliwym przeczuciem, że Zara odchodzi z CHERUBA, ale w następnej chwili skojarzył jej podanie o pracę z tym jedynym stanowiskiem, o którym wiedział, że niebawem zostanie zwolnione.

Wziął głęboki wdech.

- Jesteś nowym prezesem CHERUBA?!

- Jeszcze nie. - Zara machnęła ręką. - Rozmawiali z ośmioma kandydatami. Ewart zadzwonił, żeby powiedzieć mi, że znalazłam się w finałowej dwójce. W następny wtorek jadę do Londynu na rozmowę pod Dziesiątką.

- Downing Street?

Zara kiwnęła głową.

- Ostateczną decyzję podejmie trzyosobowa komisja: doktor McAfferty, premier i minister służb wywiadowczych.

James szczerze cieszył się razem ze swoim ulubionym członkiem kadry CHERUBA.

- Nie mogę uwierzyć, że trzymałaś to w tajemnicy tak długo - wyszczerzył się radośnie. - Naprawdę mam nadzieję, że dostaniesz tę fuchę. Kim jest drugi kandydat?

Zara poruszyła się niespokojnie.

- Cóż, w tym cały kłopot. To niejaki Geoff Cox, człowiek z zewnątrz, bez żadnego doświadczenia w CHERUBIE, ale znacznie lepiej wykwalifikowany ode mnie. Ma ponad pięćdziesiąt lat, w latach siedemdziesiątych pracował jako agent wywiadu, a potem

odszedł, żeby zostać nauczycielem. Przez ostatnie siedem lat był dyrektorem jednego z najbardziej mrocznych londyńskich ogólniaków. Jakimś cudem przemienił go z mordowni w prawdziwą akademię naukowo-techniczną. Jeśli chodzi o wyniki egzaminów, to teraz jedna z najlepszych szkół w kraju.

- Brzmi to, jakby był jakimś debilem. - James skrzywił się i machnął dłonią. - Ja zagłosowałbym na ciebie.

- Większość ludzi nie uznałaby mnie za faworytkę, James, ale nigdy nie wiadomo. Nie sądziłam nawet, że dotrę do finału.

- Ale super, Zara. Chodzi o to, że teraz nie zasnę, bo ciągle będę myślał, czy dostaniesz tę pracę.

Zara wybuchnęła śmiechem.

- Ty nie będziesz mógł spać, James? Pomyśl, jak ja się czuję.

## 25. WEZWANIE

Był sobotni poranek. Laura w samej koszuli nocnej siedziała na kanapie w saloniku. Na kolanach trzymała miskę płatków, które pojadała w zamyśleniu, nie zwracając uwagi na telewizor brzęczący jakimś nudnym programem dla dzieci. Na poduszce obok niej przysypiał Klops. Nie zauważyła Jamesa i Kyle'a, kiedy ukradkiem zajrzeli do pokoju przez okno. Nie słyszała, jak wkradli się do domu tylnymi drzwiami, a potem w przedpokoju cichcem zdejmowali szorty, skarpety i koszulki.

Podsłoczyła na co najmniej pół metra, kiedy chłopcy wparowali z wrzaskiem do saloniku i zbombardowali ją pozwijanymi w kule ubraniami. Miska z płatkami wypadła jej z rąk.

- Przestańcie! - wrzasnęła, zrywając się z kanapy i patrząc na wielkie koło z mleka wsiąkającego jej w koszulę. - No co za kretyni!

James parsknął śmiechem.

- Ale miałaś minę. Klasyk!

Klops uznał, że pogoń za fruwającymi ubraniami to świetna zabawa, i z radosnym ujadaniem pognał wokół kanapy. W następnej chwili staranował zwisającą ze stolika koszulkę do biegania, a przednie łapy uwięzły mu w wycięciu na szyję. Kyle roześmiał się i przykucnął, by wyplątać psa.

- Wy... - ryknęła Laura, gniewnie celując w chłopców palcem, ale jednocześnie walcząc z rozbawieniem. – Miałam nacieszyć się

leniwą sobotnią poranną gnuchą, a teraz jestem cała mokra!

- Aaach! - jęknął James, nadając swojemu głosowi infantylnie szczebiotliwy ton. - Wiem, że moje słodkie siostrzątko nie może się gniewać na starszego braciszka. No chodź, daj buziaka.

Laura wyciągnęła ręce, by go powstrzymać.

- Ani mi się waż, James! Capisz jak kozioł.

James pomyślał, że Laura mogłaby naprawdę wybuchnąć, gdyby posunął się dalej, więc wycofał się i zaczął zbierać porozrzucone na podłodze rzeczy.

- Jak tam bieg? - zapytała Laura.

- Nieźle - pokiwał głową Kyle. - Zrobiliśmy jakieś siedem kilometrów wokół zakładów Malarek Research, przez pola i finiszowy sprint przez nową część wioski.

- Spodnie Stuarta ciągle wiszą na tamtym drzewie - dodał James.

- Trzeba było iść z nami - powiedział Kyle. - Niesamowite, jak szybko spada forma, kiedy jest się na misji i nie trenuje regularnie.

- No - przytaknął James. - Nie chcesz przecież dostać specjalnego programu kondycyjnego, kiedy wrócimy do kampusu. Wiesz, jacy walnięci są trenerzy.

- Wiem. - Laura skinęła głową. - Ale w przeciwieństwie do was, leserzy jedni, ja chodziłam do szkoły przez cały tydzień i uważam, że zasłużyłam na jeden ranek przy telewizji i coco-pops.

- Następnym razem? - rzucił Kyle.

Laura skinęła głową.

- Jasne, czemu nie. Aha, Kyle - dodała. - Słyszałam twój telefon, jak byłam w łazience. Lepiej sprawdź pocztę głosową.

- Dobra, dzięki. Idź pierwszy pod prysznic, James. Zobaczę, kto dzwonił.

Chłopcy poszli na górę. James wyjął czysty ręcznik z szafki na korytarzu i zamknął się w łazience, a Kyle wszedł do sypialni, przestąpił przez stos rzeczy Jamesa i wziął z parapetu swoją komórkę.

Dwa nieodebrane połączenia od Toma. Kyle miał nadzieję, że chodzi o zaproszenie na wspólne oglądanie filmu wieczorem lub coś w tym rodzaju, ale wciskając przycisk Połącz, coś sobie uświadomił: Tom i Viv żyli po kawalersku, imprezowali do białego rana, a w weekendy nigdy nie rozpoczynali dnia przed południem.

- Kyle, słońce! - zawołał Tom z przesadną afekcją.

- Zadzwonili do ciebie nasi kumple terroryści, co?

- Skąd wiesz?

- Pierwsze nieodebrane połączenie mam z dziewiętej czterdzieści trzy. O tej porze zwykle jesteś nieprzytomny i raczej niezdolny do wykonywania telefonów.

Tom nagle spowaźniał.

- Dostałem instrukcje, ale jest potężny zgrzyt. Wczoraj Viv zabrał Sophie do jakiejś nowej wegańskiej knajpy. Całą noc przesiedział w kiblu i jeszcze teraz go nosi.

- Powiedziałeś im to?

- Tak i baba prawie odgryzła mi ucho: „Oczekujemy wyników, nie wymówek. Jeśli nie umiecie poradzić sobie z drobną operacyjną wpadką, to nie ma dla was miejsca w naszej organizacji”. A potem trzasnęła słuchawką.

Kyle z ulgą przyjął wiadomość o niedyspozycji Viva, ale nie mógł się z tym zdradzić przed Tomem.

- Cóż, ja i James właśnie wróciliśmy z biegu, więc jesteśmy rozgrzani i w dobrej formie. Co jeszcze powiedziała?

- Niewiele. Wiesz, jacy są ostrożni. Rozmowa nie trwała nawet minuty. Kazała nam podjechać na stację Rigsworth przy M5. O szóstej po południu mamy być w barze.

- Ktoś się z nami spotka? - zapytał Kyle.

- Nie wchodziła w szczegóły, powiedziała tylko, że nie możemy się spóźnić. Do Rigsworth mamy tylko godzinę drogi, ale damy sobie pół godziny zapasu na wypadek korków. Wezmę merca Viva i podjadę po was około wpół do piątej.

\*

Tom zdał egzamin na prawo jazdy zaledwie kilka miesięcy wcześniej i wyglądał na spiętego, gdy siedział za kierownicą mercedesa, dwa razy większego od jego MG. Trzymał się najwolniejszego pasa i denerwował za każdym razem, kiedy musiał wyprzedzić traktor albo ciężarówkę.

Był to pierwszy weekend wakacji. Pół kraju ruszyło w trasę i stacja okazała się piekłem na ziemi. Tom musiał krążyć po parkingu dziesięć minut, zanim znalazł miejsce. W środku musieli stać w kolejce do toalety, restauracja była zapchana po brzegi i wydawało się, że każdy dzieciak w lokalu drze się z powodu czegoś, co zrobił jego brat albo czego nie pozwolono mu kupić w sklepiku. Ostatecznie Kyle kupił w automacie trzy butelki wody mineralnej i chłopcy usiedli na wyłożonym płytkami parapecie pod tylnym oknem restauracji. Telefon Jamesa zadzwonił punktualnie o szóstej.

- Jak leci, młody? - zapytał kobiecy głos.

Rozmówczyni nie przedstawiła się, ale James poznał, że to jest Jo.

- Nie najgorzej - powiedział. - Co teraz? Spotykamy się z kimś czy jak?

- Spotykacie się ze starym znajomym, można tak powiedzieć. Idźcie na parking, rząd G, trzecie miejsce od końca. Kluczyki są przyklejone pod błotnikiem po stronie kierowcy. W środku znajdziecie instrukcje i sprzęt.

Telefon zamilkł. James wsunął go do kieszeni swoich czarnych spodni od dresu, po czym wstał i wyprowadził chłopców na zewnątrz. Ruszyli w stronę ciepłego przedwieczornego blasku, klucząc między



samochodami krążącymi wokół parkingu.

- Arrrr, oto i nasza łajba, druhowie moi - zawarczał bez sensu James na widok czerwonego transportera.

Był to ten sam samochód, którym jechał z Kyle'em trzy dni wcześniej, jednak dolna połowa nadwozia była teraz pomalowana na kanarkowo, a oba boki i tył zdobiły napisy: „Rapid Trak - specjalistyczne usługi kurierskie”.

James sięgnął pod błotnik i rzucił kluczyk Kyle'owi. Tom poczuł się lekko dotknięty.

- Myślałem, że ja prowadzę.

- Bez obrazy, ślicznotko, ale jeździsz jak moja babcia - uśmiechnął się Kyle.

Wcisnęli się do szoferki: Kyle usiadł za kierownicą, Tom w środku, a James przy lewych drzwiach. James otworzył schowek i na kolana wysypała mu się sterta dokumentów.

- Ożeż cholera jasna - jęknął i zaczął zbierać papiery z winylowej podłogi.

Pierwszym, co wpadło mu w ręce, była ulotka reklamowa Rapid Trak: „Czy jest to ludzka nerka, nadwymiarowe dzieło sztuki, czy sześciopiętrowy tort weselny, Rapid Trak dostarcza niedostarczalne od ponad trzydziestu lat”. O tym, że firma jest godna zaufania, miała świadczyć fotografia lekarza w białym kitlu szczepiącego dziecko w towarzystwie atrakcyjnej pielęgniarki z czerwono-żółtą paczką Rapid Trak w dłoniach.

Następny dokument podniesiony z podłogi okazał się mapą Walii. Była złożona, ale przez papier przeświecały nakreślone grubym markerem linie - zapewne wytyczona trasa. Następna była duża koperta z odręcznym napisem: „Przeczytaj mnie!!!”.

James oderwał samoprzylepną zakładkę i wyjął cztery identyczne pliki kartek, każdy spięty zszywaczem. Dwa wręczył Kyle'owi i Tomowi, po czym zaczął czytać:

Cześć, chłopcy!

Dziś rozpoczyna działalność nowa grupa obrońców praw zwierząt. Wasza akcja będzie jedną z trzech zsynchronizowanych operacji przeprowadzonych pod sztandarem Armii Wyzwolenia Zwierząt. Niniejsze dokumenty zdradzają Wam wszystkie szczegóły, jakie musicie znać, by przeprowadzić udaną akcję. Potrzebny sprzęt znajdziecie z tyłu furgonetki.

W ciągu minionych trzech lat ruch wyzwolenia zwierząt wywierał nacisk na międzynarodowe przedsiębiorstwa spedycyjne, w wyniku czego wszystkie zgodziły się wstrzymać obsługę zakładów Malarek Research na terenie Zjednoczonego Królestwa. Jednak firma Rapid Trak odmówiła nawet spotkania z przedstawicielami Przymierza Zebra i nadal wykonuje przewozy, transportując między innymi żywe myszy i ptaki, które wykonywane są w testach i eksperymentach.

W marcu 2006 roku Rapid Trak zakupił nawet specjalną nieoznakowaną furgonetkę, by móc kontynuować swoją jakże intratną współpracę z Malarkiem. Firma jest ostatnim pewnym serwisem kurierskim dostępnym dla Malarek Research i jednym z kluczowych przedsiębiorstw, dzięki którym laboratoria mogą jeszcze funkcjonować. Nasza akcja pokaże zarządowi Rapid Trak, że czerpanie zysków z cierpienia zwierząt jest niedopuszczalne.

Przeczytajcie resztę wskazówek jak najuważniej, zwracając szczególną uwagę na fragmenty dotyczące materiału DNA, odcisków palców i innych śladów biometrycznych, jakie moglibyście pozostawić na miejscu akcji, a także bezpiecznego zniszczenia Waszego pojazdu.

Powodzenia. Zespół AWZ

## 26. NAPALM

Volkswagen zatrząsł się, wpadając w dziurę na słabo oświetlonej dwupasmówce. James i Tom siedzieli w części bagażowej, pocąc się obficie w kominiarkach i jednorazowych rękawiczkach. Jakby mało było niewygód, z przyspawanej do podłogi beczki z napalmem sączyła się dusząca woń benzyny.

- Oglądałeś Czas apokalipsy? - zapytał Tom.

- Chyba nie - odpowiedział James.

- W pewnej scenie podpalają dżunglę z samolotów, a jeden walnięty pułkownik bierze głęboki wdech i mówi: „Uwielbiam zapach napalmu o poranku”.

James uśmiechnął się, choć przez kominiarkę Tom nie mógł tego zobaczyć.

- Dobry film?

Tom pokiwał głową.

- Mam na DVD. Jeśli nie wylecimy dzisiaj w powietrze, mogę ci pożyczyć.

- Dzięki. Są wakacje, więc będę miał mnóstwo czasu do zabijania.

James czuł, że Tom darzy go sympatią, a moment wydawał się odpowiedni do zadania lekko sondującego pytania.

- Ciekawe, skąd AWZ wzięła napalm. Jak myślisz?

Tom wzruszył ramionami.

- Pewnie własnej roboty. Raz Viv znalazł przepis na napalm w internecie i nawet chcieliśmy zrobić sobie trochę, ale nic z tego

nie wyszło. To tylko benzyna ze środkiem żelującym.

- Nie wiedziałem - skłamał James.

- Jak chcesz coś spalić, napalm jest najlepszy. Benzyna pali się tak szybko, że wypala się, zanim cokolwiek innego zdąży się zająć ogniem. Napalm lepi się do wszystkiego, a pali się wolno i w wysokiej temperaturze.

Na szkoleniach James uczył się o napalmie i wielu innych rodzajach środków zapalających używanych przez terrorystów, ale starał się wyglądać na stosownie zafascynowanego wiedzą starszego kolegi.

- A dlaczego nic z tego nie wyszło?

Tom uśmiechnął się kącikiem ust.

- Po pierwsze, to paskudnie łatwopalna rzecz. Wystarczyłaby jedna iskra, żeby cała ta beka wyleciała w powietrze. Po drugie wizja mojego brata biegnącego po mieście z napalmem nie należy do pociągających.

- Viv to wariat - zachichotał James. - To znaczy nie obraź się...

- Nie obrażam się. To wariat, ale też najlepszy brat świata. Nasza rodzina to cyrk dziwołagów, ale ja i Viv trzymaliśmy sztamę od małego.

James i Tom obejrzeni się jednocześnie, kiedy Kyle odsunął niedużą klapkę pomiędzy kabiną kierowcy a częścią bagażową.

- Kończcie gadkę - powiedział Kyle. - Widzę już bazę Rapid Trak.

- Jasne. - James skinął głową.

- Powodzenia, stary - dodał Tom. - Nie strać głowy.

Kyle czuł się tak, jakby prowadził od wieków. Jazda od przedmieść Bristolu do bazy Rapid Trak w Wrexham w północnej Walii nie powinna trwać dłużej niż trzy i pół godziny, ale wakacyjny ruch skutecznie zakorkował drogi. Była już pierwsza w nocy. Kolana i kostki bolały go od naciskania pedałów i tylko lęk przed

tym, co mieli niebawem zrobić, chronił go przed zaśnięciem za kierownicą.

Mimo to zdawał sobie sprawę, że mogło być o wiele gorzej. Zadanie wyznaczone przez AWZ polegało na niszczeniu mienia, ale bez celowego krzywdzenia ludzi, a nieobecność Viva była prawdziwym błogosławieństwem losu.

Po skręcie na wyludnione osiedle przemysłowe furgonetka minęła dwa podświetlone znaki Rapid Trak ustawione przed nowoczesnym ceglany budynkiem sortowni. Baza działała przez okrągłą dobę siedem dni w tygodniu, ale w weekendy pracowała na pół gwizdka obsadzona tylko przez załogę podstawową i na parkingu dla ponad stu aut stało ich mniej niż tuzin.

Kyle pojechał dalej pustą drogą i minąwszy parking, dotarł do mniejszego znaku pokazującego drogę do zajezdni Rapid Trak. Kiedy zatrzymał się przed szlabanem, z budki strażnika wyszła uśmiechnięta kobieta w średnim wieku ubrana w czarny mundur służb ochrony. Kyle opuścił szybę.

- Co z tobą? - zapytała kobieta. - Myślałam, że ostatni kierowca miał zjechać o dziewiątej.

- Miałem zjechać o ósmej - skłamał Kyle, udając zdenerwowanego. - To przez te głupie wakacje. A49 cała stoi. W życiu nie widziałem takiego korka.

- Jesteś tu nowy, co? - bardziej stwierdziła, niż zapytała strażniczka. - Jestem Eileen Rice. Nie wydaje mi się, żebym cię tu kiedyś widziała.

- Dopiero co skończyłem szkołę - powiedział Kyle. - Nazywam się Eric Cartman. Miło mi panią poznać.

- Mnie również jest miło, Eric - powiedziała Eileen, wracając do budki i wciskając guzik otwierający przejazd.

Szlaban uniósł się i chłopcy wjechali na parking zastawiony przez ponad sto pojazdów kurierskich: od wielkich tirów po dostawcze minivany, a wszystkie w firmowych barwach Rapid Trak.

Kyle zaparkował pomiędzy dwoma transporterami, takimi samymi jak ten, którym jechali, po czym wyskoczył z szoferki i otworzył przesuwne drzwi z boku samochodu, nadziewając się radośnie uśmiechnięte gęby Jamesa i Toma.

- Co was tak cieszy? - zdumiał się Kyle.

- Eric Cartman - powiedział Tom. - Bardzo sprytnie.

Kyle nadal nie rozumiał, więc James pospieszył z wyjaśnieniem.

- Eric Cartman, kleisz? Gruby dzieciak z South Parku.

- O cholera - jęknął Kyle. - Ale ze mnie pacan. A nawet pomyślałem, że coś jest nie tak z tym nazwiskiem, kiedy się przedstawiałem.

- Nie przejmuj się. - Tom machnął ręką. - Myślę, że ta babka woli wenezuelskie seriale od South Parku.

- Wydawała się całkiem miła - zauważył James, pochylając się do samochodu, by wziąć z podłogi nóż do tapet i dwie rolki dwustronnej taśmy klejącej.

- Nie rozczulaj się nad nią za bardzo - powiedział Kyle. - Ma przycisk alarmu i w razie czego nie zawaha się go użyć.

Kyle zapiął pod szyję czarną bluzę z kapturem, zamienił czapkę Rapid Trak na kominiarkę i sięgnął do furgonetki po gumowy wąż. Tymczasem Tom i James ruszyli truchtem w stronę szlabanu.

- Może mam seksistowskie odruchy, ale nie za bardzo mi to leży - wyszeptał Tom, podkradając się z Jamesem do budki strażniczki. - To tak, jakby kazali nam uciszyć czyjaś babcie.

Przez okna budki chłopcy obserwowali siedzącą w środku Eileen. Słuchała radia, ale jej uwaga skupiona była na magazynie z łamigłówkami.

- Ręce do góry! - Tom całkiem udanie odegrał rolę oprycha, wparowując do stróżówki i brutalnym szarpnięciem ściągając kobietę z krzesła.

Eileen krzyknęła i zasłoniła dłońmi twarz.

- Zamknij ryj, babo!

Tom postawił stopę na ramieniu strażniczki, przygważdżając ją do podłogi. James ukląkł obok, wepchnął Eileen w usta szmaciany knebel i owinał głowę taśmą, by nie mogła go wypluć. Kiedy się z tym uporał, sięgnął pod konsolę po jej torebkę i wyjął z niej pęk kluczy.

- Mam je - zameldował.

- Dobra, babciu - powiedział Tom, zdejmując stopę i demonstrowując swoją siłę, jedną ręką stawiając strażniczkę na równe nogi. - Przejdziemy się, tylko żadnych numerów.

- Jeżeli będziesz nas słuchać, nic ci się nie stanie - powiedział James, uznając, że powinien być Panem Dobrym, skoro Tom przyjął rolę Pana Złego.

Kobieta dygotała ze strachu, kiedy chłopcy prowadzili ją poza teren zajezdni, wzdłuż ogrodzenia z metalowej siatki, a potem do zarośniętego rowu przy granicy następnej posesji wyglądającej na nieczynny skład budowlany.

- Na ziemię! - rozkazał Tom, popychając kobietę na trawę.

Eileen położyła się twarzą w dół. James skrępował ją taśmą, łącząc kostki z nadgarstkami w taki sposób, by unieruchomiona strażniczka nie mogła się odtoczyć.

- Dobra - powiedział James, podając Tomowi kluczyki do samochodu Eileen. - Idź na parking i sprowadź jej wóz. Idę pomóc Kyle'owi z ogniem.

Tom wyszedł na opuszczoną drogę i udał się w stronę parkingu przed sortownią. James tymczasem wrócił do zajezdni, ale tuż za szlabanem uświadomił sobie, że nie pamięta, gdzie Kyle zaparkował furgonetkę.

- Hej, stary! - zawołał ostrożnie, próbując zwrócić uwagę kolegi, nie alarmując przy tym całej okolicy.

Kyle był tak blisko, że jego odpowiedź omal nie przyprawiła Jamesa o zawał. Siedział z tyłu samochodu na butli ze sprężonym

powietrzem, z węzem w ręku, gotowy do polewania napalmem.

- Podłączyłem to wreszcie - pochwalił się Kyle. - Chcesz prowadzić?

- Mogę - zgodził się James.

- I nie zapomnij zabrać plecaka, kiedy będziesz wysiadał.

James wspiął się na miejsce kierowcy i przekreślił kluczyk pozostawiony w stacyjce.

- Tylko powoli! - krzyknął Kyle, odkręcając zawór butli, by zwiększyć ciśnienie w zbiorniku. - Wolałbym nie oblać się tym świństwem.

James włączył pierwszy bieg i powoli ruszył, ostrożnie szukając punktu, w którym sprzęgło zaczyna łapać, i uważając, by nie zadławić silnika. Podczas gdy transporter toczył się z prędkością piechura, wychylony przez tylne drzwi Kyle wymachiwał węzem, polewając napalmem maski samochodów po obu stronach alejki. Pamiętał też, by zostawić szeroką strugę na asfalcie, żeby ogień mógł się rozprzestrzeniać.

Na placu były cztery alejki parkingowe, ale już w połowie trzeciej Kyle przegramolił się do przodu i załomotał w przegrodę szoferki. James zatrzymał się i spojrzał przez okienko.

- Ciśnienie mi spadło - poskarżył się Kyle. - Odkręciłem do końca, ale z węża ledwie cieknie. Lepiej polejmy samochód, póki w ogóle coś leci, bo tu wszystko jest w naszych odciskach palców.

- Słusznie. - James skinął głową.

Wyjął kluczyk ze stacyjki i poczuł przyływ współczucia dla furgonetki, która obróciła kołami po raz ostatni, choć na liczniku nie miała nawet trzech tysięcy kilometrów. Złapał plecak z rzeczami i wyskoczył na zewnątrz, wciągając pełną piersią smród żelowanej benzyny pokrywającej ponad sześćdziesiąt ciężarówek i furgonetek.



Żołądek podskoczył mu do gardła na myśl o tym, że był o jedną iskłę statycznej elektryczności od przemienienia się w słupek węgla. Kyle skierował wylot węża na samochód i spryskał go resztką napalmu.

- Aż łapy mi się trzęsą - powiedział James, uśmiechając się niepewnie do swoich gumowych rękawic. - Wynośmy się stąd. Masz te małe butelki?

Kyle skinął głową.

- I zapalniczkę też.

Chłopcy zawrócili w stronę bramy, ale rzut oka na jedyną drogę ucieczki zmusił ich do zatrzymania się i skrycia w mroku. Przy wjeździe nie było Toma ani samochodu strażniczki. Była za to furgonetka Rapid Trak czekająca za szlabanem z włączonym silnikiem oraz kierowca w firmowym uniformie stojący w stróżówce i rozmawiający przez telefon. Trzej inni pracownicy Rapid Trak szli już w jego stronę.

- O kuźwa - jęknął James. - I co teraz?

- Gdzie Tom? - zapytał Kyle, wodząc wzrokiem wzdłuż drogi.

- Albo dał się złapać, jak kradł furę, albo spekał, kiedy zobaczył furgonetkę i kierowcę z telefonem.

- Ekstra - sapnął ze złością Kyle.

- To jak? Wiejemy? - zapytał James.

- Nie mamy wyboru - stwierdził Kyle. - Jeśli nas wsadzą, będzie po misji, a poza tym nie zamierzam tkwić tu i czekać, aż się usmażę.

James i Kyle zdążyli nawet minąć budkę, zanim kurier w środku zauważył ich czarne sylwetki. Zaalarmowani okrzykiem trzech faceci puścili się w pogoń za chłopcami uciekającymi co sił w nogach środkiem opuszczonej drogi. Dwaj ścigający byli zbyt tłuści i słabi, by dogonić zbiegów, ale trzeci czarnoskóry olbrzym okazał się znakomitym biegaczem.

Nie przebiegli nawet trzystu metrów, kiedy wielkolud znalazł się dość blisko Jamesa, by móc powalić go silnym pchnięciem w plecy.

James runął na drogę, odruchowo osłaniając twarz dłońmi i rozszarpując na asfalcie gumowe rękawiczki. Ignorując ból w skrzyżowanej kostce, spróbował wstać, ale wprawnie wymierzone kopnięcie spadło mu na pierś, odbierając dech i posyłając z powrotem na ziemię.

Kyle zawrócił, pojawił się, że jego przyjaciel ma kłopoty, ale na widok czarnego wielkoluda w postawie bojowej uszło z niego powietrze. Facet był wielki, z pół metra wyższy od niego, i najwyraźniej umiał się bić.

Wybawienie nadeszło w samą porę, w postaci dwóch snopów światła wyłaniających się z rykiem z ciemności. Zza zakrętu wyskoczyła fiesta strażniczek, by z prędkością jakichś pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wbić się w olbrzyma. Mężczyzna przetoczył się przez maskę i gruchnął na ziemię z głuchym łoskotem budzącym paskudne skojarzenia.

James i Kyle na sekundę zastygli w osłupieniu.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon i na wstecznym podjechał do chłopców. Kyle złapał Jamesa za ramię, by pomóc mu wstać.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Nie mogę oddychać - wystękał James, przyciskając ręce do piersi. - Dostałem w żebra.

Kyle otworzył tylne drzwi fiesty i pomógł Jamesowi wgramolić się na kanapę.

- A ty gdzie się podziewał? - zapytał ze złością, wskakując na przedni fotel.

Tom wdusił gaz i autko ruszyło z kopyta.

- Czekałem w samochodzie przy bramie, ale zjawił się ten koło w furgonetce Rapid Trak - wyjaśnił Tom. - Zobaczyłem, że w budce nikogo nie ma, i zacząłem iść w moją stronę, więc odjechałem

i zrobiłem sobie przejażdżkę dookoła zakładu.

- Idiota - sapnął Kyle, zdzierając z głowy kominiarkę. - Był mniejszy od ciebie i miałeś przewagę zaskoczenia. Dlaczego go nie obezwładniłeś, zamiast dawać mu czas na wezwanie posiłków?

- Nie pomyślałem - wyznał Tom, skręcając w lewo i zatrzymując samochód na tyłach bazy Rapid Trak.

Czemu stanąłeś? - zdziwił się Kyle, ale zrozumiał, zanim usłyszał odpowiedź.

Uciekając w popłochu, zupełnie zapomniał, po co tu przyjechali. Otworzył okno, a drugą ręką wygrzebał z kieszeni bluzy dwie miniaturowe butelki po whisky. Każda była w jednej trzeciej napełniona oleistym napalmem i miała papierowy zwitek wetknięty w szyjkę.

- Trzymaj nogę na gazie, bo jak walnie...

Kyle wysunął się do połowy przez okno, podpalił papierowe strzępki i cisnął obie butelki za siatkowe ogrodzenie. W tej samej chwili Tom wcisnął gaz. Podczas gdy rozpędzał samochód, włączając kolejne biegi, Kyle i James gapili się za siebie.

Ale minęło dwadzieścia sekund i nic się nie wydarzyło.

- Zawracamy? - zapytał Tom, zwalniając.

- Przecież to niemożliwe! - krzyknął zirytowany Kyle. - Cały plac jest zalany benzyną.

Samochód zatrzymał się.

- Nie wierzę - powiedział Tom, miarowo uderzając głową o kierownicę.

- Teraz już nie możemy zawrócić - powiedział Kyle. - Gliny pewnie są już w drodze. To zbyt niebez...

Ostatnie słowo utonęło w huku. Niebo za samochodem rozbłysło pomarańczową łuną. Mały ford stał kilkaset metrów od zajezdni, ale i tak zakołysał się od gorącego podmuchu. Rozwrzeszczały się alarmy samochodowe, w okolicznych budynkach prysnęły

okna, a od ognia bił tak intensywny żar, że James czuł go na karku przez tylną szybę fiesty.

Przednie koła zapiszczały i samochód zaczął szybko nabierać prędkości. W chwili gdy wyjechali z osiedla przemysłowego na dwupasmową szosę, druga eksplozja posłała wieżę płomieni i dymu na pięćdziesiąt metrów w górę. Kiedy ucichł huk, w oddali dały się słyszeć syreny radiowozów.

## 27. POWRÓT

Dwadzieścia minut później James, Kyle i Tom zajechali przed dom z muru pruskiego stojący siedem kilometrów od Wrexham. Kiedy wjechali na podjazd, w garażu zapaliło się światło, a gdy już znaleźli się w środku, tyczkowi mężczyzna przebiegł za samochód i spiesznie opuścił w dół metalowe drzwi.

- Nikt was nie śledził po drodze? - zapytał wysiadających chłopców.

- Z tego, co wiem, nie - odpowiedział Tom.

- Jestem Mark - przedstawiła się tyczka. Kyle zauważył, że na rękach ma gumowe rękawiczki, a za paskiem krótkich spodenek nosi pistolet. - Zostawcie mapy, brudne rękawice i w ogóle wszystko, co wam daliśmy, w samochodzie. Muszę zmienić blachy, wywieźć go na drugą stronę miasta i spalić jeszcze przed świtem.

James skakał wokół samochodu na jednej nodze, podpierając się o ścianę garażu.

- Jak się czujesz? - zapytał Kyle.

- Już lżej mi się oddycha. - James pokiwał głową. - Ale ta głupia kostka mnie zabija.

- Przez całą noc słuchałem policyjnych częstotliwości - powiedział Mark. - Z tego, co mogłem się zorientować, dobrze wam poszło. W tej bazie stało fur za dwa miliony funtów i wątpię, żeby choć jedna nadawała się do użytku, kiedy rozwieje się dym.

Tom spojrzął na Marka.

- Musiałem potrać jednego faceta. Mówili coś o tym?

- Wiem tylko, że wezwali karetkę - powiedział Mark, wyjmując z kieszeni koszuli trzy pary jednorazowych rękawiczek. - Zapraszam do domu. Obawiam się, że musicie to włożyć, i ze względów bezpieczeństwa dobrze by było, gdybyście spalili ubrania, w których jesteście, kiedy tylko wrócicie do siebie.

- Mama będzie zachwycona, jak jej powiemy, że ma zabulić za dwie nowe pary butów - powiedział ponuro Kyle, pomagając Jamesowi przekuśtykać przez drzwi do sztywno urządzonej kuchni.

- Pieniądze to jedyna rzecz, o jaką AWZ nie musi się martwić - uśmiechnął się Mark. - Zanim odjedziecie, dostaniecie wystarczająco dużo gotówki, by odkupić sobie wszystko, co straciliście.

- To twój dom? - zapytał James.

Mark pokręcił głową, po czym wychylił się przez próg w głąb garażu i zgasił światło.

- To dom letniskowy. Jest na uboczu, a że zapłaciliśmy za dwa tygodnie, będę miał mnóstwo czasu na posprzątanie, kiedy odjedziecie. - Spojrzął na zegarek. - Wy trzej nie powinniście przebywać w tej okolicy zbyt długo, ale wiem, że jesteście zmęczeni, dlatego możecie trochę odpocząć, zanim wyruszyacie innym samochodem. Nastawię wodę na herbatę. W lodówce jest gyros albo mogę wam zrobić kanapki, jeśli wolicie.

- Gyros jest super - powiedział Kyle. - Ale martwi mnie stan Jamesa. Jest cały poobijany i zakrwawiony. Będzie się rzucał w oczy, jeśli gliny przyhaltują nas na jakiejś blokadzie czy gdzieś. Czy mógłby wziąć prysznic?

- To chyba rozsądne. - Mark skinął głową. - Łazienka jest na górze, czyste ręczniki na wieszaku. Zanim wyjadę, wysterylizuję wszystko chlorem.

- Pomogę ci wejść na górę - powiedział Kyle, patrząc na Jamesa.

James pokicał przez kuchnię i krótki przedpokój do schodów. Tam złapał się poręczy i obejrzał na Kyle'a.

- Poradzę sobie - powiedział.

- Przypilnuję, żeby Mark i Tom nie weszli na górę - wyszeptał pospiesznie Kyle. - Weź błyskawiczny prysznic, a potem zajrzyj do sypialni i poszukaj jakichś rzeczy Marka. To nasza jedyna szansa na zdobycie czegoś solidnego na AWZ, zanim wciągną nas w jakąś poważną akcję.

- Okej - skinął głową James. - Ale nie mogę poruszać się szybko, więc nie dopuszczaj ich do schodów, choćbyście mieli się pobić.

\*

Mark dał chłopcom kolejną mapę z zaznaczoną inną drogą do domu. Trasa była dłuższa, ale szybsza, ponieważ prowadziła prosto do Anglii, a potem przez cały czas autostradą.

Wyruszyli maszynym nissanem X-trail. Dochodziło wpół do trzeciej w nocy, więc ruch na drogach był znikomy. Tom drzemał w fotelu pasażera, a James wyciągnął się z tyłu.

Kyle dzielnie walczył z sennością, podczas gdy odbłaskowe kocie oczy wytyczające pasy ruchu usiłowały go zahipnotyzować. Próbował zająć czymś umysł: ćwiczył tabliczkę mnożenia i wymieniał w myśli nazwy samochodów, zespołów muzycznych i potraw zaczynające się na kolejne litery alfabetu.

Wiedział, że prowadzenie w tym stanie jest niebezpieczne, i tęsknym wzrokiem odprowadzał tablice reklamujące noclegi od trzydziestu dziewięciu funtów za noc. Uznał jednak, że wszystkie motele na pewno są pełne rodzin, które przegrały walkę z korkami, a nawet jeśli nie, to i tak nie wynajmie pokoju.

Mimo kilkukrotnego zdryfowania poza pas ruchu i jednej mrożącej krew w żyłach chwili, w której omal nie nadział się na autobus nie wiadomo czemu jadący szybkim pasem autostrady, wszyscy wciąż żyli, kiedy wjechał na stację Rigsworth za piętnaście szósta rano.

Niebo było fiołkowo-pomarańczowe, gdy zaparkował nissana dwadzieścia metrów od miejsca, z którego jedenaście godzin wcześniej odjechali furgonetką.

Kyle wyłączył silnik, odpiął pas bezpieczeństwa i szturchnął Toma w ramię.

- Pobudka.

- Powiedz, że to nie był sen - wymamrotał Tom, trąc oczy dłońmi. - Daliśmy czadu, nie?

James zerknął na zegarek i wetknął głowę między przednie fotele.

- Dobry czas, Kyle. Musiałeś niezłe zasuwać.

- Jestem wykończony - poskarżył się Kyle. - Jak tam twoje rany wojenne?

James podciągnął koszulkę, by przyjrzeć się sino-czerwonym plamom na swojej piersi.

- Bolał - orzekł, delikatnie dźgając się palcem. - Ale chyba nic sobie nie złamałem.

- A kostka?

- Spuchnięta, ale powiem ci więcej, jak wyjdę stąd i trochę pochodzę.

Wszyscy trzej musieli czym prędzej skorzystać z toalety. Pospiesznie zebrali swoje rzeczy i wzięli się do wysiadania. James wyszedł pierwszy. Trzymając się dachu, postawił kilka ostrożnych próbnych kroków. Przy każdym stąpieniu nogę przeszywał mu spazm bólu, ale podczas szkolenia podstawowego kazano mu rozchodzić podobną kontuzję, a tym razem nie musiał przy tym biec przez tor przeszkód z trenerem sadystą wyrzaskującym mu nad głową obelgi o leniwych glistach i symulantach.



- Mam zatrzaskać kluczyki w samochodzie – powiedział Kyle, odetchnąwszy rześkim porannym powietrzem. - Sprawdźcie, czy macie wszystko, bo potem już nie otworzymy.

Upewniwszy się, że niczego nie zapomnieli, chłopcy zatrzasnęli drzwi samochodu i ruszyli w stronę pawilonu stacji. Kyle trzymał się blisko Jamesa na wypadek, gdyby jego kostka nie wytrzymała obciążenia, ale Tom stwierdził, że dłużej nie wytrzyma, i pognął w stronę toalet.

Kyle mógł wreszcie zadać pytanie, które dręczyło go od pięciu godzin.

- No i co, znalazłeś coś w domu? - zapytał nerwowym szeptem.

- Przyjrzałem się jego prawu jazdy. Naprawdę nazywa się Kennet Marcussen. Poza tym znalazłem długopis i spisałem wszystkie numery z listy szybkiego wybierania w jego komórce, a potem numery dwóch kart kredytowych. Wszystko przesłałem SMS-ami do kampusu, kiedy ty prowadziłeś, a Tom spał.

- No to ekstra - powiedział Kyle, powstrzymując uśmiech cisnący mu się na usta. Wiedział, że w pobliżu może być ktoś z AWZ przysłany po odbiór nissana. - Nie wiedziałem, że SMS-ujesz tam z tyłu. Może MI5 zdąży wziąć Marka pod obserwację, zanim wyjedzie z domu.

- Myślę, że posadzili też kogoś tutaj, żeby robił zdjęcia, kiedy ktoś przyjdzie po nissana.

- To była całkiem owocna nocka - powiedział Kyle i wyszczerzył zęby w uśmiechu, wstępując na świeżo umytą terakotę za automatycznymi drzwiami stacji.

- No tak, tylko że Tom przejechał tego kolesia - zauważył James. - I pamiętasz, jak walnęło? A jeśli któryś z tych facetów przy bramie poleciał tam i go zwęgliło?

- Musieliby być cofnięci w rozwoju, żeby nie uciec, kiedy zobaczyli, że zwiewamy - powiedział Kyle. - Smród benzyny był taki,

że łzawiły oczy, a z ich punktu widzenia wyglądało to tak, jakbyśmy zostawili tam jakiś zapalnik czasowy czy coś.

- Obyś miał rację - powiedział ponuro James. - Jak się okaże, że przegięliśmy, będziemy musieli odpowiedzieć na kilka niewygodnych pytań, kiedy wrócimy do kampusu.

- Takie zabawy nigdy nie są pozbawione ryzyka - westchnął Kyle. - Kiedy spałeś, słuchałem trochę radia. Wspominali coś o pożarze i jeszcze jednym podpaleniu gdzieś na południu. Ale mówili tylko: „Niepotwierdzone pogłoski o ofiarach”. Żadnych konkretów.

Idąc do toalety, chłopcy z zawiścią spoglądali na rodziny zajądające angielskie śniadanie przy restauracyjnych stolikach.

- Zabiłbym za kanapkę z bekonem - westchnął Kyle. - A potem piętnaście godzin snu i byłbym jak nowy.

\*

Tom podwiózł Jamesa i Kyle'a do Corbyn Copse. Dochodziła już siódma i kiedy weszli do domu, zastali Laurę oglądającą Sky News na kanapie w saloniku.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Armia Wyzwolenia Zwierząt to temat numer jeden.

Chłopcy byli głodni wiadomości.

- Co mówią?

- Jeśli chodzi o waszą akcję: zniszczonych sto sześć samochodów, dwie osoby hospitalizowane z powodu zatrucia dymem, a jedna... - Laura przekrzywiła głowę. - Przejechaliście może kogoś?

James skinął głową.

- Tom przejechał.

- Facet jest w szpitalu w stanie krytycznym, ale stabilnym. Jak chwilę zaczekacie, to zaraz powinni powtórzyć zdjęcia z pożaru. Strażacy wciąż dogaszają budynki. A na południu był drugi atak, wiecie?

James i Kyle nie odpowiedzieli wpatrzeni w tekst przesuwający się na dole ekranu:

Z OSTATNIEJ CHWILI: CLYDE WAINWRIGHT, PREZES MALAREK UK, ZOSTAŁ CIĘŻKO RANNY PO WYBUCHU SAMOCHODU PUŁAPKI PODCZAS WYPOCZYNKU NA WYSPACH KANARYJSKICH.

- Jezu - jęknął James.

- Myślałam, że wiecie - powiedziała Laura. - W samochodzie nie było radia?

- Włączyłem kilka razy na autostradzie, ale nic nie mówili, a wozie Viva jest zepsute - odparł Kyle.

- Kiedy zaczęli mówić o bombie? - zapytał James.

- Jakieś pół godziny temu.

- To większa rzecz, niż myśleliśmy - powiedział Kyle. - Sądziłyśmy, że AWZ to tylko odłam OWZ, ale chyba ich nie doceniliśmy. Trzeba świetnej organizacji i mnóstwa pieniędzy, żeby przeprowadzać operacje na taką skalę.

- Mark bez mrugnięcia okiem wypłacił nam trzy stówy na nowe ciuchy - dodał James i wytrzeszczył oczy na widok Ryana na ekranie telewizora.

Telewizyjni wizażyści poskromili włosy Ryana oraz ubrali go w marynarkę i krawat. James jeszcze raz przeczytał podpis, by upewnić się, że nie zwodzą go zmęczone oczy: „Ryan Quinn - założyciel Przymierza Zebra”.

- Trochę się nabzdyczył - uśmiechnęła się Laura. - BBC wysłała po niego samochód, ale odwołali to, kiedy udało im się złapać Madeline Laing. Zamiast nich dostał Sky.

James uśmiechnął się, a na ekranie Ryan Quinn potępił akcję AWZ i zabrał się do wyjaśniania założeń kampanii przeciwko Malarek Research.

Do pokoju weszła Zara.

- Dzień dobry - powiedziała pogodnie, podchodząc do chłopców, by ucałować każdego z nich w policzek. - Miło was widzieć całych i zdrowych.

- Nie mówili może, że ktoś ucierpiał, kiedy wybuchł napalm? - zapytał James z niepokojem w głosie.

Zara potrząsnęła głową.

- Przed chwilą odebrałam telefon z kampusu i wygląda na to, że najpoważniejszych obrażeń doznał człowiek potrącony przez samochód. Ma złamaną rękę i miednicę, ale nie ma powodu, by nie odzyskał zdrowia.

- Ładnie - powiedział Kyle, wymieniając z Jamesem pełne ulgi spojrzenia.

- MI5 sprawdziła Kenneta Marcussena - ciągnęła Zara. - Jest Duńczykiem. Działał w brytyjskich i europejskich grupach wyzwolicieli zwierząt w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, ale potem zniknął z radaru. Wszyscy zakładali, że wrócił do Danii, założył rodzinę, ustatkował się i takie tam. Był członkiem od dawna nie działającej organizacji o nazwie EBOZ: Ekstremalna Brygada Obrońców Zwierząt. Grupa była mała, ale bogata, a większość jej członków mieszkała dawniej w kobiecej komunie pod Birmingham.

James skinął głową.

- Brzmi niepokojąco podobnie do tego, co widzieliśmy w AWZ. Znamy nazwiska jakichś członków EBOZ?

- Większość ma teczki w MI5 - powiedziała Zara. - Przyjrzymy się im i spróbujemy roztoczyć nadzór nad Marcussenem, zanim opuści dom pod Wrexham. Ale musimy działać ostrożnie, bo jak domyśli się, że jest obserwowany, będziecie spaleni. Poza tym chcemy dyskretnie rozejrzeć się po lokalnych warsztatach blacharskich. Wasza furgonetka miała przyspawany do podłogi zbiornik z napalmem, nowy lakier i znaki Rapid Trak na bokach. Niewiele jest miejsc zdolnych wykonać taką robotę w trzy dni. Chcemy sporządzić listę warsztatów, w których byłoby to możliwe, i poszukać ewentualnych powiązań ze znanymi bojownikami o prawa zwierząt.

- Przynajmniej coś już mamy - powiedział Kyle, przeciągając się i kończąc ziewnięciem. - Ale ja już normalnie padam. Mam coś jeszcze zrobić czy mogę położyć się na parę godzin?

Zara podrapała się w głowę.

- SMS-y Jamesa były dość szczegółowe, więc chyba wiem już wszystko, co powinnam wiedzieć.

- Ja też walnąłbym się spać, jeśli można - dorzucił James, zarażony ziewaniem od kolegi.

- Obawiam się, że nic z tego - powiedziała Zara. - Dostałeś porządnego kopniaka w żebra i musimy zająć się tobą jak należy.

- Nic mi nie jest - jęknął James. - Nie spałem pół nocy, a teraz mam siedzieć sześć godzin w poczekalni na ostrym dyżurze? Potrzebuję tego jak dziury w głowie.

- Dla mnie to też żadna frajda, ale możesz mieć złamane żebro - powiedziała Zara. - Chcę, żeby cię prześwietlono i dokładnie zbadano.

\*

Kyle'owi było żal Jamesa, ale miło mu się zasypiało bez jego nieustannego miotania się po dolnym łóżku i świszczących odgłosów wydawanych przez jego lewe nozdrze. Spał twardo, lecz wielogodzinna jazda odcisnęła widocznie swoje piętno na jego umyśle, bo kiedy Laura obudziła go potrząśnięciem za ramię, śnił właśnie o pędzącej wstędze autostrady.

- Twój telefon - powiedziała Laura, stając na palcach i machając komórką przed załzawionymi oczami Kyle'a. - Nieznany numer. No odbierz to wreszcie.

Kyle oparł się na łokciu i otworzył telefon.

- Tak, halo? - wymamrotał.

Znajomy kobiecy głos poderwał go do siadu.

- Wykonaliście zadanie na medal. Witam w Armii Wyzwolenia Zwierząt.

- Dzięki - powiedział Kyle. - Poszło całkiem niezle.  
- Próbowałam zadzwonić do Jamesa, ale ma wyłączony telefon.

- No tak, bo mama zobaczyła jego siniaki i zabrała go na ostry dyżur. W szpitalu trzeba wyłączać komórki.

- Myślisz, że coś podejrzewa?

- E tam. James ciągle pakuje się w jakieś awantury. Powiedzieliśmy, że nocowaliśmy u Toma i Viva, a James zleciał ze schodów.

- To jak, gotowi do wielkiej akcji?

- Zwarci, gotowi i chętni - odparł entuzjastycznie Kyle.

Nie liczył na poznanie szczegółów operacji, ale czuł, że nocną akcją zasłużył sobie na pewien szacunek, i postanowił spróbować dowiedzieć się chociaż tego, kiedy będzie potrzebny.

- Jest jeden problem - powiedział lekko zakłopotanym tonem. - Ja mogę wychodzić i wracać, kiedy chcę, ale James ma dopiero czternaście lat i mama go pilnuje. Krótko mówiąc, nieco wcześniejsze zawiadomienie bardzo ułatwiłoby nam wyrwanie się stąd, zwłaszcza jeżeli znów mamy spędzić noc poza domem.

Kyle spodziewał się wybuchu wściekłości, ale kobieta zamilkła na chwilę, po czym odpowiedziała przyjaznym głosem:

- Odbierzemy was w środę po południu i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w piątek rano powinniście być w domu. Dacie radę?

- Świetnie - ucieszył się Kyle. - Od razu zacznę urabiać mamę. Powiem, że zaprasza nas kolega z miasta czy coś.

- Zadzwonię we wtorek wieczorem, żeby powiedzieć wam, co macie wziąć i gdzie się spotkamy - powiedziała kobieta.

- Nie mogę się doczekać. Na razie.

Kyle zamknął telefon i podał go Laurze.

- Zrób coś dla mnie, Laura, dobrze? Zadzwoń do kampusu i powiedz, że operacja AWZ potrwa od środy do piątku i że ja z Jamesem bierzemy w niej udział.

- Dobra. - Laura skinęła głową. - Kurczę, jestem ciekawa, co oni knują. Skoro dwa potężne podpalenia i próba wysadzenia w powietrze prezesa Malarek Research to tylko rozgrzewka...

- No właśnie - pokiwał głową Kyle. - Zarzuciliśmy wędkę na grubą rybę, ale zdaje się, że złapaliśmy wieloryba.

## 28. SPOTKANIE

Wiedząc, że AWZ nie będzie ich potrzebować przed środą, Kyle i James mogli oderwać się na chwilę od misji i wykorzystać wtorkowe spotkanie Zary na Downing Street do urządzenia sobie wycieczki.

Po dwuipółgodzinnej jeździe do Londynu młodzi opuścili Zarę i spędzili poranek, buszując po sklepach przy Oxford Street. Kyle kupił kilka płyt, na które od dawna ostrzył sobie zęby, James najnowszą „FIFA” na Playstation, a Laura kilka koszulek oraz dwie piszczące zabawki do gwałtownie powiększającej się kolekcji Klopsa.

Mac zarezerwował stolik w wykwintnej restauracji przy Piccadilly Circus. Na miejscu cherubini zastali wiadomość z prośbą, żeby nie czekali z jedzeniem: premier się spóźnił, więc Zara i Mac mieli spotkać się z nim przy lunchu.

Wśród klientów przeważali biznesmeni w eleganckich garniturach. James, Kyle i Laura czuli się nieswojo pod ostrzałem zdumionych spojrzeń, kiedy kelner prowadził ich przez niesamowity bar ze sztucznym wodospadem do ekskluzywnej części lokalu.

Dostali stolik w odosobnionym miejscu, przy oknie z widokiem na plac i kłębiący się osiem pięter poniżej barwny tłum.

- Dobrze, że nie ja płacę - powiedział James, przewracając oczami nad listą dań głównych, z których najtańsze kosztowało dwadzieścia jeden funtów.



Ostatecznie James i Kyle postanowili zaspokoić swój głód mięsa stekami z antrykotu po trzydzieści pięć funtów sztuka i dopchnąć frytkami, podczas gdy Laura zamówiła porcję pieczonych warzyw z sosem fistaszkowym.

- Ty tak na poważnie z tym wegetarianizmem? - zapytał James, kiedy kelner postawił przed nimi talerze z jedzeniem. - Zobaczysz, zrobisz się od tego blada i chuda jak wszystkie te popaprane dziewczyny.

- Zamknij się i jedz swoją zdechłą krowę - odcięła się Laura. - Jeżeli uważasz, że ten wielki plaster czerwonego miecha jest dla ciebie lepszy od tego, co ja jem, to jesteś nawet głupszy, niż sądziłam.

- Hej, to miał być dzień przyjemności - wtrącił Kyle stanowczo. - Wobec tego proponuję, żebyście zrobili mi przyjemność, przestając się kłócić i zmieniając temat.

- Jak tam twoja klata? - zapytała Laura.

James wzruszył ramionami.

- Trochę poobijana, ale nic poza tym. Mówiłem Zarze, że nic mi nie jest. Spędziłem osiem godzin w szpitalu, żeby dostać porcję środków przeciwbólowych, jakie mogłem kupić w naszym spożywczaku.

- Lepiej przesadzić, niż potem żałować - stwierdziła filozoficznie Laura.

- Pewnie tak - mruknął James, obserwując gołębia, który wylądował na parapecie.

- Ciekawe, jak sobie radzi Zara - powiedział Kyle. - Ja bym się czuł dziwnie, gdybym miał spotkać się z kimś tak ważnym, zwłaszcza w sprawie pracy.

- Rano chyba wymiotowała w łazience - dodał James.

- Poranne nudności - zachichotała Laura i odgryzła z widelca kawałek pieczonego pasternaku. - Może jest w ciąży?

- Kiedy ja się czymś denerwuję, zawsze mam straszną sraczkę - powiedział Kyle.

James zaczął się śmiać.

- Czy to nie piękne? Przychodzimy do wyczesanej knajpy w centrum Londynu, zamawiamy obiad za sto funtów, a potem siedzimy przy stoliku i gadamy o sraniu i rzyganiu.

- Wiecie co? - powiedziała Laura. - Teraz żałuję, że nie kupiłam tych spodni moro. Myślicie, że będziemy mieli czas, żeby tam wrócić?

- Zapomnij - powiedział twardo James. - Za dobrze cię znam. Będziemy przez pół godziny wlec się z powrotem do sklepu tylko po to, żebyś na miejscu znów zmieniła zdanie.

- Kiedy coś takiego zrobiłam? - zapytała Laura, uśmiechając się niewinnie.

- Poza tym nie chcę mieć militarystycznej wegetarianki za siostrę.

- Jak się nie zamkniesz, znów ufarbuję się na czarno.

- Całkiem ładnie wyglądałaś z tymi kruczymi włosami - powiedział Mac.

Patrząc przez okno, cherubini nie zauważyli, że do stolika podeszli Zara i prezes. Kiedy nowi goście zajęli miejsca, kelner zapytał, czy czegoś sobie życzą.

- Na razie poczekamy, aż dzieci skończą jeść - powiedziała Zara. - Czy mógłby pan przynieść menu deserowe? Potem zjemy coś słodkiego i napijemy się kawy.

Kelner skłonił się sztywno i odszedł.

- No i? - zapytała Laura, kiedy się oddalił.

Zara rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt nie może ich podsłuchać, po czym uśmiechnęła się radośnie.

- Chyba dobrze.

- Wczoraj byłem na spotkaniu Geoffa Coksa - powiedział Mac. - Było bardzo oficjalne. Rozmawiał z ministrami o szkołach i systemie edukacji, a potem opowiadał trochę o swojej pracy w wywiadzie. Rozmowa z Zarą była zupełnie inna. Premier wciągnął się w jej opowieść o misji, nad którą pracuje, i o tym, jak wam, chłopcy, udało się zinfiltrować AWZ, jeszcze zanim ktokolwiek o niej usłyszał.

Potem zapytał Zarę o rodzinę i ani się obejrzałem, jak oglądała zdjęcia Tiffany i Joshui. Przetrwawszy oba spotkania, mogę powiedzieć, że moim zdaniem wygrała Zara.

- I tak trzymaj! - wykrzyknął James. - Tylko pamiętaj, że jesteśmy starymi kumplami, kiedy będziesz rozdzielać kary.

- Żadnego ulgowego traktowania - uśmiechnęła się Zara, potrząsając głową. - Wiem, że nieźle mi poszło, ale nie zamierzam otwierać szampana, dopóki nie dostanę listu z potwierdzeniem.

Do stolika długimi krokami podszedł kelner, który rozdał pięć kart deserowych. James był przejezdzony po steku, ale nie oparł się pokusie.

- Pudding czekoladowy z syropem z czerwonej pomarańczy. - Uśmiechnął się. - Muszę tego spróbować.

- Zatem jutro jest wasz wielki dzień, chłopcy - powiedział Mac. - Bardzo jestem ciekaw, jak wam pójdzie.

- I pan premier też - dodała Zara. - Poprosił ministra wywiadu o przekazywanie mu raportów z przebiegu operacji.

Zauważywszy niepewną minę brata, Laura wydeła policzki i wypowiedziała rytmiczne: „Pu-pum pu-pum”, naśladując bicie serca.

- Czujemy presję, co, James?

Kyle zaśmiał się i otoczył Jamesa ramieniem.

- Nie boimy się, co nie, stary? Musimy tylko pojechać w jakieś nieznanne miejsce, udaremnić jakiś nieznaną plan i rozbić świetnie uzbrojoną, bogatą i potwornie niebezpieczną grupę terrorystów.

- I to tak, żeby nikomu nie stała się krzywda - dodał James.

Mac roześmiał się, a Laura znowu zaczęła naśladować bicie serca. James objął Kyle'a i przycisnął go mocno do siebie.

- Wiesz, co myślę, Kyle? - spytał przyjaciela.
- No co?
- Że mamy totalnie przerabane.

## 29. FILM

Jo zadzwoniła do Kyle'a we wtorek późnym wieczorem i wyglądało na to, że AWZ nic nie pozostawia przypadkowi. Chłopcóm nakazano włożenie dokładnych zegarków i nastawienie ich na właściwy czas przed wyjściem. Mieli ubrać się w zwyczajne codzienne ciuchy i wziąć ze sobą jedną niedużą torbę albo plecak. Ten miał zawierać jedną zmianę ubrania, ręcznik, podstawowe przybory toaletowe oraz ewentualnie czasopismo lub książkę, która - jak wyraziła się Jo - powinna nadawać się do czytania podczas długiej podróży. IPody, komórki i wszelkie inne elektroniczne gadzety mogące zawierać podsłuch były zakazane.

Miejscem spotkania była zbutwiała stodoła, skąd miesiąc wcześniej wraz z działaczami Przymierza Zebra wyruszyli na demolowanie policyjnych samochodów. Wchodząc na podwórko, James i Kyle zauważyli MG Toma, a za stodołą znaleźli obu braci siedzących na krawędzi przewróconego koryta na wodę.

Kyle podszedł, by przywitać Toma długim pocałunkiem. Tymczasem Viv poczęstował Jamesa mocarnym klepnięciem w plecy, typowym dla siebie pozdrowieniem, jakim witał każdego, kogo lubił.

- Hej, zabójco gliniarzy, kopę lat, co? - powiedział Viv, po czym przeniósł wzrok na Kyle'a i Toma. - Wiem, co myślisz, dzieciaku. No bo jak to może być lepsze od tego, co ja wczoraj wyprawiałem z Sophie?

James parsknął śmiechem.

- No a jak tam twój tyłek?

- W pełni wykurowany - oświadczył Viv. - Ale się wkurzyłem, że ominęła mnie akcja. Tom mówił, że było wyczepicie.

- Na pewno nie było nudno - wyszczerzył się James.

W tej samej chwili usłyszeli klakson.

Chłopcy wyszli przed stodołę i zobaczyli długą furgonetkę wtaczającą się na podjazd. Z szoferki wyskoczyła kobieta w ciemnych okularach i James rozpoznał w niej Jo, kiedy tylko otworzyła usta. Ubrana była w bojówki i sądząc po wyrzuceniu z przodu, za pasem miała pistolet.

- Cześć, chłopcy - powiedziała. - Powinniście już wiedzieć, jak to działa, więc jazda do stodoły i rozbierać się.

Z miejsca pasażera w furgonetce zeskoczyła druga kobieta, na oko dwudziestokilkuletnia, ładna, sympatycznie rumiana. James pomyślał, że pasuje raczej do domku na wsi i gromadki dzieci.

\*

„Adelajda Kent” - pomyślała Laura, omal nie wypuszczając z ręki aparatu.

Laura kryła się w zaroślach, jakieś dwadzieścia metrów od stodoły. Nie była niewidoczna, ale trzeba by dobrze wyteżać wzrok, a gdyby ktoś ją przyłapał, wepchnęłaby do kieszeni cyfrowkę wielkości pudełka zapalek i odegrała ciekawską młodszą siostrę wtykającą nos w nie swoje sprawy.

Kiedy James, Kyle, Tom i Viv weszli do stodoły, by pozwolić się przeszukać, Laura przekradła się przez zarośla do miejsca położonego dokładnie za furgonetką. Teraz łatwo ją było dostrzec nawet z dużej odległości, ale tylko stamtąd mogła zrobić zdjęcia wnętrza samochodu, gdyby ktoś otworzył tylne drzwi.

Przełączyła aparat na tryb wideo, postawiła go na gałęzi i przywiązała do niej smyczą. Kiedy skończyła, pospiesznie

przecisnęła się na dawne miejsce i wyjęła z kieszeni miniaturowy pilot.

Dwie minuty później ze stodoły zaczęli wyłaniać się ludzie. Pierwszy wyszedł James, okrążył róg budynku, stanął w rozkroku i zaczął sikać na ścianę. Zanim skończył, pozostali dotarli już do furgonetki, a Jo otworzyła tylne drzwi. Laura wcisnęła przycisk nagrywania.

\*

- Wygląda komfortowo - uśmiechnął się James, stawiając nogę na blaszanej podłodze.

W długiej kabinie ładunkowej piętrzyły się poduszki i puffy. Okien nie było, co oznaczało, że nie będą wiedzieli, dokąd jada, ale samochód służył dawniej w agencji ochrony i miał w suficie właz, którego klapę zdemontowano, by wpuścić do wnętrza trochę światła i świeżego powietrza.

W środku była jedna osoba: rozebrany do szortów młodzieniec, który wymościł sobie wygodne leże z poduszek. Wyglądał na mniej więcej dwadzieścia lat.

- Jestem Jay - powiedział, stukając żółwika z wsiadającymi kolejno chłopcami.

Jo zatrasnęła drzwi, pograżając kabinę w półmroku. Jay puścił biały album Beatlesów i zaproponował nowo przybyłym colę lub wodę mineralną z turystycznej chłodziarki.

- Doceńcie, że mamy muzykę - powiedział radośnie. - Musiałem rozpętać wojnę, by móc wziąć tego boom-boksa. Powiedziałem dziewczynom, że nie ma mowy, żebym siedział w tym pudle przez kilka godzin i tylko gapił się na blachę.

- Nie da rady czytać tak długo, zwłaszcza w takim świetle - powiedział Kyle.

W długiej kabinie było tyle miejsca, by pięciu chłopców mogło się wygodnie wyciągnąć. James usiadł pod ścianą na dużej poduszce, a z małej sporządził sobie zagłówek. Niepokoiliła go myśl o następnych czterdziestu ośmiu godzinach, ale Tom, Viv, Jay i Kyle

wdali się w ożywioną rozmowę i wkrótce także i jemu udzielił się nastrój podniecenia, typowy dla pięciu młodych mężczyzn wyruszających razem na wielką przygodę.

Jedyny problem polegał na tym, że był środek lata, a oni podróżowali w słabo wentylowanej stalowej skrzyni. Zanim dotarli do wjazdu na autostradę, wszyscy czterej poszli w ślady Jaya i rozebrali się do szortów.

\*

Laura zaczekała, aż furgonetka zniknie jej z oczu, po czym zgarnęła aparat i pognała przez pola do domu. Zara czekała na nią przy kuchennym stole nad włączonym laptopem.

- Co masz? - padło zwięzłe pytanie.

- Nakręciłam film - wysapała zdyszana Laura. - Ale najlepsze, że rozpoznałam jedną z nich. To Adelajda Kent, no wiesz, z tej akcji, podczas której uratowałam Klopsa. Była taka słodka dla psiaków i kiedy kładła siostry spać...

- Powinnaś już wiedzieć, że nie należy oceniać ludzi na podstawie jednego spotkania - powiedziała Zara, podłączając aparat Laury do komputera.

Skopiowała film na twardy dysk i niezwłocznie przesłała na adres kampusu CHERUBA.

- Puść film - powiedziała Laura. - Ciekawe, czy widać, co jest w samochodzie.

Na ekran wypłynęło okno Windows Media Playera. Początek filmu był rozmazany, bo aparat potrzebował kilku chwil na dopasowanie parametrów ekspozycji do mrocznego wnętrza kabiny.

Następny fragment ukazywał nogi i tyłki chłopców wspinających się do furgonetki. Dopiero gdy weszli, Laura zauważyła coś interesującego.

- To Jay - powiedziała, stukając palcem w ekran. - Chłopak Adelajdy.



- Pamiętasz nazwisko?

- Tak, Jay Buckie.

- Dobra robota, Laura. Mam nadzieję, że nazwiska i zdjęcia tajemniczej Jo pomogą nam złożyć w całość obraz AWZ.

Ryan spędził cały ranek w łóżku i przyczłapał do kuchni w pasiastych spodniach od piżamy.

- Dobry - przywitał się, sięgając do lodówki po sok pomarańczowy. - Dobrze słyszałem? Rozmawiacie o Jayu i Adelajdzie?

- Uuu - skrzywiła się Laura. - Nie pij z kartonu, Ryan. Normalnie drugi James.

Ryan uśmiechnął się ze skruchą i wyjął szklanekę z szafki. Zara odpowiedziała poważnym tonem:

- James i Kyle pojechali na spotkanie i odebrała ich Adelajda Kent.

- Co? - Brwi Ryana wystrzeliły w górę tak szybko, że Laura zdziwiła się, że nie odfrunęły. - Żartujesz.

Zara postukała długopisem w ekran.

- Sam zobacz.

- To moja chrześniaczka - szepnął Ryan. - Głupia, głupia dziewczyna. Wiecie, dokąd pojechali?

- Nie mamy pojęcia. - Laura wzruszyła ramionami. - Czy myślisz, że Anna i Miranda także mogą być w to zamieszane?

- Wątpię - powiedział Ryan. - Z drugiej strony, gdybyś dzień minut temu zadała to samo pytanie o Adelajdę, powiedziałbym, że na mózg ci padło. Jay też wydawał się sympatycznym chłopcem. Studiuje z Adelajdą reżyserię filmową i telewizyjną. Opowiadał mi o swoich praktykach przy jakimś dużym filmie z pościgami samochodowymi.

- Co? - zachłysnęła się Laura. - Gdzie oni kręcą ten film?

- Nie powiedział, ale pod Bath jest duża wytwórnia filmowa, więc pewnie tam.

Zara spojrzała na Laurę.

- Do czego zmierzasz?

- No... Bo przy takim filmie pewnie trzeba szykować i malować mnóstwo samochodów. A jeśli Jay zatrudnił ludzi z wytwórni do przerobienia furgonetki Rapid Trak, którą James i Kyle pojechali wtedy do Wrexham?

- Słyszałam gorsze teorie - westchnęła Zara, wstukując „studio Bath” w Google. - Mam - powiedziała po chwili i zaczęła czytać z ekranu: - „Kręcona obecnie w Walker Studios pod Bath Dzika jazda 2 jest sequelem niespodziewanego przeboju lata dwa tysiące czwartego roku. Tym razem gang zamierza skraść klejnoty koronne z Tower przy użyciu floty zabytkowych wyścigówek...”.

- Na pewno warto to sprawdzić - powiedziała Laura.

Zara skinęła głową.

- Przekażę informacje do kampusu i ktoś z asystentów zacznie kopać.

## 30. KUCHARZ

Pięciu chłopców próbowało jakoś przetrwać jazdę, która ciągnęła się przez większą część dnia. Słuchali płyt Jaya, gadali o życiu i walczyli ze skwarem, pochłaniając hurtowe ilości coli i wody mineralnej. Jo zaplanowała jeden postój na jakimś nierozpoznawalnym polu, ale potem odmówiła zatrzymania auta, choć chłopcom pękały pęcherze.

Viv rozwiązał problem, sikając do butelki po wodzie i ciskając ją na zewnątrz przez otwór w dachu. James wybuchnął śmiechem i zrobił to samo. Kilka sekund później chłopcami rzuciło w bok i do przodu, kiedy samochód gwałtownie zatrzymał się na poboczu.

- Który to zrobił, idioci?! - wrzasnęła rozwścieczona Jo, szarpnięciem otwierając tylne drzwi samochodu.

James lękliwie podniósł palec.

- No to jesteś głupim małym fiutem - wycedziła Jo. – To nie są kolonie letnie, wiesz? A co, jeśli butelka uderzyłaby w inny samochód? Co, gdyby ktoś spisał nasze numery i zatrzymała nas policja?

Viv nie wytrzymał.

- Hej, hej, wasza wysokość. Wy macie fajnie tam z przodu, z klimą i w ogóle, ale my się tu gotujemy. Wypiliśmy tony coli i prosiłem o postój chyba z milion razy.

Jo wyrwała zza pasa pistolet i wycelowała w głowę Viva.

- Nie zabraniam wam sikać do butelek, baranie, ale po jaką cholere wywalacie je przez dach? To ty rzuciłeś pierwszą?

- I co, zastrzelisz mnie za sikanie?

Jo nie była przyzwyczajona do odszczekiwania. Wskoczyła do kabiny, odbezpieczyła broń i przycisnęła Vivowi lufę do skroni.

- Jak spieprzysz tę operację, wepchnę ci to do gęby i obryzgam najbliższą ścianę twoim mózgiem.

- Hej, hej, hej - zawołał nerwowo Kyle, unosząc rękę. - Słuchajcie, jest gorąco, nudno, a to tylko drobne nieporozumienie. Uspokójmy się, dobrze?

- Jesteśmy w tej samej drużynie - dodał Tom.

- Będę cię mieć na oku, Viv - wycedziła z furią Jo, z powrotem zatykając pistolet za pasek.

- Wiele kobiet ma mnie na oku - odparł hardo Viv, choć James odniósł wrażenie, że jest nieco bardziej wyciszony.

Jo potrząsnęła głową z pogardą, po czym zeskoczyła na ziemię i zmaltretowała bębenki uszne chłopców najmocniejszym trzasknięciem drzwiami, na jakie było ją stać.

Tom spojrzał krzywo na brata.

- Ci ludzie nie żartują, Viv - wyszeptał. - Kiedy się wreszcie nauczysz trzymać gębę na kłódkę?

Viv był wstrząśnięty i w żaloszny sposób próbował to ukryć.

- Poradzę sobie - burknął niczym ośmiolatek, który właśnie przegrał solówkę.

\*

Zara zakończyła dwudziestominutową rozmowę telefoniczną i wyszła do ogrodu. Klops, otrzymawszy komplet szczepień, mógł już wychodzić na dwór i świętował odnalezioną wolność, zlizując owady z pnia drzewa. Laura siedziała na leżaku, czytając książkę Beagle - poradnik dla kompletnych idiotów.

- Co nowego? - zapytała.

- MI5 zidentyfikowała Jo z twoich fotografii. Naprawdę nazywa się Rhiannon Jules. Jest córką Joego Julesa.

Laura czuła, że to nazwisko powinno jej coś mówić, ale nie miała pojęcia co.

- Pewnie jesteś za młoda - uśmiechnęła się Zara. - Joe Jules był dość znanym piosenkarzem. W osiemdziesiątym drugim zastrzeliła go policja Los Angeles podczas nalotu na dilerów kokainy. Rhiannon jest jego jedynym dzieckiem, a jego płyty wciąż się sprzedają, więc założę się, że jest warta trochę szmalu.

- Tyle, żeby finansować OWZ?

- Na pewno. - Zara skinęła głową. - Pamiętasz EBOZ?

Laura zmrużyła oczy na znak, że wyteża pamięć.

- Ekstremalna Brygada Obrońców... To ta grupa, w której działał Marcussen w latach osiemdziesiątych, tak?

Zara skinęła głową.

- Większość jej członków stanowiły kobiety żyjące w komunie. Jeden z naszych asystentów śledczych ustalił, że komuna zajmowała wiejską posiadłość, która dawniej należała do pewnego amerykańskiego piosenkarza...

- Joego Julesa - wyszczerzyła się Laura.

- Jak to odgadłaś?

Laura pisnęła, bo Klops polizał ją w stopę.

- To łaskocze - zachichotała, delikatnie odsuwając psa. - Wiadomo już coś o tej wytwórni filmowej?

- A jakże - odparła zadowolona Zara. - Twoje skojarzenie było strzałem w dziesiątkę. Wklepali „Jay Buckie” do policyjnego komputera i okazało się, że facet był dwukrotnie zatrzymywany podczas demonstracji obrońców praw zwierząt, za każdym razem z Adelajdą Kent. Dwa tygodnie temu aresztowano go na planie Dzikiej jazdy 2 i przesłuchano w sprawie volkswagena transportera, który zniknął kilka dni wcześniej. Zarzuty wciąż są w aktach, ale policja nie miała dość dowodów, by go oskarżyć. Ciekawe, że skradziona furgonetka była wyładowana trzystoma tysiącami funtów w kamerach telewizyjnych, studyjnych światłach i innym

sprzęcie należącym do ekipy kręcącej dokument z planu Dzikiej jazdy 2. A wisienką na torcie jest fakt, że policja z Avonu dostała też zgłoszenie o kradzieży sprzętu lakierniczego oraz ciśnieniowej stalowej beczki używanej przy samochodowych numerach kaskaderskich.

- To znaczy, że moje zdjęcia się przydały - uśmiechnęła się Laura.

Zara pokiwała głową.

- Zaczyna nam się składać całkiem solidny obraz AWZ. Już teraz mamy dość dowodów, by zacząć aresztowania, i jest tylko jeden, za to poważny problem: James, Kyle i wszyscy główni podejrzani zniknęli w jakimś nieznanym miejscu i nie mają zamiaru się ujawnić, dopóki nie wykręcą jakiegoś terrorystycznego numeru na wielką skalę.

- No właśnie - przytaknęła Laura. - Ciekawe, po co im te kamery.

\*

Furgonetka zatrzymała się przy zaniedbanym wiejskim pałacyku, z tuzinem pokoiów rozsianych na dwóch piętrach. Chłopcom kazano zostawić swoje rzeczy w pustym pomieszczeniu, którego jedyne wyposażenie stanowiły rzucone na podłogę śpiwory i poduszki. W kuchni na dole dwaj mężczyźni przyrządzali wegańską pieczeń dla co najmniej tuzina osób.

Jay i Adelajda mieli rozstawiać jakiś sprzęt wewnątrz domu i wkrótce po przyjeździe poprosili Viva, by do nich dołączył. Bezrobotnym Jamesowi, Kyle'owi i Tomowi pozostało włóczyć się po podwórzu i zastanawiać, w co się wpakowali.

- Gdziekolwiek jesteśmy, na pewno daleko od cywilizacji - powiedział Kyle.

Zachodzące słońce ozłacało porośnięte wrzosem wzgórze i majaczące w dali skaliste szczyty.

- Ładnie tu - zauważył James. - Jak myślicie, Szkocja?

- Chyba nie aż tak daleko - odpowiedział Kyle. - Raczej północna Anglia, Northumberland czy coś.

Odróciwszy się w stronę domu, James zobaczył Marka vel Kenneta Marcussena, który brnął w ich stronę przez wysoką trawę, wymachując rękami.

- Wracajcie! - zawołał. - Wszyscy na was czekają.

Mark zaprowadził chłopców do ogromnej sali jadalnej ze sklepionym stropem i ciemnymi plamami na ścianach w miejscach, gdzie wiele lat temu wisiały obrazy. W jednym końcu pomieszczenia urządzono miniaturowe studio telewizyjne z kamerami na statywach z kółkami, masą reflektorów i stołem realizatorskim.

Na planie rozwieszono jasnoniebieskie tło, przed którym stały dwa eleganckie czarne krzesła, a między nimi klatka mogąca pomieścić człowieka. Połyskujące chromem pręty i dyndająca między nimi obroża sugerowały, że klatkę zaprojektowano bardziej jako efektowny rekwizyt niż narzędzie zniewolenia.

Jo stała na przeciwnym końcu sali przy wielkim flip-charcie, na którym wypisała szczegółowy plan operacji. James, Kyle i Tom dołączyli do zgromadzonego wokół niej gwarnego tłumku.

Po chwili jak spod ziemi wyrósł przy nich Viv, tym razem w świetnie skrojonym garniturze i kosztownie wyglądającym krakwacie.

Tom parsknął śmiechem.

- Pogodziliście się z Jo i bierzecie ślub?

- Szykowny garniaczek, no nie? - wyszczerzył się Viv. - Właśnie skończyłem zdjęcia próbne. Poprowadzę to przedstawienie.

- Jakie przedstawienie? - zapytał Kyle.

Zanim Viv zdążył odpowiedzieć, Jo głośno zaklaskała w dłonie. Wyglądała na zgrzaną, jakby po dźwiganiu ciężkich rzeczy, a spodnie wypychał jej nieodłączny pistolet.

- Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? – powiedziała surowym tonem.

Tłumek uciszył się. James naliczył w nim jedenaście osób, bez siebie i Kyle'a.

- Dobra - westchnęła Jo. - Dziękuję wam wszystkim za przybycie. Przykro mi, że wielu z was musiało odbyć tę podróż w poniżających warunkach, ale powodzenie naszej misji zależy od pełnej konspiracji. Z pewnością nie muszę wam przypominać, że podczas pobytu tutaj nie powinniście zdradzać swoich prawdziwych nazwisk ani podawać szczegółowych informacji o sobie ludziom, których dopiero co poznaliście. Inauguracja działalności AWZ kilka dni temu okazała się spektakularnym sukcesem. Z najnowszych wiadomości wynika, że Clyde Wainwright wciąż jest w stanie krytycznym i jest mało prawdopodobne, by wrócił do pracy na stanowisku prezesa Malarek UK. Mimo to opinia publiczna nadal nie zwraca uwagi na nasze przesłanie. Akcje ratowania zwierząt nie trafiają już nawet do wiadomości lokalnych, a choćby najbardziej spektakularne operacje niszczenia mienia budzą nikłe zainteresowanie. Żyjemy w społeczeństwie, które nie dba o religię, a jeszcze mniej o polityków i biznesmenów, którzy nim rządzą. Jest jednak gatunek ludzi, którzy wciąż budzą żywe zainteresowanie opinii publicznej: gwiazdy popkultury. Za mniej niż dwanaście godzin będziemy mieli sławnego gościa w klatce po drugiej stronie tej sali oraz własny program telewizyjny nadawany na żywo przez internet.

Jo przerwała na chwilę dla zbudowania napięcia. Wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Przez dwadzieścia cztery godziny w tym pomieszczeniu rozgrywać się będzie najbardziej sensacyjne wydarzenie medialne w historii ruchu bojowników o prawa zwierząt.



Jo pochyliła się do przodu i dramatycznym gestem zdarła pierwszą stronę z flipchartu, odsłaniając fotografię formatu A3: portret mężczyzny, którego natychmiast rozpoznali wszyscy zebrani.

- Towarzysze - uśmiechnęła się Jo. - Oto nasz gość specjalny, znany restaurator i popularny kucharz telewizyjny Nick Cobb!

## 31. STUDIO

Nick Cobb stał przed lustrem w swojej garderobie: pomieszczeniu bez okien wyposażonym w pasteloworóżową sofę i wyświechtany dywan upstrzony lśniącymi czarnymi smugami. Cobb pamiętał czasy, kiedy te rzeczy były nowe, a lustro z przynębiającą bezwzględnością przypominało mu, że sam postarzał się nie mniej niż meble.

Przeszedł długą drogę od swoich pierwszych występów w Tyneside Studios, gdzie zaczynał jako kucharz w dawno zapomnianym magazynie telewizyjnym. Teraz miał osiem restauracji, sporę udziałów w satelitarnym kanale The Gourmet Network, wydał jedenaście bestsellerowych książek o gotowaniu i prowadził najdłużej emitowany program kulinarny w historii amerykańskiej telewizji.

Cobb począpał do barku. Pomyślał o kieliszku wódki, ale była dziesiąta rano, a na myśl o zakurzonych butelkach i odciskach palców na szkle ogarnęło go obrzydzenie. Amanda, jego agentka prasowa, zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na pozwolenie.

Już miał zapytać, czemuż to właściwie zgodzili się wrócić do tej dziury, kiedy do pokoju wtoczyła się para wąskich szarych opon. Dziewczynka w wózku inwalidzkim miała trzynaście lat, ramiona chude jak gałązki i metalowe klamry na nogach. Cobb słyszał jej smętną historię, ale pamiętał tylko, że był zbyt zmęczony, by się spierać, kiedy zgodził się na wizytę w garderobie.

- Witam, młoda damo. Jesteś Gaynor, prawda? - powiedział Cobb, przełączając się na tryb czarusia z akcentem zaklinowanym niezgrabnie gdzieś pomiędzy Tyneside a Kalifornią.

Dziewczynka uśmiechnęła się i powiedziała coś, a właściwie wycharczała z powodu rurki sterczącej jej z gardła. Na szczęście mama Gaynor mogła tłumaczyć.

- Upiekła dla pana ciasteczka - wyjaśniła, sięgając do kosza pod wózkiem, by wyjąć stamtąd plastikowe pudełko z hermetyczną pokrywką.

Gaynor była słaba i oderwanie pokrywki zajęło jej pół minuty. Cobb spróbował wypełnić niezręczną ciszę, prosząc Amandę, by przyniosła dzbanek herbaty.

- I czyste porcelanowe filiżanki - dodał i zaraz przestraszył się, że uwaga zabrzmiała jak marudzenie bogatego palanta, którym przecież - jak sam siebie przekonywał - udało mu się nie zostać.

Cobb wyjął z pudełka biszkoptowy krążek i ugryzł, spodziewając się najgorszego.

- Mmm, to naprawdę fantastyczny biszkopt! - zawołał, pryskając okruchami.

Nie kłamał. Ciasto było wyśmienite: puszyste, ale nie za suche, z ożywiającą smak nutką wanilii. Jednak jakoś nie przychodziło mu do głowy, co jeszcze mógłby powiedzieć, i doskonały biszkopt niepostrzeżenie uczynił obecność rozradowanej Gaynor jeszcze bardziej przygnębiającą.

W swojej karierze Cobb widział wiele umierających dzieciaków, ale wciąż czuł się przy nich równie niezręcznie jak wtedy, gdy spotkał pierwszego osiemnaście lat wcześniej. Niby co miał powiedzieć? „Hej, Johnny, jak ci idzie całe to umieranie na raka”? Ale ignorowanie obecności śmierci i rozmawianie o czymś innym wywoływało tę nieznośną sztuczność, jakby próbował pływać, nie zwracając uwagi na aligatora po drugiej stronie basenu.

Nick zassał powietrze przez zęby.

- Tiaaaa - westchnął i sięgnął po kolejne przepyszne ciastko. - To jak, przyjechałaś samochodem? Duży był ruch?

Zerknął na swojego patka za szesnaście tysięcy dolarów, a potem obrzucił tęsknym wzrokiem drzwi, marząc o tym, by Amanda - mistrzyni niezobowiązującej pogawędki - wróciła już z herbatą.

\*

Po niespokojnej nocy przespanej na gołych deskach James obudził się o piątej rano. Podczas gdy Kyle pomagał mu ufarbować włosy na brązowo i postawić je na żel, omówił z nim szanse na pokrzyżowanie planów AWZ jeszcze przed rozpoczęciem operacji. Chodzi o to, że dwaj cherubini mieli przeciwko sobie jedenastu członków AWZ, z których kilku nosiło broń, sami zaś nie mieli pojęcia, gdzie są, i byli odcięci od świata. Ostatecznie postanowili grać dalej w nadziei, że wkrótce nadarzy się sposobność powstrzymania terrorystów, zanim komuś stanie się krzywda.

Po kolejnej godzinie spędzonej w pozbawionej okien dusznej skrzyni furgonetki James znalazł się w pierwszym rzędzie widowni studia przypiekany przez wiszące mu nad głową reflektory. Po jego obu stronach usiedli Mark i Adelajda.

AWZ dołożyła wszelkich starań, by uczynić go nierozpoznawalnym. Swoje zwykłe spodnie od dresu i piłkarską koszulkę zamienił na kostium półpunka: wytarte czarne glany, rurkowe džinsy z rozdarciami na kolanach oraz czarną bluzę z kapturem i napisem „The Ramones” na plecach. Włosy miał ufarbowane. Mark i Adelajda przeszli podobną metamorfozę na potrzeby telewizji na żywo.

Nick Cobb szczerzył się do kamer z eleganckiej niebieskiej kanapy, podczas gdy małżeństwo prezenterów Wendy i Otis Fokowie zadawało mu łatwe pytania. Entuzjastyczna publiczność nagradzała aplauzem każde słowo miejscowego chłopaka, który się wybił.

- Dobrze, Nick - powiedziała Wendy Fox, a James zadumał się nad ciężarem makijażu na jej twarzy. – Napisałeś więc tę mamucią biografię: dokładnie osiemset pięćdziesiąt sześć stron. Dlaczego uznałeś, że właśnie teraz jest najważniejszy moment w twoim życiu, by to zrobić?

Nick uśmiechnął się po raz kolejny.

- Sprzedałem mnóstwo książek kucharskich, a wydawcy od lat uganiaли się za mną, żądając autobiografii. Ale dopiero kiedy spotkałem moją współautorkę Penny Marshall, poczułem, że nareszcie znalazłem osobę, która potrafi mi pomóc w przeniesieniu mojego życia na papier.

- Cóż, muszę powiedzieć, że książka jest fascynująca - skomplementowała Wendy z uśmiechem. - Rozumiem, że zyski z jej sprzedaży przekazujesz na cele charytatywne.

- Absolutnie tak - przytaknął Cobb. - Parę lat temu stuknęła mi pięćdziesiątka. Wszystkie żony mnie opuściły, moi chłopcy są w college'u, więc pomyślałem, że pora popracować na coś więcej niż powiększanie własnego konta bankowego. Honoraria ze sprzedaży Dwóch słów o Cobbie wesprą cały koszyk organizacji, w tym Oxfam, Czerwony Krzyż oraz Fundację Szefów Kuchni. To lokalna inicjatywa z Tyneside prowadząca szkołę gastronomiczną dla dzieci ze środowisk społecznie upośledzonych.

Kiedy Cobb sycił się owacjami, zegarek Jamesa pokazał jedenastą pięćdziesiąt cztery. James poprawił okulary, nasunął kaptur na głowę i pociągnął sznurki, zaciskając go wokół twarzy.

W tej samej chwili Adelajda i Mark sięgnęli po broń ukrytą pod kurtkami.

- Nie ruszać się! - krzyknęła Adelajda, zrywając się z miejsca i pokazując pistolet.

Przez widownię przebiegł szmerek niedowierzania. Czyżby studencki dowcip? Ale Mark rozwiął wątpliwości, oddając strzał w sufit.

Pocisk strzaskał jedną z ogromnych lamp na kratownicowym stropie studia. Widzowie pod prysznicem gorącego szkła zaczęli krzyczeć, a James i Adelajda wdarli się na plan.

- Dawaj mikrofon - zażądała Adelajda, kiwając lufą w stronę Wendy Fox.

James odebrał od niej mikrofon i przypiął go do mikroportu współpracownicy.

- Przykro mi przerywać waszą poranną porcję rozrywki - powiedziała Adelajda głosem drżącym z emocji. - Ale Armia Wyzwolenia Zwierząt nie będzie stać bezczynnie, podczas gdy ludzie tacy jak Nick Cobb zarabiają miliony funtów na niewoli i cierpieniu zwierząt.

Adelajda rozwinęła transparent z adresem internetowym Armii Wyzwolenia Zwierząt, a James podszedł do oniemiałego Nicka Cobba, wyciągając kajdanki z kieszeni dzinsów.

- Ręce!

Cobb uśmiechnął się nieprzytomnie, wciąż niezdolny pojąć powagi sytuacji. W tej samej chwili Otis Fox zdecydował się rzucić na Jamesa. Niestety, najbardziej wyczerpującym ćwiczeniem, jakie tęgi prezenter wykonywał w ciągu minionej dekady, była przechadzka po polu golfowym i James bez trudu uniknął ciosu, by niemal jednocześnie wyprowadzić błyskawiczny kontratak. Zaciśnięte w jego dłoni kajdanki strzaskały Otisowi grzbiet nosa.

Wendy Fox wydała świński pisk, a prezenter runął na koniec sofy z twarzą zalaną krwią.

- I nie podskakuj! - rozkazał James.

- Jeszcze raz ktoś spróbuje takiego numeru, to zastrzelę kogoś z publiczności! - wrzasnął Mark, bezwiednie wymachując pistoletem w taki sposób, że lufa celowała w wózek Gaynor w pierwszym rzędzie.

W upiornej ciszy, jaka zapadła na widowni, słychać było tylko szlochanie kobiety poparzonej szczątkami reflektora.

Cobb wreszcie wyciągnął przed siebie ręce, by James mógł za-  
trzasnąć na nich skrwawione kajdanki. Mark wyszedł spośród  
wizdów i wziął na muszkę operatora kamery ustawionej niedale-  
ko wyjścia.

- Otwieraj drzwi!

Do studia wpadła smuga dziennego światła. James pchnął  
Cobba w stronę drzwi i wyszedł za nim prosto w dżdżysty pora-  
nek, po czym cała czwórka pobiegła przez parking do dwóch  
turystycznych motocykli. Mark otworzył kufer najbliższego z  
nich i rzucił Jamesowi kask i rękawice. Adelajda schowała pisto-  
let w kufrze swojej maszyny, zapięła swój kask, a drugi wcisnęła  
na głowę Cobbowi.

- Nie mogę prowadzić i strzelać - powiedział Mark, oddając  
pistolet Jamesowi. - Jest odbezpieczony.

Z bronią w ręku James miał szansę uwolnić Cobba, ale pamię-  
tał, że Kyle został z Jo, która zapewne zastrzeliłaby go na wieść o  
zdradzie.

- Jak ja mam się trzymać? - zaprotestował Cobb, potrząsając  
kajdankami.

Było to niedopatrzenie w starannie przemyślanym planie  
AWZ. Po krótkim namyśle Adelajda wyjęła z kieszeni mały klu-  
czyk i rozpięła kajdanki, po czym wskazała na Jamesa.

- Jeden głupi numer, a chłopak odstrzeli ci łeb.

Dwaj pracownicy studia wydostali się na zewnątrz przez wyj-  
ście ewakuacyjne i jeden z nich odważnie filmował akcję małą  
kamerą wideo. James pomachał im pistoletem, po czym wskoczył  
na miękkie tylne siedło gigantycznej hondy i objął Marka w pa-  
sie.

- Wszystko gotowe - powiedział.

Adelajda i Nick odjechali pierwsi. Dziewczyna wyciągnęła setkę  
na drodze wyjazdowej z parkingu, potem przyhamowała i szybko  
zerknąwszy przez ramię, wystrzeliła na niezbyt zatłoczoną dwu-  
pasmową szosę. Dwie hondy prędko zdublowały ograniczenie do

dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. James jeździł motocyklami crossowymi w Idaho, ale jeszcze nigdy nie dosiadał jednośladu pędzącego z tak wielką szybkością. AWZ rozmyślnie zaopatrzyła ich w obcisłe ubrania, ale nawet na maszynie turystycznej, z wielkimi owiewkami i wiatrochronem, jego spodnie łopotały jak oszalałe, boleśnie chłoszcząc łydki, a wciskający się do ust wiatr poważnie utrudniał oddychanie.

Motocykle połykały asfalt, pędząc w ciasnym szyku. James obejrzał się, by zobaczyć, czy nie ściga ich policja. Jo ustaliła, że najbliższy posterunek jest oddalony od studia o piętnaście minut drogi, ale nie można było wykluczyć, że jakiś samochód pościgowy przypadkiem znajdzie się w pobliżu.

Slalom między samochodami, w ryku wichury i z rozpędzoną wstęgą asfaltu o kilka centymetrów od buta, był jednym z najbardziej przerażających doznań w jego życiu. James nie był ubrany w przepisowy strój motocyklowy z wkładkami ochronnymi i nie miał pojęcia, jakie doświadczenie miał Mark w prowadzeniu ciężkiego motocykla na wilgotnej nawierzchni. Starał się odgonić straszliwe obrazy przeszczepów skóry i potrzaskanych kości, jakie widywał w pismach motocyklowych, ale te uparcie pojawiały się w jego głowie, coraz bardziej wilgotnej od potu.

Na szczęście jazda trwała krótko. Mark i Adelajda przejechali trzynaście kilometrów w niespełna pięć minut, po czym zjechali z szosy, by już z rozsądniejszą prędkością pomknąć pustą boczną drogą wzdłuż szeregu nieczynnych składów magazynowych.

Zatrzymali się na placu opuszczonego terminalu kontenerowego nad brzegiem Tyne. Czekwały tam na nich dwie furgonetki i dwa auta osobowe. W jednej z furgonetek na progu otwartych tylnych drzwi siedzieli Jo i Kyle. Na widok nowo przybyłych poderwali się, a Kyle wysunął z kabiny metalową rampę.



Pasażerowie motocykli zsiadli z nich, po czym kierowcy wprowadzili swoje maszyny do samochodu i zgasili silniki. Kaski i rękawice wrzucono do środka w ślad za motorami, a potem James i Kyle unieśli koniec rampy i z hałasem wsunęli ją do kabiny. Jo wycelowała pistolet w Cobba i poprowadziła go w stronę niebieskiej furgonetki zaparkowanej dwadzieścia metrów dalej. James rozejrzał się i pochylił do Kyle'a.

- Mam broń Marka - wyszeptał. - Myślisz, że damy radę ich zdjąć?

- Bez szans. - Kyle pokręcił głową. - Jo ma pistolet, Adelajda też, w samochodzie za rogiem czeka kolejny uzbrojony facet, a Tom robi za czujkę na dachu.

- Cholera - wymamrotał James. - Nawet gdyby się udało, to byłaby krwawa łaźnia.

Nad nimi zagrzemiał policyjny śmigłowiec. Wszyscy z przerażeniem spojrzeli w górę, ale maszyna leciała wysoko i szybko, zapewne zmierzając do Tyneside Studios.

Mark ruszył w stronę chłopców, trzymając się za serce.

- O mało nie dostałem zawału - wyszczerzył się radośnie, a Kyle trzasnął drzwiami furgonetki.

- Ty prowadzisz? - zapytał James, wskazując samochód ruchem głowy.

Kyle przytaknął, a potem przyciągnął Jamesa do siebie, by go uścisnąć.

- Na razie, stary.

- Jedź bezpiecznie - powiedział James, czując, jak Kyle ukradkiem wsuwa mu do kieszeni jakąś kartkę.

Niebieska furgonetka z Jo za kierownicą i zakutym w kajdanki Cobbem z tyłu przemknęła obok chłopców, chlapiąc wodą spod kół. Mark wyciągnął samochodowe kluczyki i zadzwonił nimi Jamesowi przed nosem.

- Ruchy, James - powiedział. - Adelajda już się przebrała. Musimy zjeżdżać na metę.

Kyle zamknął się w szoferce furgonetki z motocyklami, a James i Mark szybkim krokiem podeszli do małego renault zaparkowanego za rogiem. Adelajda machnęła im na pożegnanie, przemykając tuż obok w niewielkim mini. Widząc, że zakładnik już odjechał, Tom zeskoczył z dachu i kilka sekund później odjechał wraz z Kyle'em.

Mark otworzył bagażnik renault. Zdjął buty i zaczął pośpiesznie przebierać się w dres i białe płócienne tenisówki. James zdjął wierzchnie przebranie punka, odsłaniając białą koszulkę tenisową i niebieskie krótkie spodenki. Następnie sięgnął na tylną kanapę auta i wyjął parę białych adidasów z torby zawierającej także rakiety tenisowe i piłki.

Ubrania, buty i okulary, których użyli podczas porwania, wrzucili do czarnego worka na śmieci przeznaczonego do spalania. Mark kazał Jamesowi schować pistolet w pokrowcu jednej z rakiet.

Kiedy wyjeżdżali z terminalu, James znów zerknął na zegarek: było siedem po dwunastej. Trzydzieści minut wcześniej byli zamaskowanymi punkami wymachującymi bronią w studiu telewizyjnym. Teraz mieli inny wóz i wyglądali jak ojciec i syn wybierający się na korty na popołudniowy mecz.

## 32. KOLIBER

James, Mark i Adelajda zakończyli swoją rolę w operacji, ale nadal musieli postępować według ścisłych reguł narzuconych im przez Jo. Choć w studiu wystąpili w przebraniu, istniało niebezpieczeństwo, że ktoś z widzów ich rozpozna, dlatego cała trójka miała nie pokazywać się publicznie aż do zakończenia akcji. Jo rozkazała im zaszyć się na tak zwanej mecie: w miejscu, gdzie mogli się nawzajem pilnować. Nie wolno im było wychodzić na zewnątrz ani podejmować prób skontaktowania się z rodziną i znajomymi.

Renault dotarł na miejsce kilka minut po mini. Zaparkował przed segmentowym domem w nadmorskim miasteczku Whitley Bay. James zaraz po wejściu pognął na górę, cisnął plecak na podłogę i dopadł drzwi łazienki. Niestety, były zamknięte na zasuwkę.

- Jeszcze momencik! - zawołała Adelajda.

Mark zamknął drzwi wejściowe na klucz, wszedł do pokoju dziennego i włączył News 24.

- Jesteśmy sensacją dnia - zawołał radośnie.

James był rozdarty pomiędzy potrzebą fizjologiczną a chęcią obejrzenia wiadomości, ale Adelajda właśnie wychodziła. Strząsnęła wodę z dłoni i zaskoczyła Jamesa, przytulając go mocno do piersi.

- Byłeś cholernie dobry, dzieciaku - powiedziała, cmokając go w policzek. - Cholernie dobry.

- Dzięki. Ty też nieźle się spisałaś - rzucił James i zatrzasnął za sobą drzwi łazienki.

Na wieszaku wisiały ręczniki, a na umywalce leżał wiórek mydła. Najwyraźniej AWZ wynajmowała czyjś dom i nie był to pałac.

James wyjął z kieszeni skrawek papieru podrzucony mu przed odjazdem. Sam został wywieziony z farmy w skrzyni furgonetki i nie miał pojęcia, gdzie to jest, ale Kyle prowadził i musiał wiedzieć, skąd przyjechał. Na kartce były tylko cztery słowa skreślone starannym pismem Kyle'a: „Farma Kolibra pod Rothbury”.

Była to informacja, na jaką James liczył, ale wiedział też, że przemycenie jej na zewnątrz nie będzie łatwe. Plan AWZ nakazywał mu tkwić w mieszkaniu przez dwadzieścia osiem godzin, po czym Mark miał zawieźć go na stację i wsadzić do pociągu do Bristolu. James nie miał telefonu, drzwi wyjściowe były zamknięte na klucz, a Mark i Adelajda mieli broń.

James przypuszczał, że byłby w stanie uciec Markowi i Adelajdzie, ale naraziłby Kyle'a na niebezpieczeństwo, gdyby wieść o jego zdradzie dotarła do Farmy Kolibra.

James po wyjściu z łazienki udał się do salonu, kierując się głosem ryczącego na cały regulator telewizora. Mark i Adelajda siedzieli na kanapie, a spiker podnieconym głosem komentował zdjęcia z Tyneside Studios. Na ekranie rozgrywała się scena porwania, podczas gdy na pasku przewijał się napis: „Porwanie telewizyjnego kucharza”.

Choć dwaj operatorzy na planie spanikowali i zaprzestali filmowania, w studiu było kilka kamer sterowanych zdalnie i reżyser Otis and Wendy Show trzymał swoje widowisko na antenie, z widoczną wprawą zmieniając ujęcia w miarę rozwoju wydarzeń.

- Ajajaj, to musiało boleć - wyszczerzył się James, podziwiając swoje punkowe wcielenie nokautujące Otisa Foksa.

Wtedy kamera pokazała zbliżenie Gaynor płaczącej na swoim wózku, podczas gdy pistolet Marka celował jej w twarz. Spiker przemawiał surowym tonem:

- Te zdjęcia wykonano czterdzieści minut temu w Tyneside Studios pod Newcastle. Znany kucharz telewizyjny Nick Cobb został uprowadzony w trakcie programu nadawanego na żywo i wywieziony przez porywaczy motocyklem. W chwili obecnej policja nie zna miejsca pobytu Cobba. Trwają poszukiwania trojga porywaczy. Do porwania przyznała się Armia Wyzwolenia Zwierząt, która w wydanym oświadczeniu ogłosiła, że Cobb wystąpi w transmisji internetowej na żywo, która rozpocznie się dziś o godzinie trzynastej.

\*

Jazda znad brzegów Tyne do gospodarstwa Farma Kolibra trwała niecałą godzinę. Dwie furgonetki ścigające się na wiejskich drogach zwracałyby na siebie uwagę, dlatego samochód z Jo za kierownicą i Nickiem Cobbem pod lufą pojechał szybko, podczas gdy Kyle i Tom przyjęli spacerowe tempo.

Kiedy dotarli na miejsce, bramę otworzyła im przysadzista kobieta o imieniu Chase. Przez ramię przewiesiła sobie karabinek szturmowy i z tego, co wiedział Kyle, była to jedyna broń automatyczna w niezbyt okazałym arsenale AWZ.

- Jedź na podwórko na tyłach i zaparkuj koło stodoły - rozkazała Chase, a potem uśmiechnęła się. - Lepiej się pospieszcie, transmisja zaraz się zacznie.

Kyle wysiadł z furgonetki, pamiętając, by wyjąć kluczyki ze stacyjki i schować do kieszeni. Serce biło mu mocniej niż zwykle.

- Podekscytowany? - zapytał Tom, kiedy chłopcy stanęli za samochodem, by spojrzeć na siebie.

- Trochę podekscytowany, trochę przestraszony - powiedział niepewnie Kyle.

Podeszli do siebie i pocałowali się. Kyle'em targały sprzeczne uczucia: Tom był świetnym facetem, miał wspaniałe ciało i w ogóle wszystko, czego Kyle pragnął w swoim chłopaku, oprócz jednego, trudnego do zignorowania faktu, że był po ciemnej stronie mocy.

- Powinniśmy wyjechać gdzieś razem na wakacje, kiedy to się skończy - powiedział Tom. - Tylko ty i ja. Odłożyłem dość kasy na dwa tanie bilety do Grecji, moglibyśmy powłóczyć się z namiotem przez dwa tygodnie. Myślisz, że mama by cię puściła?

Plan Toma sprawił Kyle'a w przygnębienie. Niczego nie pragnął bardziej niż włóczyć nad Morzem Śródziemnym z Tomem, ale było to nierealne.

- Jak mnie nie puści, ucieknę z tobą - powiedział Kyle.

- Zamówię bilety, jak tylko wrócimy - ucieszył się Tom i zerknął na zegarek. - Idziemy zobaczyć telewizyjny debiut Viva?

Studyjne reflektory podgrzały salę jadalną do nieznosnej temperatury. Stara instalacja elektryczna budynku nie mogłaby sprostać wymaganiom takiej ilości sprzętu, dlatego wiązki kabli wyprowadzono przez okna do spalinowego generatora ustawionego na trawniku za domem.

Za kamerami stały dwie kobiety. Jay zasiadł przy rozkładanym stole naprzeciw trzech monitorów i wystarczającej liczby guzików, by wystrzelić prom kosmiczny. Wywrzaskiwał polecenia do dwóch nastoletnich technicznych, którzy dokonywali ostatnich poprawek w ustawieniu świateł i mikrofonów nad miniaturowym planem.

Viv stał na środku sceny. Wysoki, młody, postawny, wyglądałby w każdym calu jak ambitny początkujący prezenter, gdyby nie czarna kominiarka na głowie. Jo wręczyła Tomowi i Kyle'owi identyczne nakrycia głowy.

- W studiu nie wolno wam ich zdejmować, na wypadek gdyby kamera przypadkiem uchwyciła któregoś z was - pouczyła chłopców,

ściskając im dłonie na powitanie. - A przy okazji: świetna robota dziś rano.

- Gdzie Cobb? - zainteresował się Tom.

- W pokoju obok. Zależało mi, żeby nie widział planu, zanim będziemy gotowi. Chcę, żeby kamery uchwyciły jego reakcję, kiedy ujrzy klatkę.

- Kto zobaczy tę transmisję? - zapytał Kyle.

- Będziemy puszczać na żywo przez internet. Strona publiczna mogłaby się zapchać, gdyby podłączyło się zbyt wielu użytkowników, ale wszystkie duże organizacje medialne dostały od nas kody dostępu do szybkich stron, z których pobiorą sobie wideo o jakości nadającej się do emisji.

- A jak wytropią nas tutaj po sygnale? - Kyle udał zaniepokojonego. Jo potrzęsła głową i uśmiechnęła się uspokajająco.

- O to się nie martwcie, chłopcy. Nad techniczną stroną tej akcji pracowałam ponad trzy lata. Obraz wysyłamy przez szyfrowane łącze satelitarne do serwerów rozsianych po całym świecie. Istnieje ryzyko, że ktoś wyłączy nasze serwery i uniemożliwi nam nadawanie, ale żeby fizycznie dopaść nas tutaj, policja musiałaby śledzić nas od samego studia albo dostać od kogoś cynk.

- Dobra, a teraz wszyscy cicho! - wrzasnął Jay. - Wchodzimy na antenę za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

\*

- W-witam - zająknął się Viv, potykając się na pierwszym słowie, kiedy wyobraził sobie tysiące, być może miliony ludzi oglądających transmisję AWZ. - Oglądacie TV Wyzwolenie nadającą na żywo, przez internet, z... - Viv zrobił efektowną pauzę. - Cóż, może lepiej zachowam to dla siebie. Dzisiejszy program przygotowała Armia Wyzwolenia Zwierząt, która wierzy w zakończenie wszelkich form znęcania się nad zwierzętami i wolny od wykorzystywania zwierząt styl życia, prowadzący ku środowiskowo

zrównoważonej przyszłości naszej planety.

Jay przeczucił przełącznik i TV Wyzwolenie zaczęła nadawać grafikę komputerową:

#### OKRUTNY FAKT nr 1

W ubiegłym roku 600 000 000 owiec, krów, świń i kurczaków hodowano tylko po to, by je zabić i przerobić na karmę dla domowych psów i kotów.

Warzywa, jakimi tuczono te zwierzęta, wystarczyłyby do nakarmienia wszystkich niedożywionych dzieci na Ziemi.

- Ale przecież nie oglądacie nas dla faktów – powiedział pogodnie Viv, kiedy znów znalazł się na wizji. – Oglądacie nas dla naszego bardzo wyjątkowego gościa, pana Nicka Cobba.

Cobb został wprowadzony na scenę, ubrany jedynie w sięgający mu do kolan T-shirt z króliczkiem.

- Zapraszam, a publiczność proszę o gorące oklaski.

Przez salę jadalną przebiegła fala słabych kłapięć, a Viv i Nick usiedli na czarnych krzesłach.

- Serdecznie dziękuję za przybycie - powiedział Viv, uśmiechając się sarkastycznie pod kominiarką. - Jak wolisz, żeby do ciebie mówić? Cobb? Nick? Nikuś? Cobbiaczku?

- Nie gram w wasze gry - powiedział gniewnie Cobb. - Jestem tu przetrzymywany wbrew własnej woli, a wy wszyscy traficie za kratki.

Miękki kalifornijski ton w jego głosie ulotnił się bez śladu. Cobb mówił tak, jakby chciał się bić.

- Nick, ale ty jesteś jeden - szydził Viv. - Miliardy twoich mniejszych braci przetrzymuje się w warunkach znacznie gorszych niż ten pokój, na farmach i w laboratoriach całego świata.



- A daj mi spokój, pompatyczny palancie - mruknął lekceważąco Cobb.

Viv wybuchnął śmiechem.

- Cobby, kochanie, ostatnio ostro pchałeś się do różnych talk-show, żeby gadać o tej ponurej autobiografii. Wśród rzeczy, o których twoja książka nie wspomina, jest linia kuchennych produktów do czyszczenia Cobb Cleanse. Niestety, nie można ich kupić u nas, ale ponoć za Atlantykiem są prawdziwym przebojem.

Nick rzucił dręczycielowi wyzywające spojrzenie. Viv mówił dalej.

- Moi przyjaciele z Armii Wyzwolenia Zwierząt dowiedzieli się ciekawych rzeczy o płynie Cobb Cleanse Zlew i Błat. W dwa tysiące trzecim roku trzyletnia dziewczynka z Alabamy wypła trochę płynu Zlew i Błat, który, nie trzeba chyba dodawać, bardzo jej zaszkodził. Dziewczynce udało się dostać do butelki z powodu wadliwej partii tak zwanych bezpiecznych zakrętek i jej rodzice pozwali twoją firmę Cobb Cleanse Inc., domagając się sześćdziesięciu milionów dolarów odszkodowania. A teraz, panie Cobb, może zechce pan opowiedzieć naszym widzom, co pan zrobił, kiedy dowiedział się pan o pozwie?

Cobb zlekceważył pytanie. Viv pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, i zajął mu głęboko w oczy.

- Cobby, wiem że jesteś przyzwyczajony do występów w telewizji i robienia wszystkiego po swojemu, ale jeżeli nie będziesz odpowiadał na pytania, program zrobi się nieznośnie nudny, a jeśli ktoś przynudza w TV Wyzwolenie, może się zdarzyć, że postanowimy nieco ożywić atmosferę, na przykład strzelając mu w łeb.

- Jesteś zasmarkanym małym sukinsynem - wysyczał Cobb. - Rozpuszczone gnojki twojego pokroju nie mają pojęcia o prawdziwym świecie i szczerze mówiąc, wolałbym dać się zastrzelić,

niż dalej słuchać twojego lewackiego pieprzenia.

Wybuch zaskoczył Viva, który mimo to postanowił nie dać zbić się z tropu.

- Cóż, panie Cobb, pańskie życzenie być może zostanie spełnione, ale nieco później. Najpierw dokończę moją historię. Bo widzicie, drodzy widzowie, kiedy prawnicy Nicka Cobba dowiedzieli się, że rodzice dziewczynki pozywają firmę za spustoszenia, jakich płyn do czyszczenia dokonał w jej układzie pokarmowym, postanowili oprzeć swoją linię obrony na założeniu, że strona pozywająca znacznie zawyżyła stopień szkodliwości Cobb Cleanse. Aby tego dowieść, Cobb Cleanse Inc. zamówiła w amerykańskiej filii Malarek Research eksperyment za dwadzieścia trzy tysiące dolarów. Podczas testów, które raczył zlecić Nick Cobb, sto osiem królików napojono płynem Cobb Cleanse Zlew i Błat. Następnie zwierzęta pozostawiono na trzy dni, podczas których środek powoli wypalał im trzewia. Nie dano im nawet kropli wody. W ciągu tych trzech dni osiemdziesiąt jeden królików zdechło z powodu krwotoku wewnętrznego. Resztę zagazowano, a truchełka pocięto, by zmierzyć stopień uszkodzeń spowodowanych przez Cobb Cleanse.

Jay zmienił obraz na kolejną grafikę:

#### OKRUTNY FAKT nr 2

Od 1995 r. ponad 80 000 zwierząt uśmiercono w doświadczeniach laboratoryjnych przeprowadzanych nie dla celów naukowych, ale dla dostarczenia dowodów w procesach sądowych.

Viv ponuro pokręcił zamaskowaną głową.

- Wiesz, Cobb, moim zdaniem przeprowadzenie takich testów mógł zlecić tylko bardzo zły człowiek. Armia Wyzwolenia Zwierząt

sprowadziła cię tutaj, aby pomścić śmierć tych stu ośmiu króliczków. Zamkniemy cię w klatce i poczęstujemy kilkoma odświeżającymi łykami płynu Cobb Cleanse Zlew i Błat. Następnie wycelujemy w ciebie kamery i pozwolimy naszym widzom patrzeć, jak cierpisz przez następne dwadzieścia cztery godziny. Czyż to nie brzmi przepysznie?

### 33. KLATKA

Nicka Cobba wleczonego przez studio pokazywały na żywo CNN, ITN, BBC, NBC, a nawet kanały biznesowe. James, Mark i Adelajda siedzieli ściśnięci na kanapie w Whitley Bay, obserwując rozwój wypadków.

- Terroryzm w reality TV wsparty potęgą internetu - grzmiał komentator. - Widowisko odpychające, a zarazem intrygujące do tego stopnia, że absolutnie nie sposób odwrócić wzrok od ekranu.

James patrzył, jak Cobb zostaje wepchnięty do klatki przez Viva i dwóch zamaskowanych nastolatków, których poznał w przelocie poprzedniego wieczoru. Szyję kucharza zamknięto w obroży, tak by jego głowa wystawała pomiędzy prętami.

- Dokładnie to samo zrobiono z króliczkami, Cobby - wyjaśnił Viv. - Pragnę też podkreślić, że ani ja, ani moi koledzy nie mamy żadnego przeszkolenia medycznego, dokładnie tak samo jak asystenci laboratoryjni firmy Malarek.

Viv zatrzasnął drzwi klatki, po czym odebrał od pomocnika szklanekę i butelkę Cobb Cleanse.

- Mmm, sosnowa świeżość - wyszczerzył się, wyciskając do naczynia niebieski płyn. - Czyż nie burczy ci w brzuchu na sam widok? Widzowie w domach mogą zakładać się, czy przeżyjesz, czy umrzesz. A jeśli ktoś ogląda nas przez stronę internetową, zapraszam do wzięcia udziału w naszej ankiecie online.

Cobb jęknął rozpaczliwie, kiedy Viv ścisnął mu nozdrza, by zmusić do oddychania przez usta. Podczas gdy jeden z nastolatków próbował rozewrzeć ofierze szczęki, drugi przyniósł elastyczną rurę żołądkową z lejkiem.

- No dalej, Cobby, niejadku jeden - naciskał pogodnie Viv. - Bądź dobrym królisem i wcinaj swoje papu.

Ekran małego telewizorka szerniał na sekundę, po czym pojawiła się na nim twarz lekko zaskoczonego prezentera.

- *Cóż, zdaje się, że nasz reżyser postanowił nie pokazywać tych głęboko poruszających scen. Będziemy jednak nadal śledzić tę szybko rozwijającą się historię.*

Mark przemknął przez kanały informacyjne, ale wyglądało na to, że każdy realizator w Wielkiej Brytanii i Ameryce uznał scenę wpychania rury do gardła znanej osobistości za zbyt szokującą, by móc puścić ją w eter.

Adelajda zacamowała z dezaprobatą.

- Nie rozumiem. Przecież pokazujemy tylko zabieg, jaki codziennie wykonuje się na tysiącach zwierząt.

- Mamy tu internet? - zapytał James.

- Skąd - powiedziała Adelajda. - Tu nie ma nawet telefonu.

James wzruszył ramionami.

- Ktoś ma ochotę na herbatę?

- Jasne - uśmiechnęła się Adelajda.

- Ja też poproszę - skinął głową Mark. - I trzy kostki cukru.

James wysłiznął się spomiędzy swoich współników i poczłapał do kuchni. Nastawił wodę i czekając, aż się zagotuje, spróbował przemyśleć sytuację. Zdał sobie sprawę, że dał się wciągnąć w całą tę telewizyjną aferę, zapominając o swoim najważniejszym zadaniu: znalezieniu sposobu na przekazanie Zarze informacji o Farmie Kolibra bez narażania Kyle'a na niebezpieczeństwo.

Odkąd przybyli do domu, nikt z farmy nie próbował się z nimi skontaktować. James uznał, że wszyscy są zajęci transmisją i swoim więźniem, a poza tym dlaczego ktoś miałby się kontaktować z trojgiem ludzi zamkniętych w kryjówce i oglądających telewizję?

Kiedy czajnik zaczął szumieć, James uświadomił sobie, że dwa czynniki działają na jego korzyść. Po pierwsze, w domu nie było telefonu stacjonarnego, a ponieważ komórki bywają zawodne, ekipa ze studia na Farmie Kolibra prawdopodobnie nie byłaby specjalnie zaniepokojona, nie mogąc dodzwonić się do Marka i Adelajdy. Po drugie, Kyle był doświadczonym agentem. Podał Jamesowi lokalizację studia i z pewnością ubezpieczył się na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco.

Zalewając wrzątkiem herbatę w imbryku, James podjął decyzję: załatwi Marka i Adelajdę. Największym problemem była ich broń. Pistolet Marka wciąż był w torbie ze sprzętem tenisowym, która teraz leżała w salonie obok zestawu stolików. Oznaczało to wprawdzie, że jest nieosiągalny dla Jamesa, ale Mark też nie mógł po prostu po niego sięgnąć.

Trudniejsza była sprawa pistoletu Adelajdy. James nie miał pojęcia, gdzie jest ani nawet czy wyjęła go z kufra motocykla. Postanowił, że najpierw zajmie się dziewczyną.

Podczas gdy herbata powoli nabierała koloru, James przeszukał kuchenne szuflady, z których wyjął nożyczki i kłębek grubego nylonowego sznurka. Szarpnął solidnie, upewniając się, że jest wystarczająco mocny, a potem odciął z niego sześć dwumetrowych odcinków. Każdy z nich zaplątał w dwie pętle ściągane przesuwным węzłem. Następnie zdjął ściereczkę z haczyka, dokładnie zmoczył ją pod kranem, wycisnął, złożył na cztery i położył na blacie obok sznurka.

Okna w salonie były zasłonięte, by popołudniowe słońce nie przyćmiewało obrazu na ekranie telewizora. James wkroczył w

półmrok i podszedł do kanapy, by rozdać parujące kubki.

- Dzięki, James - powiedziała Adelajda.

- Coś się wydarzyło? - zapytał. Mark potrząsnął głową.

- Nie pokazują nic na żywo, tylko jakichś starych pierdzieli w studiu, którzy się kłócą, co będzie dalej.

- Słuchaj, Adelajda - powiedział James. - Wskoczyła mi jakaś wysypka na głowie, chyba od tej farby. Rzuciłabyś na to okiem?

- Pewnie - powiedziała Adelajda, wstając. James zawrócił do kuchni.

- A ty dokąd?

- W kuchni jest jaśniej.

Adelajda sapnęła z niechęcią, ale poszła za nim.

- Jeśli rzeczywiście tak reagujesz na farbę, to najprościej będzie wskoczyć pod prysznic i ją zmyć.

Dziewczyna była tego samego wzrostu co James, więc nie przewidywał kłopotów z jej obezwładnieniem. Trudność polegała na zrobieniu tego tak, by Mark niczego nie usłyszał.

- Usiądź na jakimś stołku - powiedziała Adelajda. - Stąd niczego nie zobaczę.

- A w ogóle to co się stało z twoim pistoletem? - zapytał James. - Zostawiłaś w motorze?

Adelajda wyglądała na zaskoczoną nagłą zmianą tematu.

- Jest tutaj, a co? - powiedziała, unosząc dół koszulki, by odsłonić broń wetkniętą za ściągacz spodni od dresu.

Kiedy tylko James zobaczył pistolet, gwałtownym ruchem zgarnął z blatu wilgotną ściereczkę. Drugą ręką złapał Adelajdę za nadgarstek i wykręcił jej rękę za plecami, jednocześnie próbując wepchnąć jej mokry materiał do ust.

Adelajda rozpląszczyła się na ścianie, z jedną ręką unieruchomioną w bolesnej dźwigni. Wściekłe kopnięcie w tył trafiło Jamesa w kolano, ale nie zdołało osłabić nacisku.

- Mogę złamać ci rękę jak patyczek - wysyczał z furią James, zacieśniając chwyt, by dać znać, że nie żartuje. - Otwieraj gębę.

James wpychał Adelajdzie do ust kolejne fałdy ścierki, dopóki nie zaczopował ich na sztywno. Upewniwszy się, że knebel siedzi mocno, wyrwał dziewczynie pistolet zza pasa i puścił ją.

- Wyciągnij nadgarstki.

James wetknął broń do kieszeni szortów i wziął z blatu jeden z przygotowanych wcześniej sznurków. Zaczepił dwie pętle na nadgarstkach Adelajdy, ściągnął je i zabezpieczył dodatkowym węzłem. Zerknął jeszcze na korytarz, by sprawdzić, czy nie ma tam Marka, po czym wyszeptał dziewczynie do ucha:

- Nic ci nie zrobię, jeżeli będziesz mnie słuchać, okej?

- Mfff - skinęła głową Adelajda.

- Wejdiesz ze mną do pokoju, posadzisz tyłek na fotelu i będziesz siedzieć cicho, jasne?

James zgarnął pozostałe sznurki, wyciągnął pistolet i pchnął Adelajdę w stronę drzwi.

- Co, do diabła! - krzyknął Mark na widok dziewczyny z mokrą ścierką w ustach. Jego wzrok przeskakiwał z Jamesa na sportową torbę przy stolikach.

- Nie zdążysz - powiedział James, pokazując pistolet i używając twardego spokojnego tonu, jaki wiele razy ćwiczył na szkoleniach. - Weź ten sznurek i zwiąż Adelajdzie kostki.

- Posłuchaj, James - powiedział Mark. - Wiem, że jesteś młody i że oglądając to wszystko w telewizji, trochę się wystraszyłeś, ale uciekając od nas, nie poprawisz swojej sytuacji. Najlepszym sposobem na uniknięcie kłopotów jest trzymanie się planu.

- Dziękuję za troskę. A teraz weź ten sznurek i zwiąż jej kostki albo odstrzelę ci głowę.



Mark przełożył ramię za oparcie kanapy i uśmiechnął się po-błaźliwie.

- To żaden wstyd się bać, James, ale postępujesz głupio. Nikt z nas nie zostanie złapany, dopóki trzymamy się planu.

W tle rozmowy buczeli telewizyjni eksperci:

- Policja poprosiła nas o wstrzymanie nadawania przekazu Armii Wyzwolenia Zwierząt. Możemy jednak poinformować państwa, że w przeliku Nicka Cobba przemocą umieszczono rurę, przez którą wiano mu do żołądka około pół litra płynu do czyszczenia. W tym momencie trudno przewidzieć skutki tego... zabiegu, ale zaproszony do studia lekarz stwierdził, że dawka może okazać się śmiertelna, jeżeli Nick Cobb nie otrzyma pomocy medycznej w ciągu najbliższych dwóch, trzech godzin.

James uświadomił sobie, że nie ma czasu na dyskusje z Markiem.

- Dobra! - krzyknął, ruszając naprzód. – Próbowałem być miły.

Wcale nie jest łatwo obezwładnić kogoś, kto siedzi na niskiej kanapie, zwłaszcza jeśli ten ktoś ma długie ręce i nogi. James oparł kolano na siedzisku i zamachnął się rękojeścią pistoletu, celując w głowę Marka. Niestety, chybił i Mark zdołał objąć go ramieniem.

W walce z silnym przeciwnikiem, takim jak Viv, źle wymierzony cios mógłby kosztować go wygraną, ale Mark był warty i James zdołał wywinąć się z niezgrabnego chwytu, by w następnej chwili wyprowadzić lepsze uderzenie pustą ręką.

Trafił w bok głowy i nie zwlekając poprawił pistoletem, który spadł Markowi na usta, obluzowując mu dwa zęby. Ale Mark nie stracił przytomności i szamotał się wściekle, kiedy James krępował mu ręce za plecami.

- No i spójrz tylko, jak ty wyglądasz - powiedział gniewnie James. - I czyja to wina?

Podnosząc się, James spostrzegł, że koszulkę ma powalaną krwią. Spomiędzy poduszek kanapy wyjął telefon Marka i pogroził pistoletem swoim spętanym ofiarom.

- Do tej pory byłem milutki - powiedział złowróbnym tonem - ale jak usłyszę choćby piśnienie, to jak słowo daję, zastrzelę oboje.

James wyszedł do przedpokoju, otworzył telefon i wystukał numer Zary.

- James, dzięki Bogu. Jesteś bezpieczny?

- Na razie - powiedział James, obserwując perełki krwi wysączające się z zadrapań na kostkach jego dłoni. - Jestem w jakimś domu w Whitley Bay. Nick Cobb jest w posiadłości Farma Koli-bra pod Rothbury. Kyle też tam jest.

## 34. KREW

To była najokropniejsza rzecz, jaką Kyle kiedykolwiek widział. Nick Cobb zwymiotował, kiedy tylko wyjęto mu rurę z gardła, a przez następną godzinę skręcał się w torsjach. Na początku zwrócił tylko jedzenie wymieszane z Cobb Cleanse, ale w miarę jak żrąca substancja przepalała mu wnętrzności, coraz obficiej pluł krwią.

Viv puszył się przed kamerami. Wtykał mikrofon między pręty klatki, nieustannie dręcząc Cobba pytaniami o jego cierpienia. Odczytał nawet przepis na pasztet z królika z książki kucharskiej autorstwa swojej ofiary.

Cobb na początku zachowywał się wyzywająco, ale wkrótce ból zmusił go do przełknięcia dumy i błagania o łyk wody.

- Zapłaciłeś, żeby sto osiem królików cierpiało dokładnie w taki sposób - zagrzmiął Viv. - One nie dostały wody, więc ty również jej nie dostaniesz. AWZ chce, żebyście wszyscy zdali sobie z czegoś sprawę. Rolnicy, naukowcy, dyrektorzy supermarketów, pracownicy laboratoriów i konsumenci: to dopiero początek! Kiedy AWZ was dopadnie, będziecie cierpieć w taki sam sposób, w jaki każecie cierpieć zwierzętom.

Kyle i Tom siedzieli na nadjeźdzonej przez korniki ławie z tyłu sali. Przez drzwi obok nich wparowała Jo z telefonem przy uchu.

- Zeszliśmy z anteny - ogłosiła, gniewnym ruchem zatrzasnąjąc komórkę. - Nie jestem pewna, jak to zrobili, ale żaden z naszych serwerów nie odbiera sygnału.

Pokój wypełniły jęki zawodu. Jay odwrócił się od konsoli.

- Mamy filmować dalej ?

- Czemu nie? - Jo wzruszyła ramionami. - Możemy wykorzystać zdjęcia później, choć nie będzie to miało nawet w połowie takiego wykopu jak program na żywo.

Na planie Viv dostrzegł iskierkę nadziei w oczach Nicka Cobba.

- No dalej, śmieję się, króliczku - rzucił i skrzywił się, kopiąc w pręty. - Ty i tak zdechniesz w tej klatce.

Cobb uniósł się na rękach, by zwymiotować, ale nie miał już czym i tylko wygiął się konwulsyjnie, by znów opaść bezwładnie na podłogę.

Tom wstał i szybkim krokiem wyszedł z sali, Kyle ruszył za nim wyłożonym boazerią korytarzem, a potem na trawnik przed domem. Było gorące lipcowe popołudnie. Nieruchome powietrze wypełniał świergot ptaków i cykanie świerszczy usiłujących zagłuszyć terkot generatora.

- Co tam? - zapytał Kyle.

Tom wyglądał na strapionego.

- Nie sądzisz, że mój brat bawi się odrobinę za dobrze?

Kyle z powagą pokiwał głową.

- Myślę, że napawa się każdą chwilą.

- Uważasz, że to wszystko jest w porządku?

- Ja... - zająknął się Kyle niezdolny wymyślić niczego, co warto powiedzieć. Nie wyobrażał sobie, jak Tom mógł pomyśleć, że to wszystko może być czymkolwiek innym niż czystym złem.

- Ta cała jazda, oko za oko i w ogóle... Zabiłeś króliczka, no to my zabijemy ciebie - jęknął zgnębiony Tom, obejmując głowę ramionami. - Zamkniemy w klatce człowieka i poczekamy, aż zarzyga się na śmierć. Myślałem, że będziemy wysadzać budynki

czy coś... Żałuję, że w ogóle się w to władowaliśmy.

Kyle'a ogarnęła fala czułości. Zawsze sądził, że Tom jest w istocie dobrym człowiekiem, a potwierdzenie tego przypuszczenia sprawiło, że zaszklify mu się oczy.

- Władowaliśmy się w paskudną krwawą jatkę - przytaknął Kyle, uśmiechając się krzywo. - A może weźmiemy furgonetkę i po prostu stąd zwiejemy?

- Viv nie pojedzie. Jest w swoim żywiole.

- Chrzanić Viva - zdenerwował się Kyle. - Ja mówię o nas.

- Nie możemy. - Tom potrząsnął głową, a oczy zaszyły mu łzami. - Jeśli teraz uciekniemy, Jo na pewno znajdzie sposób, żeby nas udupić. Wsypie nas w sprawie podpalenia czy coś. Jak chcemy wyjść z tego na czysto, musimy wytrwać do końca.

W drzwiach domu pojawiła się Jo.

- Hej wy, leniwe dupki! - wrzasnęła agresywnie. - Potrzebna nam pomoc.

- Przy czym? - zapytał Tom.

- Nie wiem, dlaczego urwała się łączność, ale wiem, że mi się to nie podoba.

Kyle udał zdziwionego.

- Przecież mówiłaś, że mogą nam zamknąć serwery.

- Serwery działają jak trzeba - wyjaśniła Jo. - Padło łącze satelitarne. Może to jakaś usterka, ale to może też znaczyć, że ktoś się do nas dobiera. Tak czy owak chcę, żeby wszyscy byli czujni. Wy dwaj przygotujecie wszystkie trzy furgonetki do szybkiego odjazdu. Przeprowadźcie je przed dom i zaparkujcie przodem do bramy. Kluczyki zostawcie w stacyjkach. Wytoczcicie też oba motocykle i także przygotujcie do jazdy.

Tom poszedł na podwórko za stodołą, gdzie stały furgonetki, zaś Kyle wrócił do domu po resztę kluczyków.

Zastanawiał się, czy łącze padło dlatego, że James zdołał przekazać Zarze informację o lokalizacji studia, ale wątpił w to. Zablokowanie sygnału jest łatwe, jeżeli wie się, skąd jest nadawany, ale stawia też przeciwnika w stan podwyższonej czujności.

- Kto ma kluczyki od vanów? - zawołał Kyle, wchodząc do sali jadalnej.

Zaskoczył go widok siedmiu zamaskowanych terrorystów stojących przy klatce i kłócących się o coś zaciekle. W klatce Nick Cobb dygotał w konwulsjach, charcząc i tarzając się w pianie z krwi wymieszanej ze śluzem. Kyle nie mógł na to patrzeć.

- Zabierzcie stamtąd Cobba! - wrzasnął Jay.

- Pieprzyć go - powiedział Viv. - Co z tego, że nie wytrzyma tak długo, jak się spodziewaliśmy? Od początku zakładaliśmy, że może zginąć. Jak kofnie, i tak dowiedziemy swego, spakujemy się wcześniej i jeszcze zdążymy do domu na Sąsiadów.

Nikt nie zwrócił uwagi na pytanie o kluczyki, więc Kyle zdecydował się użyć tych, które miał w kieszeni. Poszedł pod stodołę.

- Co się dzieje? - zapytał Tom.

- Wszyscy dostali kota - wyjaśnił Kyle. - Wygląda na to, że Cobb jest w zapaści.

- Pięknie - westchnął Tom, kręcąc ponuro głową.

- Wyciągnę od nich kluczyki za chwilę, kiedy się uspokoją. Na razie wyprowadzę tylko nasz samochód.

- A co ja mam robić?

- Bo ja wiem? - Kyle wzruszył ramionami, wsiadając do furgonetki. - Sprawdziłeś już, czy przypadkiem kluczyki nie zostały w stacyjkach?

- Dobry pomysł - skinął głową Tom.

Jadąc powoli w stronę bramy, Kyle rozważał różne możliwości. Nie uśmiechała mu się walka z dziewięcioma osobami.

Do tej pory czekał po prostu na przybycie policji, licząc na to, że James przekaze dalej informacje o farmie. Jednak ponieważ stan Cobba pogarszał się szybciej, niż ktokolwiek oczekiwał, ta opcja coraz bardziej wyglądała na wyrok śmierci dla gwiazdora programów kulinarnych.

Pierwszą myślą Kyle'a było wcisnąć gaz, staranować bramę i zwiewać, ale na straży stała Chase uzbrojona w karabinek szturmowy, a w dodatku połączenie jego ucieczki z zerwaniem łączności z satelitą mogło wpędzić Jo w jeszcze większą paranoję i pchnąć ją do krwawego starcia z policją.

Zatrzymując furgonetkę i zaciągając hamulec, Kyle uświadomił sobie, że jeżeli chce, by Nick Cobb opuścił Farmę Kolibra żywy, musi go uratować na własną rękę.

\*

W chacie w Corbyn Copse, w ciągu pół godziny odkąd James zadzwonił z rewelacjami o siedzibie AWZ, Zara ani na chwilę nie oderwała się od telefonu. Wypytała go dokładnie o szczegóły układu farmy, dane bojowników oraz o ich uzbrojenie. Informacje spisała, a potem przekazała do sztabu krajowej jednostki antyterrorystycznej w Milton Keynes.

Kłopot z operacjami CHERUBA polega na tym, że nie zawsze łatwo jest zatrzeć ślady, kiedy agenci zachowali się w sposób niepozostawiający wątpliwości, że nie są zwyczajnymi dziećmi. Sytuacja Jamesa była jednym z takich wypadków: Adelajdzie i Markowi musiałoby dać do myślenia to, że zostali załatwieni przez czternastoletniego chłopca, który po całej aferze po prostu znikł bez śladu.

Ale był to tylko jeden z problemów Zary, która w tej chwili wrzeszczała przez telefon na łącznika CHERUBA w jednostce antyterrorystów, wściekła z powodu zamieszania z łączem satelitarnym.

- Mam na tej farmie szesnastoletniego agenta! - krzyczała. - Mam gdzieś, co wasz dowódca mówi o odcinaniu tlenu reklamie

terroryzmu. Mnie obchodzi bezpieczeństwo tych dzieciaków i kiedy przekazuję wam informacje wywiadowcze, to po to, żebyście je inteligentnie wykorzystali, a nie wsadzali na minę moich ludzi.

- Nie ja o tym decyduję - powiedział głos po drugiej stronie linii.

- Wiem, że to nie twoja wina, Joseph, ale policja mówi, że minie co najmniej godzina, zanim oddziały szturmowe dotrą do Rothbury i przygotowują się do ataku na farmę. Odcięcie połączenia z satelitą i postawienie AWZ w stan alarmu było dokładnie ostatnią rzeczą, jaką powinniście byli zrobić.

Laura zajmująca się telefonami, których Zara nie mogła odebrać, przybiegła z kuchni ze swoją komórką przy uchu.

- Zaczekaj sekundę - powiedziała Zara do swojego rozmówcy.  
- Laura ma coś dla mnie.

- Dzwonią z kampusu - wyjaśniła Laura. - Skontaktowali się z MI5. W Gateshead jest zespół, który może podjechać i zająć się sprawą Adelajdy i Marka.

Zara pospiesznie pokiwała głową, zakrywając dłonią mikrofon telefonu.

- Dobra robota, Laura. Możesz przedzwonić do Jamesa i podać mu szczegóły? Numer jest przypięty na tabliczce w kuchni.

- Okej.

Laura pobiegła do kuchni i ściszyła przenośny telewizor. Klops zaczął podskakiwać, namawiając ją do zabawy.

- Sorki, mały, jestem trochę zajęta - powiedziała Laura, wystukując numer komórki Marka.

- Zara? - rzucił niespokojnie James.

- To ja.

- Czółko, siostra. Siedzę tu jak debil już chyba z godzinę. Możesz przypomnieć Zarze, że wciąż czekam na instrukcje?



- Jest zajęta ratowaniem tyłka Kyle'owi - wyjaśniła Laura. - Ale ja mam dla ciebie instrukcje. Właśnie rozmawiałam z kam-pusem. Gotowy?

- Dawaj. Tylko szybko, bo kończy mi się bateria.

- MI5 wysyła oddział, żeby po tobie posprzątał. Niestety, mają za niskie uprawnienia, żeby wiedzieć o działaniach CHERUBA, więc musisz się stamtąd zmyć, zanim przyjadą. Masz samochód czy coś?

- Nawet dwa do wyboru.

- No to pakuj się i jazda prosto do kampusu.

- Jak zatrą po mnie ślady? - zainteresował się James.

- Podczas akcji MI5 Mark i Adelajda dostaną zastrzyk środka usypiającego, dawka na dwanaście godzin. Obudzą się w komisa-riacie w stanie kompletnego zamroczenia i usłyszą, że zostali aresztowani po anonimowym donosie od podejrzanego sąsiada. Mogą sobie gadać do woli, że ich pobiłeś i związałeś, i tak nikt im nie uwierzy.

- Dobre - wyszczerzył się James. - A co ze mną?

- Powiedzą, że związałeś przez okno, kiedy policja wykopała drzwi.

- Super. Wezmę tylko kluczyki i zmykam - powiedział James.

- No to chyba do zobaczenia w kampusie.

Komórka wydała jeszcze jeden pisk rozładowanej baterii i Ja-mes zatrzasnął jej klapkę. Poszedł do salonu, gdzie czekali Mark i Adelajda, zakneblowani, z opaskami na oczach i fachowo zwią-zani.

- Mam nadzieję, że wam wygodnie - zakpił James, sięgając do kieszeni spodni Adelajdy po kluczyki do wypasionego minico-opera, zaparkowanego przed domem.

Czekała go długa droga, więc przywłaszczył sobie wszystkie banknoty z portmonetki, na wypadek gdyby musiał posilić się po drodze.

Po krótkiej wizycie w toalecie James wrzucił do torby na zaku-py butelkę wody mineralnej i oba pistolety. Tylko ktoś o mocno

wybującej wyobraźni mógł wziąć go za wystarczająco dorosłego, by mógł mieć prawo jazdy, dlatego zanim podszedł do samochodu, upewnił się, że nikt go nie obserwuje. Zasiadłszy za kierownicą, włączył silnik i klimatyzację, po czym zaczął szperać pod siedzeniami i w schowku, szukając atlasu drogowego. Znalazł tylko ciemne okulary, które założył na nos w nadziei, że nieco go postarzą, a przynajmniej utrudnią zauważenie, że ma tylko czternaście lat.

Nie mając atlasu, postanowił, że po prostu przejedzie około stu pięćdziesięciu kilometrów na południe, a potem kupi gdzieś mapę i wtedy dopracuje szczegóły dalszej trasy.

## 35. BOHATER

Kyle wysiadł z furgonetki i podszedł do Chase.

- Co tam? - zagadnęła kobieta.

- Jo mnie przysłała - skłamał Kyle. - Kazała cię zmienić, żebyś mogła pójść do domu na herbatę i coś do jedzenia.

- Dzięki - ucieszyła się Chase. - Pęcherz mi już pęka, a jakoś nie przepadam za kucaniem w krzakach.

Ruszyła w stronę domu. Kyle odchrząknął znacząco.

- Przepraszam, Chase, ale chyba nie zdam się na wiele jako wartownik, jeżeli zostawisz mnie tu, żebym odpierał wroga gołymi rękami.

Chase parsknęła śmiechem.

- Boże, ale ja jestem głupia - zachichotała, zdejmując karabin z ramienia i podając go Kyle'owi. - Umiesz to obsługiwać?

- Tak się składa, że umiem - powiedział Kyle, wprawnie odbezpieczając broń i unosząc ją tak, by lufa celowała w głowę kobiety. - Zaczynaj iść w stronę domu, szybko i po cichu. Bądź dobrą dziewczynką albo będę musiał cię zastrzelić.

Chase skrzywiła się i zatrzepotała powiekami, jakby usłyszała beznadziejny dowcip, ale groźna mina Kyle'a przekonała ją, że to nie żarty.

Od domu dzieliło ich około dwustu metrów i Kyle dwa razy popchnął swoją zakładniczkę, by przyspieszyła kroku: nie miał

osłony, a do rozpętania strzelaniny wystarczyłoby, żeby ktoś wyjrzał przez okno.

Trzymając palec na spuście, Kyle skreślił za dom, mając nadzieję, że na podwórku znajdzie Toma, ale ten najwyraźniej poszedł szukać kluczyków. Znalazł za to czterokołowy wózek na pneumatycznych oponach, który poprzedniego dnia służył do przewożenia co cięższych elementów wyposażenia studia.

Spojrzał na Chase.

- Bierz to.

- Na mózg ci padło, wiesz? - wycodziła ze złością.

- Być może masz rację - powiedział Kyle zbyt zdenerwowany, by zmusić się do uśmiechu. Jakaś część niego żałowała, że nie wybrał prostej opcji ucieczki za bramę, pozostawiając kłopoty glinom.

Trzymając karabinek lufą do góry, Kyle wkradł się do domu przez grube tylne drzwi, z Chase i skrzypiącymi kółkami wózka za sobą. Ostrożnie wsunął głowę do kuchni i stwierdziwszy z ulgą, że jest pusta, ruszył dalej korytarzem, by zajrzeć do wielkiej sali jadalnej. Następnie cofnął się pod ścianę i skinął na Chase.

- Zostaw wózek. Wchodzisz pierwsza.

W sali Kyle naliczył ośmioro członków AWZ: Chase, Viva, Jaya, Jo, dwóch nastolatków, którzy pomagali na planie, oraz kobiety obsługujące kamery. Brakowało tylko Toma.

Wszyscy oprócz Chase stali w pobliżu klatki. Kyle przełączył broń na ogień pojedynczy i strzelił w sufit, by zwrócić na siebie uwagę.

- Wszyscy ręce do góry!

Kyle uznał, że najwięcej kłopotów może przysporzyć mu Jo, która miała broń, oraz Viv, który jej nie miał. Podszedł do Jo z bronią wycelowaną w jej głowę i zaczął mówić najbardziej przyjaznym głosem, na jaki pozwalały mu skołatane nerwy.

- Myślę, że dowiedliśmy naszych racji, Jo. Wypuść Cobba z klatki, a ja zawiozę go do szpitala. Zanim gliny tu trafią, już dawno was tu nie będzie.

- Nie wystarczy ci odwagi, żeby do mnie strzelić - wysyczała Jo. - Nie obchodzi cię już los zwierząt?

Szkoleniowcy CHERUBA uczą, że należy badać dynamikę grupy, którą próbuje się zinfiltrować. W AWZ układ był prosty: Jo rządziła, a wszyscy pozostali bali się jej. Kyle przypuszczał, że jeśli zmusi ją do uległości, będzie miał pod kontrolą wszystkich z wyjątkiem Viva.

- Jo, jeżeli cofnę się teraz, to albo wyciągniesz broń i zastrzelisz mnie na miejscu, albo zamkniesz w klatce razem z Cobbem. To prawda, żaden ze mnie zimnokrwisty morderca, ale jestem na tyle inteligentny, by wiedzieć, że na tym etapie strzelenie do ciebie może być moim jedynym wyjściem.

Jo dumiała przez chwilę nad tym, co usłyszała, a potem powoli wyciągnęła pistolet zza paska i podała Kyle'owi rękojeść do przodu.

- Dziękuję - skinął głową Kyle, zdobywając się na słaby uśmiech. Obejrzał się na Chase. - Podepchnij wózek do klatki. - Znów spojrzął na Jo. - Otwórz drzwi i każ chłopakom przenieść Cobba na wózek.

Kyle był prawie pewien, że tylko Jo była uzbrojona, ale miał oczy otwarte i uważał na wszelkie gwałtowne ruchy. Klatka otworzyła się ze zgrzytem i Cobb wydał z siebie niski jęk, kiedy dwaj asystenci podźwignęli go, by przenieść na wózek. Pozlepiane w strąki włosy błyszczały mu od potu, a jego ogromny T-shirt przemienił się w szmatę przesiąkniętą wymiocinami i krwią.

- Kto ma kluczyki do niebieskiego vana? - zapytał Kyle.

- Od początku wiedziałem, że jesteś cieniem, Kyle! - krzyknął gniewnie Viv. - Twój młodszy brat ma większe jaja niż ty.

- Cienias z SA80 wycelowanym w twój łeb - odpowiedział spokojnie Kyle, który poczuł się znacznie pewniej, odkąd podporządkował sobie Jo. - Niech ktoś da mi te klucze.

- Twój chłopak wszystkie zabrał - zauważył złośliwie Viv szczerząc zęby.

Kyle przeklął swój pech. Tom musiał przejść przed domem w stronę podwórza akurat wtedy, kiedy wchodzili z Chase tylnym wejściem.

- Daj mi swój telefon, Jo - powiedział Kyle, starając się nie dać po sobie poznać, że nie jest pewien, co robić dalej.

Jo podała mu telefon bez ociągania. Wepchnął go do kieszeni spodni i zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

- Wszyscy macie zostać w tej sali i żadnych numerów, jasne? Kiedy usłyszycie, że odjechałem, możecie robić, co wam się żywnie podoba. Chase, ty pchasz wózek. Jay, pójdiesz z nami i pomożesz wrzucić Cobba do furgonetki.

Kyle pomyślał o białej furgonetce stojącej tuż przy bramie, ale nawet gdyby Chase zdołała przepchnąć wózek po wyboistej ścieżce, jazda wytrzęsłaby z Cobba duszę.

Kyle nie mógł sam przyprowadzić furgonetki, bo nie był w stanie kontrolować pozostałych z odległości dwustu metrów, a Jo mogła mieć więcej broni na piętrze. Gdyby kazał sprowadzić samochód komuś innemu, ten zapewne wykorzystałby sytuację i uciekł. Mądry po fakcie Kyle zdał sobie sprawę, że powinien był na samym początku posadzić Chase za kierownicą i kazać jej wycofać samochód pod dom. Teraz nie miał innego wyjścia, jak tylko wyjść tylnymi drzwiami i mieć nadzieję, że Tom odda kluczyki do jednej z pozostałych furgonetek.

- Ruszaj z nim - rzucił do Chase.

Kyle sprawdził, czy Tom nie czeka na zewnątrz, a Chase popchnęła wózek z Cobbem wzdłuż korytarza i przez drugie drzwi na słońce.

- Jesteś tu, Tom? - zawołał Kyle, siląc się na swobodny ton. Zastanawiał się, co może się dziać w głowie jego chłopaka. Czy Tom już wie, że Kyle wziął zakładników?

Chase ruszyła przez trawnik w stronę podwórza, pchając przed sobą poskrzypujący wózek. Kyle szedł obok Jaya, przez cały czas trzymając palec na spuście. Dotarcie do dwóch furgonetek pod stodołą zajęło im pół minuty.

Kyle zawołał znowu:

- Tom?!

Odszedł od wózka, zajrzał za samochody, a nawet pod nie. Dygocząc ze strachu, otworzył gwałtownie tylne drzwi niebieskiej furgonetki i wycelował karabin w porzucone w środku poduszki i śmiecie.

- Tom, co z tobą, stary? - zapytał, skradając się obok samochodu.

Kiedy mijali drzwi szoferki po stronie pasażera, w otwartym oknie nagle pojawił się Tom, który celował z rewolweru w głowę Kyle'a z odległości pięćdziesięciu centymetrów.

- Rzuć karabin - rozkazał Tom.

Kyle obrócił się nieznacznie, by widzieć w lusterku dygocące dłonie przyjaciela.

- Zrobiłem to dla ciebie, Tom - skłamał. - Mówiłeś, że to nie jest w porządku. Ucieknijmy razem, podrzucmy Cobba do najbliższego szpitala i wynośmy się stąd.

- Powiedziałem ci, że jedynym sposobem na wyjście z tego cało jest doprowadzenie sprawy do końca - powiedział Tom z irytacją. - Właśnie narobiłeś gigantycznego bałaganu.

- Myślałem... - zaczął Kyle, zastanawiając się, jak przegadać Toma, i jednocześnie przesuwając karabin na piersi.

- Nie ruszaj się!

- Myślałem, że ciebie i mnie łączy coś wyjątkowego - powiedział Kyle zbolalym tonem.

- Kyle, je nie... - Tom zawahał się. - Człowieku, nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Nie chcę cię zabić, ale też nie chcę, żeby mnie złapali.

- Zdaje się, że jestem idiotą - powiedział Kyle, opuszczając głowę, jakby stracił wszelką nadzieję. - Skoro nie chcesz iść ze mną, to nie widzę sensu.

Kyle podniósł dłoń do piersi i wsunął palec pod pasek podtrzymujący karabin. Widział, jak bardzo roztrzęsiony jest Tom, i przypuszczał, że spanikuje na huk wystrzału.

Kątem oka obserwując odbicie Toma w lusterku i trzymając lufę skierowaną ku ziemi, Kyle zsunął pasek z ramienia, jednocześnie sięgając drugą dłonią do spustu upadającego karabinu.

Rozległ się huk. Pocisk wbił się niegroźnie w ziemię, ale Tom podskoczył dokładnie tak, jak przewidział Kyle. W chwili gdy rewolwer poderwał się w górę, Kyle wetknął ręce przez okno furgonetki, przygwoździł dłonie Toma do dachu i wyłuskał z nich broń. Chase skoczyła po karabin. Kyle wyprowadził wściekłe kopnięcie w tył, które trafiło kobietę w brzuch, przewracając ją na ziemię. Z rewolwerem Toma w rękę obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, przygniótł butem żebra przeciwniczki i wyrwał spod niej karabin. Odwrócił się do Toma.

- Wyskakuj stamtąd i pomóż Jayowi wrzucić Cobba do samochodu.

Podczas gdy dwaj młodzieńcy przynosili umierającego kucharza z wózka na poduszki w furgonetce, Kyle zajrzał do szoferki i odetchnął z ulgą na widok breloczka dyndającego przy kolumnie kierownicy. Kiedy tylko tylne drzwi trzasnęły za Cobbem, rzucił karabin na miejsce pasażera, usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Z nerwów za szybko puścił sprzęgło, omal nie dławiąc silnika. Furgonetka szarpnęła i potoczyła się w stronę drogi. Na końcu podjazdu Kyle wyskoczył z samochodu, by otworzyć bramę, przez



cały czas obserwując dom na wypadek, gdyby ktoś znalazł jakąś broń i zdecydował się ruszyć w pościg.

Powróciwszy bez przygód do szoferki, wyjechał na wiejską szosę, nie puszczając gazu rozpędził samochód przez wszystkie biegi, po czy wyrwał z kieszeni komórkę Jo i wystukał numer awaryjnej linii CHERUBA.

- Wyjeżdżam z Farny Kolibra! - krzyknął w telefon. - Pokierujcie mnie do najbliższego szpitala.

- Czy jesteś ranny? - Kyle rozpoznał głos Chloe Blake, niedawno awansowanej koordynatorki misji.

- Bywało gorzej - odpowiedział, zerkając w lusterko, by sprawdzić, czy nikt go nie ściga. - Ale mam Nicka Cobba na pauce, a on może już długo nie pociągnąć.

## 36. JAZDA

W domku w Corbyn Copse atmosfera trochę się uspokoiła. Problem Jamesa został rozwiązany, a Kyle miał bezpośredni kontakt z centrum dowodzenia w kampusie.

Laura siedziała obok Ryana na kanapie w saloniku i dumiała nad beczelnością, z jaką dwudziestoczerogodzinne kanały informacyjne potrafią godzinami maglować jeden temat, nie mówiąc nic nowego. Była już na wpół zdecydowana wyjść do ogrodu, by porzucić piłkę Klopsowi, kiedy do pokoju wpadła rozmocjonowana Zara.

- Kyle jest bezpieczny. - Uśmiechnęła się. - Cobb jest z nim, ale mocno krwawi. Kiedy tylko policja dowie się, że Cobb został uwolniony, poślą do Farmy Kolibra wszystkie jednostki w okolicy. James i Kyle zostaną zidentyfikowani, a policja trafi ich tropem tutaj. Lepiej zniknijmy, zanim to się stanie.

- Teraz? - zapytała Laura.

- Oczywiście. - Zara skinęła głową. - Najpierw spakujemy nasze rzeczy, a potem chłopców.

- A co ze mną? - zapytał Ryan.

- Też musisz zniknąć - powiedziała Zara. - Zamelduję cię w hotelu, dopóki nie załatwimy ci mieszkania, chyba że znasz kogoś, kto mógłby cię przechować.

- Ale co z moim warunkowym? - zapytał Ryan nerwowo. - To mój oficjalny adres i nie powinienem przebywać nigdzie indziej.

- Nie próbuj kontaktować się z kuratorem. Jutro zadzwonisz do mnie do kampusu i powiesz, gdzie jesteś. Załatwię sprawę twojego zwolnienia i prześlę kilka tysięcy na twoje konto, żebyś nie zginął przez parę miesięcy.

Laura spojrzała ze strachem na Zarę.

- A co z Klopsem? W kampusie nie wolno trzymać przecież zwierząt.

- Wygląda na to, że zabieramy go ze sobą. Będziesz musiała oddać go któremuś z juniorów, chyba że Ryan go chce.

Na myśl o tym, że Klops miałby odejść z Ryanem i na zawsze zniknąć z jej życia, Laurze zatrzepotało serce.

- Jakoś tego nie widzę - powiedział Ryan i Laura odetchnęła z ulgą. - Zamierzam podzielać się trochę przy kampaniach Przyjemna i nie mogę ciągle wynajmować niańki dla psa.

Zara uśmiechnęła się do Laury.

- Czemu tu jeszcze stoisz? Jazda, pakuj się.

\*

- Okej, mam! - wrzasnął Kyle do telefonu, kiedy niebieska furgonetka przefrunęła przez czerwone światło na końcu rzędu szeregowych domków. - Na pewno jestem na Króla Edwarda, co dalej?

Telefon odpowiedział kojąco spokojnym głosem Chloe:

- To powinien być drugi skręt w prawo.

Kyle przyhamował gwałtownie, by zmieścić się w zakręcie, usłyszał karcący klakson z tyłu i z całej siły wduśli hamulec na widok zakazu wjazdu.

- To jednokierunkowa! - krzyknął, słysząc za sobą jęki konającego Cobba. - Trzymaj się, Nick, już niedaleko!

- Według mapy na moim ekranie każdy z następnych trzech skrętów doprowadzi cię do celu - powiedziała Chloe. - Skręć w następną w prawo i na końcu powinieneś zobaczyć szpital.

Kyle wycofał samochód i w tej samej chwili usłyszał syrenę. Okolice Farmy Kolibra patrolowali policjanci w cywilnych ubraniach. Wyglądało na to, że widzieli jego ucieczkę, i posłali za nim kolegów.

- Mam gliny na ogonie - zameldował Kyle. - Nie zatrzymuję się, dopóki nie odstawię Cobba do szpitala.

- Zrozumiałam - potwierdziła Chloe. - Spróbuję załatwić, żeby pozwolili ci dojechać.

Następna przecznica też była jednokierunkowa, ale pusta, a przy tym wydawała się wystarczająco szeroka, by w razie czego móc ominąć nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Kyle skręcił w nią i rozpędził się do dziewięćdziesiątki, ale pościgowy radiowóz nieubłaganie rósł mu w lusterkach. Kiedy dojeżdżał do skrzyżowania, zmieniły się światła i zza rogu zaczęły wyjeżdżać samochody, skręcając prosto na niego.

Klakson. Pierwszy samochód zjechał na bok. Kyle odbił w drugą stronę na chodnik, ale i tak otarł się o małą toyotę, zrywając jej zderzak. Z niebezpiecznym przechyłem furgonetka wypadła na ruchliwą główną ulicę, a tuż za nią wyjący radiowóz.

Kyle zwolnił, by wjechać w alejkę prowadzącą do czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak szpital, ale okazało się przylegającym doń domem starców. Nim zorientował się w pomyłce, policjanci przeskoczyli na przeciwny pas ruchu, by zająć mu drogę. Jednak Kyle, który znał tę sztuczkę z zaawansowanego kursu jazdy, wykorzystał masę furgonetki i zdołał odtrącić przód radiowozu.

Nagle dostrzegł dwie karetki zaparkowane pod wiatą przy wejściu do oddziału ratunkowego szpitala. Ostrzegł kilku pieszych klaksonem i wtarabanił się na parking, wciąż ciągnąc za sobą radiowóz. Zahamował przed wejściem, przez otwarte okno zawołał o pomoc i wyskoczył z szoferki.

W stronę furgonetki pobiegła załoga ambulansu i dwaj pielęgniarze ze szpitala.

- Pacjent jest z tyłu! - zawołał Kyle.

Jeszcze zanim medycy dostali się do Cobba, z radiowozu za furgonetką wysiedli dwaj policjanci, którzy dysząc ciężko z wściekłości, ruszyli w stronę uciekiniera. Nie wyciągnęli broni, ale Kyle nie miał dokąd uciekać, a poza tym był kompletnie wykończony. Podniósł ręce na znak, że się poddaje.

- Ręce na samochód - rozkazał gliniarz, dobywając pałki.

Dwa metry dalej lekarka z karetki weszła do furgonetki, a pod tylne drzwi podtoczono szpitalny wózek.

- To Nick Cobb! - krzyknęła kobieta.

- Twarzą do samochodu - warknął nerwowo policjant. - Co ci tam sterczy z kieszeni?

- Rewolwer Smith and Wesson i pistolet automatyczny.

Policjant wyglądał na wstrząśniętego, kiedy podszedł bliżej, by wyciągnąć Kyle'owi broń z kieszeni.

- To wszystko, co masz?

- Na fotelu pasażera leży karabinek szturmowy.

Podczas gdy drugi policjant okrążał samochód, by zajrzeć do szoferki, jego radio nagle przemówiło:

- Do sześć dwa i jeden osiem osiem. Niech jeden z was zostanie i popilnuje furgonetki. Drugi niech odwiezie kierowcę na lotnisko w Newcastle.

\*

Załadowanie minivana bagażami zajęło im pół godziny. Zaglądając pod łóżka i dokonując ostatniego przeglądu szaf i szuflad, Laura czuła coraz większy smutek. Wychodząc z łazienki, natknęła się na Ryana wchodzącego właśnie po schodach.

- Hej - powiedziała, podnosząc głowę i czując, że wilgotnieją jej oczy.

- Skąd ta smutna mina? - zapytał wesoło Ryan. - Na twoim miejscu raczej bym się nie martwił. Gdziekolwiek jest ten wasz kampus CHERUBA, z tego, co słyszałem, to fantastyczne miejsce.

- Tak - skinęła głową Laura. - Nie mogę się doczekać spotkania z przyjaciółmi i w ogóle, tylko że... Pamiętasz, jak spotkaliśmy się pierwszy raz? Powiedziałeś, że nigdy nie będziesz miał rodziny i że pewnie umrzesz w więzieniu. Cóż... - Laura przerwała na chwilę, by wytrzeć nos w chusteczkę. - Cóż, ja życzę ci, żebyś wygrał z Malarkiem i żebyś dożył stu lat, a kiedy przyjdzie ci umierać, żeby twoje łóżko otaczało dwadzieścioro dzieci i wnuków.

Ryan był wzruszony.

- Nie wiedziałem, że w ogóle cię obchodzę – powiedział cicho, podchodząc do Laury, by ją uścisnąć. Jego oczy także zaszkliły się łzami.

- Jeśli dzięki mnie parę dzieciaków zastanowi się nad tym, co wkładają do ust, przestanie jeść mięso i wtykać stopy w kawałki martwych zwierząt, to może warto się męczyć - zacytowała Laura.

- A niech mnie. - Ryan siąknął nosem. - Zapamiętałaś.

Laura uśmiechnęła się.

- Nie będę już jeść mięsa. To znaczy może będę musiała, kiedy będę na misji, ale poza tym zostaję wegetarianką.

Ryan pochylił się i pocałował Laurę w policzek, kłując ją zarostem.

- Fajny z ciebie dzieciak, Laura. Mam nadzieję, że wytrwasz w swoim postanowieniu.

- Wytrwam, przysięgam. I ściągnę z internetu wszystkie te ulotki o masowej hodowli, zrobię kopie i spróbuję przekonać koleżanki, żeby też przestały jeść mięso.

Zara stanęła na dole schodów, trzymając Klopsa w zaimprowizowanym transporterze sporządzonym z kosza na pranie wyłożonego kilkoma ręcznikami.

- Jeśli jesteś gotowa, to lepiej już jedźmy. Podrzucić cię, Ryan?

- Nie trzeba - powiedział Ryan, a Laura zbiegła po schodach, ocierając oczy chusteczką. - Zatrzymam się u Lou, dopóki się jakoś nie urządzę. Przyjedzie po mnie po pracy.

Samochód zjechał z podjazdu na drogę. Laura patrzyła przez tylną szybę na oddalającą się chatę, machinalnie głaszcząc Klop-sa. Uśmiechnęła się do znajomych z plakatami, kiedy po raz ostatni przejeżdżały obok bramy Malarek UK, i posmutniała jeszcze bardziej, uświadomiwszy sobie, że nie pożegnała się ze Stuartem.

\*

James nauczył się prowadzić na kursie, uciekł z kryjówki narkotykowego barona range-roverem i przejechał przez Arizone i Kalifornię poszukiwany przez tysiące policjantów, ale po raz pierwszy usiadł za kierownicą z tak banalnym zadaniem jak powrót do domu. Pełznąć wraz z korkiem na autostradzie pod Leeds, zabijał czas słuchaniem radia. W ten sposób dowiedział się, że Nick Cobb został przywieziony do szpitala przez młodego terrorystę, a potem, że uzbrojone oddziały policji zatrzymały dwie furgonetki pełne członków AWZ usiłujących uciec z pewnego gospodarstwa pod Rothbury.

Następnie ogłoszono, że wśród aresztowanych jest córka gwiazdora pop z lat osiemdziesiątych Joego Julesa, i dorzucono sensacyjną wieść, jakoby siedemnastoletni bojownik Kyle Wilson zabił się ukrytym nożem na tylnej kanapie radiowozu wiozącego go do komisariatu w Tyneside.

Ten ostatni detal ubawił Jamesa, który zastanawiał się, jaką bzdurą zostanie wytłumaczone jego zniknięcie. Nastrój psuła mu tylko rozładowana komórka i migająca kontrolka rezerwy paliwa.

Zjechał na najbliższą stację benzynową i zatankował, przez cały czas mając wrażenie, że jego młody wiek przykuwa uwagę całej

okolicy. Na szczęście stacja była zupełnie pusta, a sprzedawca z przyklejonym do twarzy kwaśnym grymasem interesował się tylko kurczakiem i plackiem z grzybami, które łączywie pożerał.

Po zatankowaniu James zaparkował przed budynkiem baru. W sklepiu kupił mapę i zasiadł nad nią w Burger Kingu, racząc się podwójnym whopperem, na jego życzenie pozbawionym majonezu. Zanim odjechał, zadzwonił do Kerry z budki. Powiedział jej, że u niego wszystko w porządku i że prawdopodobnie będzie w domu około ósmej.



## 37. DOM

Do kampusu było już niedaleko. Zara zerknęła na zegarek: minęła siódma.

- Możemy podjechać na chwilę do mnie? - zapytała. - Ewart zaraz będzie kładł dzieciaki do łóżek, a ja ostatnio nie widywałam ich zbyt często.

Laura, która drzemała na środkowej kanapie, przetarła oczy i wymamrotała, że nie ma nic przeciwko temu. Askarowie mieszkali w parterowym domku około dwóch kilometrów od kampusu. Słyszając podjeżdżający samochód, Ewart wyszedł z synem i córką na schodki.

Tiffany mogła zrobić bez pomocy najwyżej kilka kroków, ale Joshua wybiegł na powitanie ubrany w piżamkę z Buzzem Astralem.

- Czy teraz już będziesz w domu, mamusiu? - zapytał szkrab.

- Tak, wróciłam do domu, kochanie - uśmiechnęła się Zara, podnosząc syna i witając go całusem.

- A gdzie mój prezent?

- Ach... - Zara straciła nagle pewność siebie. - Niestety, musia nie miała dziś czasu iść do sklepu. Co powiesz na to, żebyśmy jutro poszli razem i żebyś sam sobie wybrał prezent?

- Nie! - zawył Joshua. - Chcę teraz!

Na szczęście Laura przypięła już Klopsa do smyczy i właśnie wyprowadziła go na zewnątrz, żeby rozprostował kości.

- Ładny piesek - stwierdził Joshua, wskazując paluszkami w dół na znak, że życzy sobie, by postawiono go na ziemi i pozwolono się bawić.

Klops nieufnie spoglądał na zmierzającego w jego stronę malca.

- Możesz pogłaskać, ale delikatnie - powiedziała Laura.  
- I nie krzycz, bo go przestraszysz.

Kiedy Joshua przesunął dłonią po grzbiecie Klopsa, szczeniak pochylił głowę i polizał chłopcu palce u stóp. Tiffany zaczęła krzyczeć, bo działy się ciekawe rzeczy, a ona nie mogła tego zobaczyć, więc Ewart postawił ją na ziemi i podtrzymując za rączki, pozwolił podejść do psa i starszego brata.

- Jaki śliczny mały beagle - powiedział Ewart z podziwem. - Ja miałem golden retrievera, kiedy byłem juniorem.

Laura patrzyła na rodzinę Zary piejącej z zachwytem nad Klopsem i nagle przyszło jej coś do głowy.

- A może go weźmiecie? - zapytała. - Klops jest trochę znerwicowany po tym, co przeszedł, i wolałabym nie patrzeć, jak zamęcza go banda juniorów. Niektóre z tych dzieciaków to wariaci, zwłaszcza chłopcy.

Zara i Ewart wymienili spojrzenia.

- Co ty na to? - zapytał Ewart, przykucając i delikatnie podrzucając Tiffany na kolanie. - Zastanawialiśmy się już, czy nie wziąć psa, a kiedy zostaniesz prezesem, będziesz częściej w domu.

- Jeśli zostanę prezesem. Ewart uśmiechnął się.

- Mac wydaje się pewny, że dostaniesz tę robotę.

Wymiana zdań przyciągnęła uwagę Joshui.

- Mogę go wziąć? - zajączał malec. Zara i Ewart uśmiechnęli się do siebie.

- Wiesz co, Laura, to naprawdę miła propozycja. Przygarniemy Klopsa z radością - powiedziała Zara. - Mieszkamy blisko

kampusu, więc będziesz mogła odwiedzać go, wyprowadzać na spacer i takie tam.

- Super - ucieszyła się Laura. - A mogę przyprowadzić Bethany? Słyszała o Klopsie, ale jeszcze go nie widziała.

Ewart przykucnął i spojrzał na syna.

- Co powiesz Laurze za podarowanie ci Klopsa?

- Dziękuję - uśmiechnął się Joshua.

- Aha, ale jest jeden warunek - powiedziała Laura. - Nie wolno mu jeść mięsa.

- Co?

- Mam kilka paczek wegetariańskiej karmy dla psów w samochodzie. Można ją kupić przez internet, jeśli nie dostaniecie w supermarkecie.

Zara spojrzała na Laurę.

- Nie martw się - powiedziała z uśmiechem. - Dopilnuję, żeby Ewart nie podrzucał mu steków.

\*

James kilka razy zablądził i ostatecznie przekroczył bramę kampusu krótko przed dziewiątą. Zaparkował mini przed głównym budynkiem i dwa razy zatrąbił w nadziei, że ktoś do niego wyjdzie i będzie mógł pochwalić się furą.

W tak ciepły letni wieczór spodziewał się ujrzeć starszych cherubinów wciąż na kortach i boiskach piłkarskich, ale teren jak okiem sięgnąć był pusty.

- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytał, podchodząc do biurka recepcji w holu budynku.

- W sali gimnastycznej. Mamy dziś charytatywny turniej piłki halowej - wyjaśniła Violet, podstarzała recepcjonistka. - Ledwie cię poznałam z tymi brązowymi włosami, James.

James poruszył brwiami.

- Ładnie mi?

- Jestem pewna, że w każdej fryzurze byłby z ciebie przystojniak, ale pachniesz nie najpiękniej. No i ta krew na koszulce też wygląda tak sobie.

- Och... - James uświadomił sobie, że nie kapał się od opuszczenia Corbyn Copse dwa dni wcześniej. - Lepiej skoczę na górę i wezmę prysznic, zanim pójdę do ludzi.

- Nie zapomniałeś o czymś? - zawołała Violet za Jamesem zmierzającym już w stronę windy.

- A zapomniałem?

- Kluczyki do samochodu poproszę. Nie chcielibyśmy żadnych dzikich przejażdżek z koleżkami, nieprawdaż?

- Czy ja mógłbym zrobić coś takiego? - wyszczerzył się James, kładąc kluczyki na biurku.

- Jestem pewna, że nie - powiedziała Violet. - A wszystkie te wezwania do gabinetu doktora McAfferty'ego były rezultatem zwykłych nieporozumień.

- Właśnie - przytaknął James i pobiegł do windy, której drzwi właśnie się otworzyły.

Wjechał na szóste piętro. Z powodu upału drzwi większości pokoiów pozostawiono otwarte, ale w środku nikogo nie było. James był szczególnie zawiedziony, kiedy wetknął głowę do pustej sypialni Kerry, ale i tak wzruszył się na widok jej rzeczy, wdychając jej zapach i myśląc o tym, że zobaczy ją, jak tylko się wyszoruje i przebierze.

Zorientował się, że Zara i Laura już wróciły, kiedy zastał swój pokój otwarty, a za progiem swoją pospiesznie spakowaną torbę i siatkę brudnych ubrań. Kiedy odwrócił się, by zamknąć drzwi, zauważył Kyle'a wyciągniętego na swoim łóżku w pokoju naprzeciwko.

- Hej - powiedział, opierając się o framugę. – Szybko wróciłeś.

Kyle uniósł się tak, by widzieć kolegę.

- Bo przyleciałem śmigłowcem: z Newcastle prosto na nasze boisko do rugby.

James dopiero teraz zauważył, że Kyle nie wygląda na szczęśliwego. Jeśli przed chwilą nie płakał, to z pewnością był tego bliski.

- Co się stało?  
- Nic, tylko... Tom.  
- Spędziliście razem sporo czasu, co? Kyle pokiwał głową po-  
nuro.

- Pamiętasz, jak mówiłeś, że Kerry może i nie jest naj-  
piękniejszą dziewczyną na świecie, ale kiedy z nią jesteś, to życie  
wydaje się cudowne? Właśnie tak się czułem z Tomem: kiedy  
jeździliśmy po wsiach jego małym MG, chodziliśmy do kina...

- Zabawialiście się na moim łóżku, kiedy ja męczyłem się w  
szkole - wtrącił James.

Kyle roześmiał się.

- Oj, tylko raz.

- Nie przejmuj się - powiedział James, kręcąc głową. - Jeszcze  
nie przeprosiłem cię za to, jak się wtedy zachowałem. Od dzisiaj  
wszyscy mogą używać mojego łóżka, byle nie zdejmowali bieli-  
zny.

Kyle uśmiechnął się z przekąsem.

- Jedno, za czym nie będę tęsknił, to ta tycia chatka. Mieszkać  
w takim ścisku, aż dziw, że się nie pozabijaliśmy.

- To prawda. - James skinął głową. - Wezmę szybki prysznic,  
a potem lecę na salę gimnastyczną poszukać reszty gangu. Idziesz  
ze mną czy wolisz się tu zamartwiać?

- Chyba pójdę. - Kyle wzruszył ramionami. - Nie mogę użalać  
się nad sobą do końca życia, no nie?

## 38. SAMOŁOT

Dwa dni później

Każdy cherubin - jeżeli nie ma zastrzeżeń do jego zachowania - wyjeżdża latem na pięcioletnie wakacje do letniego ośrodka CHERUBA na śródziemnomorskiej wyspie C. Dzieci, które wracają późno z misji, latają tam samolotami rejsowymi, ale główne loty, którymi przewozi się prawie połowę mieszkańców kampusu za jednym zamachem, obsługiwane są przez jeden ze zdezelowanych odrzutowych tristarów Królewskich Sił Powietrznych.

Zbudowany do przewożenia żołnierzy samolot pozbawiony był wszelkich wygód. Żadnych telewizorów ani gier wideo, proste aluminiowe fotele miały podarte pokrycie i nie rozkładały się, a metalową podłogę pokrywał piasek i błoto z żołnierskich butów. Lepiej było nie wkładać niczego do kieszeni na oparciach siedzeń, bo gromadzone tam od niepamiętnych czasów pokłady skórek z pomarańczy i okruchów żyły już własnym życiem, a popielniczki wciąż były pełne, choć zakaz palenia w samolotach RAF-u obowiązywał od wielu lat.

Nie żeby dla kogoś ze stu szesnastu cherubinów miało to jakiegokolwiek znaczenie. Byli ubrani w T-shirty i krótkie spodenki i już dobierali się do torebek z lunchem, jakie wręczono im przed wejściem na pokład. Kabina huczała od gwaru rozmów, krzyków i nawoływań, wśród których od czasu do czasu dało się słyszeć niecierpliwie: „Na co jeszcze czekamy?”.

Wciąż tkwili na ziemi, bo zepsuł się jeden z autokarów przewożących ich na lotnisko i dostarczenie reszty pasażerów takśówkami zajęło ponad godzinę. James i Kerry byli w ostatniej grupie przybyłych. Laura zobaczyła przez okno, jak wbiegają po schodkach do samolotu.

- Nasze gołąbeczki nie mogą się sobą nacieszyć - powiedziała z uśmiechem.

Bethany pokiwała głową w papierowej koronie z przypiętymi do niej serpentynami.

- Wczoraj widziałam ich trzy razy i za każdym razem kleili się do siebie.

- Farciarz z tego Jamesa - westchnął Rat, który zajmował miejsce przy przejściu.

- Z Kerry zrobiła się niezła laska - dodał Bruce z drugiej strony przejścia.

James wszedł do samolotu i w nozdrza uderzył go mdły odór toalet. Idąc między fotelami, zauważył kilka osób, których nie widział od powrotu z misji. Brat Bethany Jake złapał go za ramię.

- Dzięki za pomoc na szkoleniu.

James zatrzymał się i odwrócił do Jake'a.

- Słyszałem, że ty i Rat zdaliście. Dobra robota.

- Stary, to była bułka z masłem. - Jake machnął ręką, a jeden z jego kolegów szturchnął go konsolą PSP.

- Nie byłeś taki pewny siebie, kiedy cię ostatnio widziałem - zakpił James, szykując się do odejścia.

- Zaczekaj sekundę - powiedział Jake pospiesznie. - Obejrzyj ten filmik. Gwarantuję, że ci się spodoba.

- Co to jest? - zapytała Kerry, a James wyjął PSP z rąk Jake'a i wcisnął play.

Na małym ekranie pojawiły się znajome dekoracje z programu Otisa i Wendy. Otis zerwał się z miejsca i kamera skupiła się na nim w chwili, gdy James uderzył go kajdankami w nos.

James był pod wrażeniem, widząc, jakiego brutala zrobiła zeń telewizja.

- To był niezły cios - stwierdził Jake.

- I mam na to dowody. - James pokazał Jake'owi i jego kolegom okrągłe ślady w miejscach, gdzie kajdanki wcisnęły mu się w palce.

- Nie jest tak źle w porównaniu z nosem Foksa - zachichotał jakiś chłopak.

- Mam PSP w torbie - powiedział James. - Dacie mi skopować ten film, kiedy dolecimy?

- No pewnie.

- Dzięki.

Kiedy ruszyli dalej w stronę Laury, Kerry posłała Jamesowi niechętnie spojrzenie.

- Co znowu zrobiłem? - zdziwił się James.

- Oni mają dopiero po dziesięć lat. Nie powinienes ich jeszcze nakręcać.

James uśmiechnął się szelmowsko.

- Jake nie potrzebuje żadnego nakręcania. On już jest totalnie walnięty.

Kiedy dotarli do rzędu foteli zajętego przez Bethany, Laurę i Rata, James przybił Ratowi gratulacyjną piątkę za przejście szkolenia podstawowego, a Kerry złożyła Bethany życzenia z okazji urodzin.

- A tak, stuknęła ci dwunastka, wszystkiego najlepszego - powiedział James od niechcena. - Czy Laura namówiła cię już na wegetarianizm?

- A żebyś wiedział, że tak - powiedziała Laura z triumfalnym uśmiechem. - I Rat też o tym myśli.

- Ja? - Rat wytrzeszczył oczy.

- Powiedziałeś, że przeczytasz ulotki. - Laura, zmarszczyła brwi.



- Bo inaczej nigdy nie przestałabyś o tym gadać – odparł ze śmiechem Rat.

James skinął głową Bruce'owi, a Kyle wstał z miejsca za Laurą.

- Zająłem dla ciebie - powiedział.

- Włóż mi to do schowka - zwróciła się Kerry do Jamesa, podając mu torbę i jednocześnie wciskając się na środkowe miejsce.

- Coś jeszcze, madam? - James uśmiechnął się z przekąsem. - Coś z wolnoćowego? Gorący ręcznik? Herbatkę i ciasteczka?

James uchylił klapę schowka pod sufitem i w tejże chwili uderzył go w twarz przenikliwy wrzask. Wokół kliknęło kilka telefonów komórkowych, uwieczniając wyraz przerażenia na jego twarzy, kiedy zatoczył się do tyłu, upuszczając torbę Kerry.

- Ożeż - wysapał, jedną ręką przytrzymując się fotela, a drugą kładąc na piersi.

Wśród głośnych wiwatów Lyra, drobna dziewczynka z juniorów, wywiesiła nogi ze schowka i zgrabnie zeskoczyła na blaszaną podłogę.

- Mamy cię, James - powiedziała Laura radośnie, podczas gdy Lyra odbierała od kolegów Jamesa pół tuzina czekoladowych batonów: zapłatę za spędzenie dziesięciu minut w ciasnym schowku.

- Pokaż - zażądał James, wyjmując siostrze telefon z dłoni, by przyjrzeć się rozdziawionej gębie na ekranie.

Śmiejąc się, usiadł na swoim miejscu i zapiął pas. Nie miał do nikogo pretensji.

- Idzie Zara - ogłosił Kyle. - Zdaje się, że jest ostatnia.

Laura wyrzwała przez okno i zobaczyła Zarę wnoszącą po schodach wózek spacerowy. Ewart szedł za nią z Joshuą i Tiffany na rękach.

- Ciekawe, kto zajmuje się Klopsem - powiedziała Laura.

- Pewnie pan Large - stwierdził Kyle. - Mieszka w domu tuż obok Askerów i sam ma psy.

- Co? - zachłysnęła się Laura. - Psy Large'a to wielkie, pasudne, wściekłe rottweilery. One go pożrą.

James zachichotał.

- Large będzie codziennie zrywał Klopsa o czwartej rano, zmuszał do biegania po psim torze przeszkód i robienia pompek.

- Zamknij się, James! - zawołała Laura, wyraźnie przestraszona.

Kyle spróbował ją uspokoić.

- Poważnie, Laura, nie przejmuj się tym. Large i jego babka mają pięć czy sześć psów. Widziałem ich na mieście z córką i małym terierem.

- A poza tym chyba nie pozwoli Saddamowi i Thatcher zjeść psa szefowej, nie sądzisz? - dodała Bethany.

James cmoknął z niesmakiem.

- Laura, miałaś nie wypaplać niczego swoim koleżankom.

- Niczego nie wypaplałam - powiedziała Laura urażonym tonem. - Ogłosili, że Zara jest nową szefową, wczoraj przy kolacji. Wiedziałbyś, gdybyś nie włóczył się z Kerry nad jeziorem.

Kerry też o niczym nie wiedziała.

- Zara jest nowym prezesem?

- A jak - skinął głową Kyle.

- Ale super! Myślałam, że dadzą nam jakiegoś starego pryka z zewnątrz.

Kiedy Zara weszła do kabiny, wszyscy zaczęli klaskać i skandować: „Pre-zes, pre-zes, pre-zes!”. Zara uśmiechnęła się szeroko i zarumieniła.

- Mam nadzieję, że będziecie równie przyjaźni, kiedy będę was wzywać na dywanik - powiedziała po chwili. - Dziękuję wam.

- Jak babka może być prezesem? - zapytał Rat.

Laura wzruszyła ramionami.

- Może będzie prezeską.

- Albo zmieni płeć - dorzucił James. W głośnikach rozległ się głos pilota.

- Witam na pokładzie. Właśnie mi powiedziano, że mamy już komplet pasażerów. W tej chwili zamykamy drzwi kabiny i czekamy na odholowanie schodów. Proszę wszystkich o zapięcie pasów, schowanie stolików i pozostanie na swoich miejscach aż do chwili, gdy osiągniemy wysokość przelotową. Otrzymaliśmy zgodę na natychmiastowy start i znajdziemy się w powietrzu w ciągu najbliższych pięciu minut.

Samolot ruszył, aabiną wstrząsnął chóralny okrzyk radości. Startowali z małego lotniska wojskowego w pobliżu kampusu CHERUBA, więc kołowanie na początek pasa nie trwało nawet minuty. Tam, po kilku sekundach postoju, pilot otworzył przepustnice i wiekowy odrzutowiec zaczął się mozolnie rozpędzać przy wtórze skrzypienia i grzechotania licznych elementów wyposażenia kabiny.

James nachylił się do Kerry.

- Wiesz, co jest super? W tym roku ty, ja, Laura, Kyle i Bruce po raz pierwszy lecimy do ośrodka w tym samym czasie.

- Szkoda, że Gabriela w ostatniej chwili dostała misję - powiedziała Kerry. - Ale i tak myślę, że to będą najlepsze moje wakacje.

W rzędzie przed Jamesem i Kerry Laura sięgnęła do swojej torby po egzemplarz „Just Seventeen” i natknęła się na tajemniczy miękki i śliski obiekt na samym dnie. Wyciągnęła go z torby i odwróciła się, by spojrzeć na brata przez szparę między oparciami foteli.

- James! - zawołała, przekrzykując wycie silników. - Co to jest, do diabła?!

- Wygląda jak kotlet jagnięcy - odpowiedział James.

Kyle uśmiechnął się pod nosem, a Rat głośno zarechotał.

- To nie jest zabawne, wiesz? - krzyknęła Laura. - To było cudowne żywe stworzenie.

- Cudowne z sosem i ziemniaczkami - zakpił James.

Samolot oderwał się od ziemi, a Laura uniosła kotlet, zamierzając się jak do ciosu.

- Poczekaj tylko, aż będzie można rozpiąć pasy, James. Zarobisz jak nigdy dotąd. - Laura odwróciła się i walnęła Rata w ramię. - A ty z czego się cieszysz?

James odwrócił się do Kerry i natknął na arktyczne spojrzenie.

- Dobry początek - sapnęła ze złością. - Pewnie dostaniecie karę za wszczynanie awantur, jeszcze zanim dolecimy na miejsce.

James uśmiechnął się do Kyle'a, który był zdania, że James zachował się podle, ale nie mógł opanować rozbawienia.

- Myślicie, że teraz jest wściekła? - zapytał James cicho. - Poczekajcie, aż znajdzie kurczaka w kostiumie kąpielowym.

## EPILOG

RHIANNON JULES vel JO była jedną z dwudziestu trzech osób postawionych przed sądem w związku z porwaniem Nicka Cobba przez Armię Wyzwolenia Zwierząt. Po trwającym trzy tygodnie procesie skazano ją na osiemnaście lat więzienia. KENNET MARCUSSEN vel MARK, ADELAJDA KENT i VIV CARTER otrzymali wyroki dwunastu lat więzienia, a JAY BUCKLE dziewięciu. Ze względu na młody wiek i stosunkowo nikły udział w porwaniu i torturowaniu Nicka Cobba TOM CARTER został skazany tylko na cztery lata więzienia.

Dochodzenie w sprawie Armii Wyzwolenia Zwierząt ujawniło głębokie powiązania jej członków z pierwotnym celem operacji CHERUBA - Organizacją Wyzwolenia Zwierząt. Kilku członków OWZ osądzono i skazano. Dwaj mężczyźni, którzy oślepiłi Christine Pierce, otrzymali siedmioletnie wyroki. Ataki AWZ ustały i policja sądzi, że grupa została rozbita.

Burzliwe relacje RYANA QUINNA z MADELINE LAING, przywódczynią Przymierza Zebra, doprowadziły do jego odejścia z grupy we wrześniu 2006 roku. Kilka tygodni później Ryan założył stronę internetową i fundację nowej, niestosującej przemocy grupy obrońców praw zwierząt Zebra 06. Uważa się, że nowa inicjatywa Ryana będzie ściśle wzorowana na działaniach Zebry 84

z jej precyzyjnie ukierunkowanymi akcjami prowadzonymi przez niewielką grupę lojalnych aktywistów.

Spośród siedemdziesięciu trzech SZCZENIĄT BEAGLE uratowanych przez Przymierze Zebra cztery zostały uśpione przez weterynarza z powodu ostrych stanów zapalnych wywołanych niehigienicznymi warunkami w hodowli RIDGEWAY KENNELS.

Sześćdziesiąt dziewięć pozostałych psów umieszczono w domach i schroniskach w całym kraju. Hodowla Ridgeway Kennels została na krótko zamknięta i sprzedana. Nowi właściciele poprawili warunki sanitarne i zburzyli odosobniony barak, gdzie chowano zwierzęta do eksperymentów.

Pierwotnych właścicieli hodowli ukarano grzywną w wysokości ośmiuset pięćdziesięciu funtów i dziesięcioletnim zakazem hodowli zwierząt. Przymierze Zebra nazwało wyrok kpiną i wezwało do podwyższenia minimalnej kary za znęcanie się nad zwierzętami do pięciu lat więzienia.

Pod koniec 2006 roku firma MALAREK RESEARCH ogłosiła, że ośrodek w Corbyn Copse zostanie zlikwidowany w ciągu osiemnastu miesięcy. Po podpisaniu lukratywnej umowy z deweloperem, który na miejscu laboratorium zamierza wybudować ponad trzysta domów, w oświadczeniu dla udziałowców zarząd Malarka oznajmił zamiar wybudowania nowego supernowoczesnego laboratorium w nieujawnionym miejscu we wschodniej Azji. Firma stwierdziła, że nowy ośrodek umożliwi przeprowadzanie ważnych badań naukowych w ściśle kontrolowanym, niskokosztowym środowisku, przy pełnym poparciu miejscowego rządu oraz z zezwoleniem na utrzymywanie własnych sił bezpieczeństwa chroniących jej interesy przed nieustającym zagrożeniem terrorystycznym.

NICK COBB przeżył, ale płyn do mycia zlewów i blatów spowodował nieodwracalne uszkodzenie jego układu pokarmowego. Po przejściu siedmiu operacji w Wielkiej Brytanii Cobb przeniósł się do prywatnej kliniki w Szwajcarii, by tam dokończyć rekonwalescencję.

Cobb Cleanse Inc. zdecydowała się na ugodę z prawnikami trzylatki z Alabamy. Dokładnej kwoty odszkodowania nie ujawniono, ale źródła zbliżone do Cobba wspominają o liczbie ośmiocyfrowej.

28 lipca 2006 roku był ostatnim dniem pracy DR. TERENCE'A MCAFFERTY'EGO na stanowisku prezesa CHERUBA. Wyprawivszy prawie połowę cherubinów na wakacje, spędził poranek w swoim biurze, spisując wskazówki dla Zary, po czym wybrał się na swoją zwykłą popołudniową przebieżkę wokół kampusu.

Mac twierdził, że nie chce przyjęcia na swoją cześć, ale po lunchu zaprosił kilka osób ze starszego personelu do swojego biura na pożegnalnego drinka. Następnego dnia wyruszył wraz z żoną na czterotygodniowy rejs po Morzu Karaibskim.

Mac zapowiedział, że wróci do kampusu we wrześniu 2006 roku razem z ponad pięciuset innymi dawnymi agentami CHERUBA, by uczcić sześćdziesiątą rocznicę powstania organizacji założonej przez jego ojca.